

g.o.baxter



POKUSA

Georg Owen Baxter

POKUSA

WYDAWNICTWO GLOB

SZCZECIN 1989

Projekt okładki

Sławomir Sas

Redaktor

Anna Stankiewicz

Redaktor techniczny

Bogusław Jóźwik

Na podstawie edycji

Towarzystwa Wydawniczego „Rój” z 1937 r.

© Copyright by Wydawnictwo „Glob”, Szczecin

ISBN 83-7007-214-3

Wydawnictwo „Glob”, Szczecin 1989 r.

Wydanie I powojenne. Nakład 99 650 + 350 egz.

Ark, wyd. 9, 5 Ark, druk. 7,25

Papier offsetowy, ki. V, 70 g, rola 70 cm

Oddano do składania w lipcu 1988 r.

Skład - Prasowe Zakłady Graficzne w Koszalinie

Do druku podpisano w styczniu 1989 r.

Druk ukończono w sierpniu 1989 r.

Druk i oprawa Szczecińskie Zakłady Graficzne

Zam. 0973/11-10/88/11 0-6/114

Cena zł.750. -

ROZDZIAŁ I

Zbawca

Miasto składało się z dwu części. Wysoko na wzgórzu tam gdzie rosły drzewa eukaliptusowe, znajdowały się domy bogatych farmerów i kopaczy złota, którzy z tylko sobie znanych przyczyn zrezygnowali z życia na wsi przenieśli się do miasta. Domy ich stały wśród zieleni na tyle gęstej, że zasłaniała widok, ale nie na tyle, by dawały cień. Słońce grzało nad wzgórzem tak mocno, jak tylko potrafi w tym tropikalnym kraju. Toteż farmerzy i kopacze uciekali od tego skwaru do miasta Św. Wawrzyńca. Stało się to wkrótce powszechną modą.

John Rainier pozostawił właśnie za sobą spaloną słońcem dzielnicę i schodził w dół wzgórza ku drugiej części miasta, sięgającej brzegów rzeki. Tutaj żyli Meksykanie, z których rekrutowała się służba białych mieszkańców wzgórza. Nędzne ich domostwa stały w cieniu wierzb nadwodnych. Wierzyby rosły nie tylko nad samą rzeką, gdyż porowaty grunt tej okolicy przepuszczał wilgoć i w głąb łądu.

Z wiosną, gdy żar słońca topił śnieg leżący na szczytach okolicznych gór, wody rzeki Św. Wawrzyńca

wzbierały, występowały z brzegów i groziły zalaniem nędznych domków meksykańskich. Brzegi chroniła tama, ale czy była zbyt krucha, czy zbyt niska, dość, że każdej wiosny spienione wody rzeki zalewały dzielnicę Meksykanów, niszcząc ich ubogi dobytek.

Mimo to nikt nie opuszczał miasta i nikt nie naprawiał tamy. Z niepokojem wsłuchiowano się każdej wiosny w złowrogi pomruk rzeki i nie robiono nic, by zapobiec katastrofie.

Tego upalnego dnia szedł ze wzgórza pewien niewielki człowieczek o szybkim chodzie mieszcza, całkiem niepodobnym do powolnych i ciężkich kroków wieśniaka. Porządnie się napocił zanim dostał się do doliny przecinającej dzielnicę meksykańską; a w dolinie zwolnił nieco kroku.

W drzwiach każdego niemal domu stał jakiś próżniak, paląc papierosa i patrząc w błękitne niebo; z każdej kuchni dolatywał smakowity zapach gotującego się obiadu, gdyż było to późne popołudnie; przez każde drzwi ciekawski mógł zajrzeć do wnętrza przeludnionych mieszkań. Było tam mnóstwo dzieci. Było wiele najróżniejszych ras psów. Na podwórkach świnie ryły w ziemi, szukając jakichś porzuconych przez psy kości. Kury gdały w nieznośnym skwarze. Ściany domów bieleły w słońcu i powlekały się szarością w cieniu, a w całym powietrzu unosiło się coś nieuchwytnego, coś, co mówiło, że warto jest żyć tylko wówczas, gdy się nie musi pracować.

John Rainier sam był zwolennikiem lenistwa, ale jego kipiący temperament nie pozwalał próżnować. I teraz nawet idąc przez miasteczko zagadywał do próżniaków

grzejących się na progach domów, uśmiechał się do wszystkich wokoło i pozdrawiał wesołymi słowami.

Nagle do uszu jego doleciał dźwięk gitary i przyjemny baryton zaśpiewał miękim, pełnym tęsknoty głosem:

O Molly, Molly, kochana dziewczyno
Dla ciebie rzuciłem mój dom wraz z rodziną.
Dla ciebie rzuciłem i wojska szeregi
Ty, Molly, serce wypełniasz po brzegi...
O Jacku z kopalni, ja wiem żeś niecnota, U
kradłeś mi mieszek brylantów i złota.

Rainier, idąc za dźwiękiem tego głosu, doszedł do chaty, obok której stała młoda, pięknooka Meksykanka. Spoglądała z uśmiechem na biały obłok żeglujący po niebie, ale widać było, że jest zasłuchana w piosence.

Śpiewak nosił się jak bogaci Meksykanie. Przy butach brzęczały złociste ostrogi, srebrne ozdoby błyszcząły wzdłuż wąskich spodni, twarz osłaniały szerokie kresy kapelusza zwanego sombrero, ozdobionego złotymi medalionami. Ale twarz młodzieńca była twarzą białego człowieka. Mimo iż słońce osmalilo ją na brunatno, mimo że włosy jego miały głęboką czerń, tak jak i oczy, od razu można w nim było rozpoznać Anglika. Nie wiadomo w czym wyrażała się ta jego anglosaska rasa: może w uśmiechu, może w budowie czaszki.

Mimo że miał niewiele ponad dwadzieścia lat, widać było od razu, że to nie żaden maminsynek, ale samodzielny, energiczny chłopak.

Brzęknął w struny gitary i zaczął śpiewać inną strofę piosenki:

O Molly, z tobą pójdę na kraj świata,
Że jam zbyt ubogi, mówi mi twój tata.
O Molly, Molly, kocham cię szalenie,
Na żadne skarby ciebie nie zamienię...
Tyś dla mnie whisky, gdy jestem spragniony...
I smaczny befsztyk, kiedym wygłodzony...

John Rainier spojrział raz jeszcze na młodzieńca i nagle zawołał radośnie:

— Steve Train!

Piękny chłopiec w drzwiach ziewnął. Potem szybko wyciągnął dłoń do Rainiera i powiedział:

— John Sullivan?

— Rainier — poprawił tamten szorstko.

— Oczywiście — przytaknął Train z uśmiechem. — John Rainier, naturalnie. Uczciwy John. Co pan robi w tych stronach?

— Jestem służącym — powiedział Rainier.

— Czym? — zapytał tamten.

— Służącym.

— Cóż to za zajęcie?

— Nie najgorsze. Opowiem panu potem. A pan co tu robi?

— Co robię?

— No, czym się zajmujesz?

— Przestałem pracować — powiedział przeciągając się Train — już trzy lata, jak przestałem pracować. Nie jestem stworzony do pracy. Nie uwierzy mi pan może, ale jestem chory na wątrobę. Praca mi nie służy.

John Rainier roześmiał się.

— Wierzę panu — powiedział. Nagle przyjrzał mi się uważnie i dodał: — Mam wrażenie, że pan byłby dla mnie odpowiednim człowiekiem. Takiego szukam.

— Być może — odparł z roztargnieniem Train, rzucając niespokojne spojrzenia w głąb domu, w którym dziewczyna zniknęła na widok obcego.

— Mam dla ciebie odpowiednie zajęcie, mój chłopcze.

— Być może.

— Zajęcie bez pracy.

— Jakie?

— Nie ma pracy, a jest zapłata. To może brzmi...

— Dziwnie — przerwał Train spokojnie. — Jakby kryła się za tym pułapka.

— Właśnie to chciałem powiedzieć, Steve.

— Więc co to ma być za zapłata: pieniądze czy kredyt?

— Pieniądze. Ciężka gotówka spada ci z nieba.

Train powoli wstał. Przeciągnął gibkie ciało jak kot, tak mocno, że aż zatrzeszczało mu w stawach, potem odwrócił się ku otwartym drzwiom sieni i zagwizdał. Natychmiast na progu ukazała się dziewczyna, nie zwracając uwagi na przybysza, Steve powiedział do niej coś po hiszpańsku. Rainier nie zrozumiał ani słowa. Steve ucałował potem delikatnie paluszki señority i odwrócił się znowu do Rainiera.

— Wciąż ten sam? — spytał Rainier z mieszaniną podziwu i zazdrości. — Zawsze zjadacz serc niewieścich?

— Na moje nieszczęście — potwierdził Train; wciąż usiłując spędzić z oczu senność, która go ogarniała. — Wszędzie gdzie się ruszę, dziewczęta lgną do mnie.

Wyczuwają, że je kocham i że pójdę za jednym uśmiechem jak byk za czerwoną płachtą. Taki już jestem, John.

I zwrócił swe pełne melancholii, piękne oczy na towarzyszkę.

— Zaufanie — powiedział John Rainier. — Oto co wzbudza twoja twarz. Gdybym ja miał taką twarz jak ty, Steve, poszedłbym na nowojorską giełdę Wall Street robić majątek. Udałoby mi się z pewnością.

— Na giełdzie nie ma nic prócz pieniędzy — powiedział Steve. — A pieniądze są brudne. Ja pragnę tylko dwu rzeczy: swobody i czasu.

Ale Rainier musiał mieć inne zdanie co do pragnień Traina, więc tylko roześmiał się cicho.

— Co to znaczy być służącym? — spytał Train, patrząc na niski cień starej, spróchniałej wierzby przed domem i głaszcząc przy tym psa, który najwidoczniej w walce stracił jedno ucho, a teraz lgnął pieszczotliwie do swego pana.

— Konie i psy lubią cię Train, co? — spytał Rainier. — No i kobiety. Prawda?

— Ale służący chyba nie — odparł Train. — Nigdy nie miałem z nimi do czynienia. Więc co z tą służbą?

— To było wszystko razem zabawne — powiedział Rainier. — Wędrowałem przed dwoma laty drogą przed siebie, nie pozostawiwszy za sobą nic, kiedy nagle ujrzałem jakiegoś niemłodego już jeźdźca, który męczył się z rozbrykanym koniem. Zanim podbiegłem, koń zrzucił starego z siodła w ten sposób, że zawisł jedną nogą w strzemieniu, a głową włókł się po ziemi. Powiedziałem wtedy do siebie: „Uważaj, ten stary może mieć niezły

mająteczek w kieszeni. Po co koń ma z nim uciec?” Podbiegłem szybko, schwyciłem konia za uzdę, zatrzymałem szaleńca. Jeździec był pokrwawiony i nieprzytomny. W pierwszej chwili, spojrzawszy mu w twarz, sądziłem nawet, że już nie żyje. Zjrzałem do jego pugilaresu. Niestety był płaski jak moja dłoń. Miał przy sobie tani srebrny zegarek, niewart nawet fatygowania się z nim do miasta. Nawet jego nóż nie miał żadnej wartości. Nie, nie był to dla mnie żaden interes.

Postanowiłem więc, że o ile stary nie umrze mi na ręku, zabawię się w dobroczyńcę. Nie umarł. Przywiązałem go do grzbietu jego konia i zawiozłem do miasta, do szpitala. W miesiąc potem, gdy już mógł siedzieć w łóżku, spytał mnie, co może dla mnie uczynić.

— Nic — odparłem. — Największą nagrodą dla mnie jest pański powrót do zdrowia.

Wpadł w tę pułapkę. Zadał mi kilka pytań dotyczących się mojej osoby. Opowiedziałem mu, że byłem niegdyś kupcem, ale zrujnowały mnie długi; że w końcu na skutek długu musiałem porzucić cały swój interes i wywedrować na zachód.

Stary Patrick Comstock — tak się nazywał — myślał nad tym chwilę. Potem dał mi tysiąc pięćset dolarów i jeszcze tysiąc na moje wydatki i polecił mi kupić sobie ubranie, bilet do mego rodzinnego miasta, spłacić tam moich wierzycieli, dowieść mej uczciwości, a następnie, jeżeli nie będę się czuć na siłach, by zakładać na nowo interes, to żebym wrócił i wstąpił do niego na służbę.

Pojechałem do Chi. Utopiłem cały ten interes w gospodarstwie „Pod Trzema Palcami”. Znasz to miejsce?

— O, jeszcze jak! Nauczyli mnie tam, jak się rzuca nożem.

— Nie miałem już nic. Wtedy wróciłem do El Paso. Powiedziano mi, że Patrick Comstock kupił farmę nad rzeką Św. Wawrzyńca. Nie zadawał mi żadnych pytań, gdy przyjechałem. Obejrzał tylko moje nowe ubranie i powiedział, że mogę przystąpić do roboty.

— Co mam robić? — spytałem,

— Rozejrzyj się po domu i zobacz, co jest do roboty.

— Nie przydam się na nic w domu — oświadczyłem mu.

— A co umiesz robić poza domem?

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Umiesz doić krowy?

— Nie.

— Umiesz oporządzać wóz?

— Jak to się robi?

— Zdaje mi się, że bardziej przydasz się w domu — powiedział.

Obszedłem dom wkoło i przyjrzałem się wszystkiemu. Comstock miał dwu parobków, którzy zajmowali się całym gospodarstwem. Pozostało mi odkurzanie książek w bibliotece. Ale stary i tym był zachwycony.

— John — powiedział wkrótce do mnie — mam w domu dość służby troszczącej się o mój dobytek. Potrzebny mi jest ktoś, kto troszczyłby się o mnie samego. Chcesz być tym człowiekiem?

I tak już zostało. Doglądam jego ubrań, by były zawsze czyste i wyprasowane, choć sam nie czyszcę ich ani nie prasuję; baczę, by dobrze osiodłano mu konia; pilnuję, by

buty starego błyszczały zawsze jednakowo. To wszystko. Dlatego zrobiłem się taki delikatniutki.

— Wyglądasz jak grzyb — powiedział Train ze skrzywieniem. — I powiedz mi wreszcie, co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

— Gdybyś uważnie słuchał moich słów, chłopcze, zrozumiałbyś, że mimo wszystko jestem ważną figurą w tym domu na wzgórzu. Jestem wciąż tym, który uratował życie panu i pozostanę nim chyba jeszcze długo. Rozumiesz?

— Aha...

— No więc stary Comstock teraz szuka człowieka uczciwego, chciałby mu powierzyć pewną misję. Jest to sprawa ściśle poufna. Mam wrażenie, że ty nadawałbyś się, Steve. Jesteś właśnie wymarzony dla niego: odważny i uczciwy.

ROZDZIAŁ II

Jego pierwsza miłość

Słowa te zostały przyjęte przez Traina z absolutnym milczeniem. Ale już po chwili podniósł głowę i spojrział na przyjaciela z uśmiechem odsłaniającym białe zęby.

— Pięknie to wszystko przedstawiłeś — zauważył.

— Gra nie jest taka łatwa, jak ci się może zdawać. Ale to doskonała okazja do obłowienia się. Możesz mi wierzyć.

Opowiedział wszystko szczegółowo. Stary Comstock potrzebuje człowieka, który byłby jednocześnie uczciwy

i odważny. Pierwszy, jakiego wypróbował, okazał się odważnym oszustem, drugi z kolei uczciwym tchórzem. Wobec tego zwrócił się do Rainiera z poleceniem, by mu takiego człowieka wyszukał.

— Czemu ty nie miałbyś sam być tym człowiekiem, John? — spytał Train.

— Chociażby dlatego, że nie umiem dobrze strzelać. Nigdy nie miałem w ręku kolta, a taki interes, o jakim mówię, wymaga przede wszystkim celnego strzału. Poza tym stary nie mógłby się beze mnie obejść, więc nie chce ryzykować.

— To taki ryzykowny interes?

— On powiada, że ryzykowny. Ty uważałbyś może inaczej, Steve.

Steve Train otrząsnął się z rozleniwienia. Wyprostował plecy i powiedział żywo:

— Ta cała sprawa zaczyna mnie interesować. Może jest tam coś do zrobienia. Kiedy mógłbym zobaczyć staro Comstocka?

— Natychmiast, *pronto*. Jeżeli chcesz...

Po chwili znaleźli się na drodze do farmy Comstocka. Przeszli bramę, zatrzymali się przed domem i tu Steve Train zobaczył po raz pierwszy Patricka Comstocka.

Siedział częściowo w słońcu, częściowo w cieniu, miał młode oczy i starą, zniszczoną twarz; siwe włosy opadły mu na czoło. Był bardzo szczupły, robił wrażenie wątłego. Nawet gruba książka, którą czytał, wyglądała tak, jak gdyby jego słaba dłoń nie mogła jej udźwignąć. Odłożył książkę i spojrzał na obu nadchodzących.

— Oto jest mój znajomy, panie Comstock — powiedział

Rainier — nazywa się Steve Train. Myślę, że byłby dla pana odpowiednim człowiekiem.

— Jak pan się miewa, panie Train? — spytał Comstock, nie podając ręki na powitanie. — Czy pan wie, o co chodzi, panie Train?

— Trochę — odparł Rainier.

— Więc zostaw nas teraz samych.

Rainier odszedł, a Train usiadł we wskazanym mu fotelu obok pana domu. Słońce grzało mocno, ale Train lubił upał. Wyciągnął się wygodnie w jaskrawym blasku słonecznym i na krótką chwilę zapomniał, gdzie się znajduje.

— Pan jest z zachodu, tak? — spytał Comstock.

— Tak jest — odparł Train, wciąż rozkoszując się słońcem.

— Rainier pochodzi ze wschodu. W jaki sposób się poznaliście? — spytał Comstock.

— Nie pamiętam, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy — odparł Train — ale wiem tylko tyle, że znam jego twarz od dawna. Nie mam najlepszej pamięci — dodał, zwracając ku Comstockowi swą twarz okraszoną szczególnie leniwym uśmiechem.

— To musi panu przeszkadzać w pracy — zauważył Comstock.

— Oczywiście — odparł nonszalancko Train. — Praca zresztą nie leży na linii mojego życia.

— A cóż leży na linii pańskiego życia? — spytał ironicznie Comstock.

Ostry ton tego pytania zmieszał Traina, ale tylko na chwilę. Wzruszył ramionami i powiedział:

— Och, mój Boże. Poluję, zastawiam sidła na zwierzy-
nę, łowią ryby.

Comstock ściągnął brwi.

— Człowiek z zachodu i tak mało ma do czynienia z
bronią? — powiedział.

— Kto wie? — odparła Train zagadkowo. — Niekiedy
jedna broń niewidoczna więcej znaczy niż dwie strzelby u
pasa.

— A umie pan się obchodzić z bronią?

— Oczywiście — odparł Train. — Przecież mówiłem
już, że często poluję.

— Na co?

— Na króliki — odparł Train.

— Czy strzela pan do nich, gdy są w biegu? — spytał
jeszcze.

— Oczywiście. Są bardzo płochliwe.

Przez chwilę farmer wahał się, kręcąc na krześle. Robił
wrażenie człowieka pragnącego zakończyć rozmowę jak
najszybciej. Wreszcie powiedział:

— Człowiek, którego potrzebuję, musi znakomicie
strzelać. Czy pan to potrafi, Train?

— Strzelam średnio.

— Widzi pan tamtego wróbla?

Pokazał palcem ptaka siedzącego na krzewie różanym.

— Celuję zawsze w skrzydła — odparł Train i zanim
Comstock spostrzegł, co się dzieje, Train wziął olbrzy-
miego kolta wiszącego mu u boku i wycelował.

Rozległ się huk wystrzału. Gałązka, przełamana na
pół, upadła na ziemię, a ptak wzbił się w powietrze

z przeraźliwym ćwierkaniem. Drugi strzał również go nie trafił, ale musnął jego skrzydełko, a oszalały ptak zaczął krążyć w miejscu. Zanim otrząsnął się z przerażenia, dosięgnął go trzeci strzał. Na ziemię upadł żalosny kłębek poszarpanych piórek.

Z głębi domu rozległy się głosy ludzi, przerażonych tą nagłą strzelaniną. Na dziedziniec wypadło dwu parobków.

Ale zastali swego pana nietkniętego, a obok niego jakiegoś obcego młodzieńca, który z rozweselonym wyrazem twarzy związał sobie papierosa. Nie było nigdzie śladu broni.

Comstock odprawił ich ruchem ręki i zwrócił się do młodzieńca, z trudem ukrywając swój zachwyty.

— Gdzie nauczył się pan tak strzelać? — spytał.

— To nic trudnego — powiedział Train.

— Proszę mi powiedzieć, jak się to robi, a sam chętnie się nauczę.

— Trzeba ćwiczyć po kilka godzin dziennie przez dzień do dwunastu lat. To wszystko — odparł Train.

Farmer roześmiał się. Ale po chwili opadł na swój fotel z westchnieniem.

— Oczywiście — powiedział zgaszonym głosem. — Tak bywa najczęściej. To, co człowiek bierze za cud, jest rezultatem ciężkiej i długiej pracy.

— Pracy? — zdziwił się tamten. — Strzelanie to nie praca. To rozrywka, zabawa. Nic więcej.

I jego muskularne palce oparły się na rękojeści kolta, jak gdyby miał zamiar znowu wystrzelić. Farmer patrzył na niego teraz z powagą:

— Spodziewam się — powiedział nagle — że nie jest pan zbyt wybuchowy, Train?

— Spokojny jak baranek.

— Zawsze jednakowy?

— Zawsze.

— Niech pan mi powie teraz — zmienił temat Comstock — w jaki sposób na przykład zdobędzie pan sobie dzisiejszy obiad?

— Mam proch w mojej ładownicy i nabity sztucer. Wobec tego nie martwię się o obiad.

Szerokim gestem pokazał wzgórze biegnące na północ i na wschód.

— Nie obawia się pan zapuszczać sam między wzgórze?

— Ani odrobinę.

— Czemu?

— Na tych przestrzeniach, na każdym niemal kawałku mieszkają żywe stworzenia. A tam, gdzie jest jakiegolwiek życie, człowiek także nie zginie. Jeżeli jest dość zielonej trawy, by mogły się wyżywić króliki, to i człowiek może żyć, choćby zjadając króliki. To bardzo proste.

— A jeżeli nie trafi pan do królika?

— O to właśnie chodzi — rzekł Train. — Nie wolno chybiać.

— Doskonale — powiedział Comstock. — Widzę, że dziś wieczorem będzie pan miał obiad, nie trudząc się polowaniem na króliki. Myślę także, że zechce pan zostać u mnie jakiś czas, zanim przystąpimy do mego interesu. Tymczasem będę panu płacił... ile?

— Piętnaście tygodniowo.

— Trzydzieści — powiedział Comstock.

W ten sposób Train zainstalował się w dużym domu Patricka Comstocka.

— Ale — powiedział Comstock — gdzież jest pański koń?

— Gdzieś tam w świecie — odparł ze śmiechem Train, wskazując palcem na jakieś stado koni pasących się w oddali.

— Rozumiem — powiedział Comstock — ale praca, którą będzie pan wykonywał dla mnie, wymaga konia. Niech pan sobie obejrzy moje stado na łące i w stajniach. Mam kilka pięknych okazów. Jest w czym wybierać, Train.

Posłał po stajennego. Był to mężczyzna w średnim wieku, ale o zagłodzonej twarzy dżokeja. Głodzenie się i nieustanne ćwiczenia, jakie uprawiał w młodym wieku, chcąc utrzymać lekką wagę, odbiły się na jego zdrowiu i wyglądzie.

— Ten pan nazywa się Train — powiedział farmer. — Podjął się pewnej pracy dla mnie. Będzie mu potrzebny koń. Niech sam sobie wybierze takiego, który mu się spodoba.

— Wolno mu dać każdego konia, jakiego wybierze? — spytał stajenny ze zdumieniem.

— Każdego konia, Thompson — potwierdził pan surowo. — Pokaż mu najpierw wszystkie.

Thompson przyglądał się z wyraźną niechęcią wspaniałemu, ale obcemu strojowi gościa. Potem, wzruszywszy ramionami, powiódł go do zagrody. Pasło się tam siedem czy osiem koni najlepszej rasy. Zgrabne główki i

łagodne oczy zwróciły się w stronę nadchodzących. Obwąchiwały dłonie Thompsona i parskały na nieznanego.

— Piękne okazy — zawołał Train z zachwytem.

— Wie pan co to za rasa? — spytał stajenny.

— Dobra rasa, to widzę,

— To specjalna rasa — objaśnił Thompson. — Mieszanina mustangów, ale z roku na rok jest takich koni mniej. To wymierający gatunek. Ręczę za to, że ani jedno z tych szlachetnych zwierząt nie porzuci jeźdźca w kłopotcie. Ani jedno nie zawaha się zajeździć na śmierć, kiedy zajdzie taka konieczność. Ani jedno nie zniesie za nic dotknięcia szpicrutą. Pan nosi ostrogi, jak widzę.

Ostatnim słowom towarzyszyło długie, pełne pogardy spojrzenie na buty Traina.

— Ostrogi dla ozdoby, czasami tylko na mustangi.

— To dobrze — odparł Thompson z westchnieniem ulgi. — Pan mój mówił, że pan będzie jeździł konno. Musi pan ważyć około 170 funtów.

Spojrzał taksującym okiem na Traina.

— Co do funta — potwierdził Train.

— Mam tu ładną klacz dla pana. Jest rozkoszna, mówię panu. Chce pan? Już jest pańska.

— Czy nie jest zbyt lekka w zadzie?

— Lekka. Skądże znowu? Doskonałości w ogóle nie ma na świecie, ta jest znakomita.

I zatarł ręce z zapalem.

— Znakomita, ale nie dla mnie — odparł Train. — Chciałbym zobaczyć resztę.

— Są tu wszystkie. Może ten. Poczciwy koń i silny.

— Nie dość silny dla mnie.

— O, bardzo pan wymagający — mruzczał Thompson.
— Niech pan popatrzy na tego karego. Może nieładny?

— Wszystkie one są piękne — potwierdził Train — ale chciałbym popatrzeć także na te w stajni.

Dżokej spojrział na młodzieńca ponuro, mruknął coś pod nosem, ale zaprowadził go do budynku.

Konie stały rzędem przy żłobach. Wszystkie zwróciły głowy w kierunku przybyłych. Już sam kształt głów tych zwierząt powiedział Trainowi wszystko.

— Te — rzekł — bardziej mi odpowiadają.

Pochwycił pełne zdumienia spojrzenie Thompsona, ale był zbyt zajęty taksowaniem koni, by się nad nim zastanowić.

— Ten popielaty to klasa — stwierdził. — A co to za czarny źrebak tam dalej?

Nie patrząc już na żadnego innego konia, Train podszedł do żłobu tuż przy drzwiach. Stał tam może trzyletni konik o czarnej, atlasowej skórze, błyszczącej jak polerowany marmur. Train wyciągnął dłoń, źrebak ją obwąchał. Był łagodny.

— Gdyby był o rok lub dwa starszy — westchnął Train.
— Cóż to za koń? — spytał.

— Po Folly i Tygrysie — odparł Thompson.

— Folly była własnością pana Comstocka, tak?

— Tak, stara klacz zdechła w zeszłym roku na wiosnę.

— Stara?

— Miała dziewiętnaście lat. Ale trzymała się znakomicie.

— Czy pan ją chował?

— Tak. Była po Kaprysie i Samsonie. Nigdy już nie będziemy mieli takiej klaczy jak Folly.

Mówił to wszystko z wielkim smutkiem, jednocześnie pocierając pieszczotliwie nozdrza klaczy.

— Jeżeli pan sam chował Folly od małego, która została matką takiego konia mając już lat siedemnaście, to przecież musiał pan chować także starsze rodzeństwo tego źrebaka. Musi tu być jakiś starszy brat w stajni, nie?

Do twarzy Thompsona nabiegła fała krew.

— Nie, nie mamy tu żadnego brata — zapewnił gwałtownie — pokazałbym go panu, gdyby był. Pan zna się, jak widzę, na koniach. Poznałem to od razu. Wiedziałem od pierwszej chwili, że odpowiadałby panu konik z tej samej rodziny. Piękna główka, sierść jak jedwab, serce jak u słonia. Ale niestety, nie mamy brata. Nie, proszę pana. Bardzo mi przykro, ale ten koń nie ma nawet czterech lat.

— Nie ma brata, więc ma zapewne siostrę — upierał się Train.

Thompson zbladł.

— Jest chora — powiedział szybko. — Bardzo żałuję, ale Whimsy jest cierpiąca.

— To szkoda — powiedział Train z uśmiechem — ale niech ją pan jednak pokaże.

— Nie mogę tego uczynić. Żałuję bardzo, ale nie mogę. Bardzo przyjemnie jest pokazywać konie takiemu znawcy. Ale Whimsy to kłębek nerwów i nie znosi widoku obcych. Zostawiam ją w zupełnym spokoju...

— Rzucę tylko jedno spojrzenie — Train nie ustępował.

Thompson zawahał się.

— Co jest w końcu tej stajni? — pytał Train.

— Nic. Po prostu...

Ale Train już nie czekał. Żwawo ruszył naprzód. Za stajnią otwierały się drzwi wprost na małą, otoczoną żywopłotem łączkę, na której pasło, się stado. Duże rozrośnięte drzewo osłaniało delikatne zwierzęta przed palącymi promieniami słońca. W cieniu tego drzewa Train zobaczył klacz Whimsy. Poznał ją natychmiast i natychmiast też zrozumiał, dlaczego Thompson ukrywał ją tak zazdrośnie jak kopacz złota swój złoty piasek, którym nie chce się z nikim dzielić.

Była to rosła klacz, sierść jej lśniła jak ulana z polerowanego brązu. Zwróciła przepiękną główkę w stronę stajni, wiatr rozczesywał jej długą grzywę, a przepiękne oczy, jakimi spojrzała na Traina, wzruszyły go jak spojrzenie oczu człowieka.

— Chora? — spytał Train groźnie. — Chora?

— Żartowałem sobie trochę, panie — wyjąkał Thompson. — Prawdą jest, że to najukochańsza pieszczołka pana Comstocka. Nie chciałem jej panu pokazać, bo wiedziałem, że przypadnie panu natychmiast do gustu. A on nie da jej panu nawet za dziesięć tysięcy dolarów.

Train bez słowa położył dłoń na belce zagrody i jednym lekkim susem przeskoczył na tamtą stronę, na której pasła się klacz.

Thompson, patrząc na jego zdecydowane ruchy, jęknął. Zrobił co mógł, ale widział teraz, że wszystko na nic. Że Whimsy jest dla niego stracona na zawsze.

ROZDZIAŁ III

Tajemnicze spotkanie

W ciągu następnych dwu dni Train nie usłyszał ani słowa od nowego pana na temat swych obowiązków.

Oba te dni poświęcił Whimsy. Toteż trzeciego ranka Comstock był zdumiony, widząc na własne oczy, jak klacz zarżała radośnie na widok zbliżającego się Traina, jak miłośnie obwąchiwała jego wyciągniętą dłoń.

— To nic dziwnego, proszę pana — mówił zazdrosny Thompson — widziałem już dużo ludzi rozkochanych w koniach. Ale pan Train traktuje konie jak kobiety: nigdy nie podchodzi do nich inaczej niż z kawałkiem cukru, jabłkiem czy innym przysmakiem. Żaden koń temu się nie oprze.

Comstock uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział. Spytał tylko po chwili milczenia:

— Co byś sądził, Thompson, o człowieku, który jest tak bardzo zakochany w koniach?

— To zależy. Można go uważać za wariata.

— Ale w każdym razie dowodzi to uczciwości, prawda?

— Niekoniecznie — odparł wymijająco Thompson. — W koniu jest coś tak pociągającego, że czasem najgorsi ludzie, największe łotry są pieśczośliwie usposobieni do tych zwierząt. Nie, nic nie można po tym sądzić.

Farmer zmienił temat rozmowy. Tegoż popołudnia, otrzymawszy depeszę, polecił Rainierowi zapakować rzeczy i posłać natychmiast po Traina.

Gdy Train przybył, Comstock oznajmił mu, że musi pojechać w pilnej sprawie na kilka dni, ale że na nie-szczęście w tym samym czasie spodziewa się w domu odwiedzin pewnego człowieka, mającego odebrać sporą gotówkę. Pieniądze te znajdują się w szafie w mieszkaniu Comstocka.

— Zostawiłbym najchętniej w domu Rainiera, żeby te pieniądze wypłacił — mówił Comstock — ale Rainier jest mi niezbędny w podróży. Polecam więc panu tę sprawę, Train. Oto — kontynuował podając mu papier — jest tajemnica klucza mojej kasy. W jednym z przedziałów znajdzie pan tysiąc sto dolarów gotówką. Człowiek, który po tę sumę przyjedzie, jest mały, gruby, ma około czterdziestu lat i całkiem łysą głowę. Nie może się pan pomylić. Nazywa się Gregg. Da mu pan pieniądze i odbierze pokwitowanie.

Rainier przed podróżą skorzystał ze stosownej chwili, by wziąć Traina na bok.

— Uważaj, Steve — powiedział mu — to jest pułapka na ciebie. — Stary chce cię wypróbować. Zaryzykował tyle dolarów gotówką, żeby się przekonać, czy jesteś uczciwy. Uważaj, na miłość boską, żeby mu grosz nie przepadł. Zabaw się w stuprocentowo uczciwego chłopca. Zobaczysz, że sobie to odbijemy. Rozumiesz mnie?

— Tysiąc sto dolarów to kąsek nie wart zachodu — odparł Steve. — Możesz jechać spokojnie.

Służba, zawiadomiona, że pan wyjechał w podróż, udała się na ten czas do swych domów w meksykańskiej dzielnicy. Train pozostał w domu sam jeden. Nie było nawet psa.

Przede wszystkim udał się do pokoju kasowego, by wypróbować, czy mając przed oczyma klucz, potrafi otworzyć kasę. Drzwi otworzyły się. Wewnątrz kasy znalazł Train wiele przegródek pełnych papierów, kwitów weksli, rachunków. Tylko w jednej szufladzie leżała go-tówka. Były tam dwadzieścia dwa pięćdziesięciodolarowe banknoty zawinięte w brunatny papier i przewiązane sznurkiem.

Train przeliczył zwinnymi palcami banknoty. Chwilę zastanawiał się. Wystarczyło wsunąć paczkę do kieszeni, pójść do stajni, dosiąść Whimsy i pognać w step. Znał każdą piędź stepu, jak człowiek zna niekiedy każdą kartę wiele razy czytanej książki. A mając pod sobą takiego konia jak Whimsy, mógł się nie lękać żadnego pościgu. Zresztą pościg zacząłby się dopiero po powrocie pana i jego służby. Gdyby zamknął starannie kasę, kradzież wy-dałaby się dopiero po powrocie Comstocka. Rainier pole-cił mu co prawda czekać na lepszą okazję, ale czy taka faktycznie się nadarzy? W każdej chwili farmer może się dowiedzieć czegoś na temat jego przeszłości i odprawić go z niczym.

Ale mimo to odłożył pieniądze na miejsce, zamknął starannie kasę i zszedł na dół. Tu siedząc spokojnie, my-słał z ironią, jak to się dzieje, że on, który ryzykował setki razy życie dla sumy dziesięciokrotnie mniejszej od tej, jaka jest pod jego pieczę, teraz nie wyciąga ręki po to, co może z łatwością otrzymać.

Nadszedł wieczór, a Gregga nie było widać. Train po-szedł do kuchni, zjadł tam kolację przyrządzoną przez chińską kucharkę, potem wrócił do pokoju. Takie spokojne

czekanie nie było w stylu Steve'a Traina. Mógł leżeć nawet godzinami, nie poruszając się, ale tylko wówczas, kiedy groziło mu jakieś niebezpieczeństwo. W pokoju nie było tapczanu, ale cóż to znaczyło dla człowieka, który większość swych nocy przespał na gołej ziemi? Train znalazł gdzieś poduszkę, położył ją na podłodze i wyciągnął się jak długi. Po chwili spał smacznie.

Obudził się nagle z dziwnym uczuciem, że coś prze-rwało mu sen. W pierwszej chwili nie pojmował, co by to mogło być. Usiadł i wkrótce usłyszał jakiś szelest. Nasłuchiwał, ale dźwięk nie powtórzył się więcej. To pobudziło jego czujność. Cicho podniósł się i rozejrzał się wokół. Była już zupełna noc. W blasku lampki, którą zostawił zapaloną, okno błyszczało jak tafla polerowanego marmuru. Cały dom pogrążony był w przejmującej ciszy.

Ktoś inny na jego miejscu porzuciłby w tym momencie wszelkie obawy i podejrzenia, ale Steve Train nie był taki. Ściągnął buty z nóg. Nawet w obuwiu potrafił poruszać się cicho, ale w samych skarpetkach chodził bezszelestnie jak kot. Zrobił kilka kroków i przyczaił się w otwartych drzwiach. Mimo że nadal w mieszkaniu panowała cisza, Train bardziej wyczuł niż zobaczył, że w przedsionku stoi i oddycha jakaś żywa istota. Sięgnął po broń. Wówczas dopiero stwierdził, że zostawił pistolety w kieszeni marynarki, którą zdjął z powodu upału. Musiałby znowu wrócić do pokoju, by zabrać swego kolta. Każde poruszenie groziło zaalarmowaniem tajemniczego przybysza, stojącego za drzwiami. Nie miał, więc w tej chwili żadnej innej broni oprócz swych dziesięciu palców, w mroku napinał

je, by były gotowe w każdej chwili do zaciśnięcia się na czyjejs krtani.

Miał wrażenie, że jest tam co najmniej dwóch ludzi. Ktoś skradał się po cichu przez hol i nagle Train usłyszał szelest stóp odzianych jedynie w skarpety, przybliżający się coraz bardziej. Rozejrzał się wokół rozpaczliwie. Wzrokiem szukał czegoś, co mogłoby mu posłużyć jako broń. Jednocześnie bał się poruszyć.

Zanim zdążył się na cokolwiek zdecydować, drzwi zaczęły się cichutko otwierać, jak gdyby poruszał je wiatr. Ale Train wiedział, że otwiera je dłoń ludzka.

Poderwał się z lekka, z jednym kolaniem przygiętym ku drzwiom, niczym myśliwy składający się do strzału. Drzwi otworzyły się nieco szerzej. W mroku ukazała się postać ludzka podobna do cienia. W tejże chwili Steve Train skoczył zniemacka na wchodzącego.

Napaść była zbyt gwałtowna, aby tamten mógł się bronić. Upadł ciężko, odbił się o ścianę holu i leżał skulony na podłodze. Padając zdążył tylko jęknąć:

— Strzelaj, Bill!

I Bill wystrzelił.

Błysk wystrzału oślepił Traina, nie pozwolił mu nawet określić miejsca, w którym znajdował się drugi napastnik. Zobaczył tylko w tym krótkotrwałym blasku rewolwer pierwszego napastnika, porzucony na podłodze. Train schwycił go natychmiast, nacisnął cyngiel i wystrzelił na chybił trafił do człowieka stojącego w ciemnościach. Jednocześnie przeszył powietrze wystrzał z kolta, spowodowany przez tamtego. Ale Train już go dosięgnął i zamierzył się swą żelazną pięścią.

W tej chwili na dworze rozległy się wystrzały. Ktoś w stajni usłyszał, co się dzieje w domu i biegł na pomoc.

— Uciekajmy, Bill. Skończyło się! — krzyknął pierwszy napastnik i sam dał przykład ucieczki. Drugiemu nie trzeba było tego powtarzać. Rzucił się ku drzwiom i zniknął na dziedzińcu.

Train nie gonił ich. Musiał odeprzeć atak dwu nieznanymych wewnątrz domu, ale nie miał ochoty ryzykować życia w pogoni za nieznanymi.

Powrócił więc powoli do pokoju, w którym zaskoczyła go napaść, i zabrał się do czyszczenia butów, gwizdząc przy tym wesołą piosenkę.

Thompson wpadł do pokoju gwałtownie: podłużna jego twarz drgała od niepokoju, w prawej dłoni trzymał nabity sztucer. Train spojrzął na niego jak gdyby zdziwiony.

— Cóż to, Thompson? — spytał. — Wyglądasz na przerażonego. Co się stało?

— Co się stało! — krzyknął Thompson, a oczy mu błyszczały. — Bandyci napadli na dom, oto co się stało! Była strzelanina. Gdzież pan się przez ten czas podziwał?

— Spałem.

— Przez cały ten czas?

— Coś mi się chyba śniło.

— Ale pan ma krew na dłoni, Train. Cokolwiek się tu stało, brał pan w tym udział. Na Boga, niechże pan powie, czy nie uczyniono panu krzywdy?

— Skaleczyłem się moją własną ostrogą — odpowiedział Train spokojnie. — A teraz niech pan już wyjdzie.

Potrzeba mi spokoju. Dwu takich jak pan mogłoby zenerwować cały oddział wojska.

— Ależ pan ma rozdartą koszulę...

— Ma się rozumieć — odparł Train spokojnie. — I mam tu jeszcze w dodatku dwa rewolwery, których przedtem nie miałem. Może je pan kiedyś widział?

Pokazał mu dwa wielkie kolty.

— To nie pańska własność? — zdziwił się Thompson.

— Moja własność! — oburzył się Train, wzruszając ramionami. — Gdyby kiedykolwiek zdarzyło się panu zobaczyć moją broń taką brudną jak te rewolwery, pozwałam panu ukarać mnie przykładnie. Ta broń jest tak ohydnie zaniedbana, że nie ośmieliłbym się zabić z niej nawet świni.

Poza tym nie powiedział nic na temat tajemniczej walki. Służba sama — znajdując ślady krwi na ścianie, a na dziedzińcu porzucone dwie pary butów — bez trudu odgadła, że walka toczyła się tu istotnie.

Thompson tłumaczył się pokornie:

— Omyliłem się co do pana, Train. Zbyt wcześnie pana osądziłem, proszę mi wybaczyć.

— Niech pan to opowie Whimsy — odparł Train z okrucieństwem. — Mnie nie są potrzebne pańskie przeprosiny.

W ten sposób odparł wszystkie pytania oraz powinnowania i pochwały reszty służby i zmusił ich do tego, by powrócili do swoich mieszkań za stajniami. Rozeszli się, rozmawiając o tym, że nowy lokator tego domu, to bardzo odważny, niebezpieczny człowiek, a jednocześnie

uznano go za bardzo opryskliwego i nietowarzyskiego młodzieńca. Czyż nie pokazał im wyraźnie, że przedkłada towarzystwo koni nad towarzystwo ludzi?

ROZDZIAŁ IV

Umowa

Przez całą noc nie zjawił się żaden pan Gregg. Ale wczesnym rankiem wrócił ze swej podróży pan domu i oświadczył, że pojechał właściwie niepotrzebnie. Natychmiast po przyjeździe zasypano go opowiadaniem o napadzie na dom, o niezwyklej odwadze Traina i bohaterskim odparciu bandytów. Farmer mógł się więc od razu przekonać, że odwaga Traina nie pozostawiała nic do życzenia.

Mimo że sam Train nie dodał ani jednego szczegółu, żywa fantazja Thompsona i pozostałej służby zrobiła swoje. Patrick Comstock po raz setny musiał wysłuchać opowieści o pięciu olbrzymich bandytach, którzy wtargnęli do domu, wycelowali nabitą broń w kierunku Traina, a ten odparł atak sam, gołymi rękami.

Wreszcie Comstock zawezwał Traina i prosił go, by mu powiedział prawdę. Odpowiedź Traina była zadziwiająco szorstka.

— Zasnąłem jak kamień — powiedział. — Obudzili mnie jacyś dwaj ludzie, ale zdążyłem napaść na nich po ciemku w holu. Miałbym się z pyszna, gdybym to nie ja pierwszy ich zobaczył, ale oni mnie. To wszystko.

— Dosyć — powiedział Comstock spokojnie. — To mi

wystarczy. Train, życzę sobie, byś za pół godziny czekał na mnie przed domem, gotów do konnej przejażdżki. Mam ci coś do powiedzenia.

Po odejściu Comstocka przyszedł John Rainier.

— Jak to się stało, że ci dwaj bandyci napadli na dom? — spytał Train.

— Jak ci się wydaje, Steve?

— Comstock ich wynajął.

— Skąd ci to przychodzi do głowy?

— Bili się jak najemnicy.

Rainier potrząsnął głową pełen podziwu. Sprawa miała się dokładnie tak, jak Train przypuszczał. Comstock zapłacił dwu łotrzykom za to, by nocą napadali na Traina dozorującego samotnie w domu. Otrzymali dwie wskazówki: pierwsza, by nie rozpoczynali walki zanim nie upewnią się, iż Train ma przy sobie broń; druga, by sami nie strzelali. Miała to być jedynie próba nerwów Traina. Dwaj napastnicy szpiegowali najpierw Traina przez okno, ale napadnięci przez niego w holu, musieli bronić się, nie chcąc przypłacić życiem.

— A czy sprawdziłeś gotówkę w kasie? — spytał Rainier w końcu.

— Tysiąc sto dolarów jak obszył — odparł Train. — Przyszło mi z większym trudem schowanie tej sakiewki z powrotem do kasy niż załadowanie tony siana. Możesz mi wierzyć.

— Zapewniam cię, że ci się to opłaci — powiedział Rainier. — Stary jest teraz przekonany, że jesteś najuczciwszym mężczyzną na zachód od Missisipi. Zabiera cię teraz na przejażdżkę, by ci wyłożyć swój plan. Zrozumiałeś?

Jest to sprawa tak ważna, że nie dowierza ścianom własnego domu. Chce cię mieć przy sobie pod gołym niebem.

Cała sprawa wyglądała tak istotnie. Train osiodłał Whimsy i zajechał na dziedziniec. Thompson czekał już tam ze zgrabnym siwym konikiem, którego Comstock używał pod wierzch. Zjechali ze wzgórza we dwójkę, a gdy znaleźli się na dole, Comstock zwolnił biegu i skierował się ku widniejącej z dala rzece Św. Wawrzyńca. Dopiero po dziesięciu minutach tej spokojnej jazdy Comstock zaczął mówić:

— Przemyslałem tę sprawę wiele razy — powiedział. — Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli powierzę tobie całą prawdę. Muszę ci opowiedzieć najpierw o małym chłopcu, który mieszkał niegdyś w moim rodzinnym mieście. Chłopiec nazywał się Jim Cartwright. Byłem w najwyższej klasie szkoły, gdy on wstąpił do pierwszej i zaraz pierwszego dnia, gdy się zjawił w szkole, musiałem obronić go przed napaścią chłopców. Pochodził bowiem z południowego zachodu, a jak ci wiadomo, ludzie z tej prowincji mają szczególnie śpiewny akcent i zabawny sposób ubierania się. Tak się zaczęła nasza przyjaźń. Gdy dorósł, przystąpił do interesu, pomagałem mu znowu, ale wkrótce potem stał już o własnych siłach i nie potrzebował pomocy. Kupił sobie farmę. Po upływie pięciu lat spłacił ostatni dług, jaki miał na majątku, i zaczął rozszerzać interes. Dokupił więcej ziemi i chciał dokupić jeszcze, kiedy go namówiłem, by lepiej lokował swą gotówkę w pewnych akcjach, którymi byłem zainteresowany. Posłuchał mojej rady. Akcje spadły na łeb. Nastąpiły dwa

okropne lata, jeden rok gorszy od drugiego. Pewnego dnia Cartwright całkowicie zrujnowany pojechał na zachód i wydaje mi się, że zabrał się do pewnych niezgodnych z prawem zajęć. Słowem, Train, podejrzewam, że to on jest słynnym bandytą, grasującym pod nazwiskiem Jim Nair.

Nerwy Traina były dość zahartowane, by móc się opierać. Ale mimo to słowa Comstocka podnieciły go tak, że aż wrażliwa Whimsy zatańczyła w miejscu. Comstock przyjrzał się człowiekowi i klaczy ze szczerym podziwem. Był jednym z tych, którzy zazdroszczą ludziom zręczności i fizycznej siły.

— Jim Nair! - krzyknął Train.

— Jestem pewny, że to on. Pełne imię i nazwisko mego przyjaciela brzmiało: James Nair Cartwright.

— I tylko na tym opiera pan swoje podejrzenie?

— Czy to nie wystarcza?

— Powiedziałbym, że nie. Znał pan uczciwego człowieka, który był pańskim przyjacielem. A Nair to szatan. Rozmawia jedynie za pomocą kul. Ma na sumieniu przeszło dwudziestu ludzi. Nie, ten człowiek nie wygląda mi na takiego, co kiedyś ciężko pracował na roli.

— A moje doświadczenia mówią całkiem coś innego — powiedział Comstock. — Wydaje mi się, że właśnie człowiek przyzwyczajony do ciężkiej pracy, otrzymawszy cios w samo serce, może stać się najgorszym kryminalistą. O wiele łatwiej mu to przychodzi niż jakiemuś cherlakowi, który zszedł na złą drogę. To człowiek z rozumem i metodą pracy. Posiada siłę charakteru. Potrafi zorganizować sobie pomocników. Zna ludzi na wylot, wie, jak z nimi

postępować. I tak właśnie określają owego Jima Naira, który w ciągu ostatnich pięciu lat narobił tyle zamieszania. To wyjątkowy człowiek. Był zawsze wyjątkowy, dawniej w pracy, a dziś w zbrodni. Nie, jestem przekonany, że ci dwaj ludzie to jeden i ten sam człowiek.

Steve Train odpowiedział powątpiewającym potrząśnięciem głowy.

— Czy wygląda także tak samo? — spytał.

— Zgodnie z opisem, który mi dostarczano, tak. Cartwright był wysoki, chudy, bardzo silny, miał surową twarz i donośny, chrapliwy głos. Wszystkie te szczegóły zgadzają się z opisem Naira.

Train pokiwał głową:

— To już coś innego — powiedział spokojnie. — Ale o jednym mnie pan nie przekonał: uczciwy pozostanie zawsze uczciwym. Łotr łotrem.

— Bez wątpienia — zgodził się Comstock. — Rozmyślałem niekiedy o tym, czy też uległbym pokusom i zszedł z uczciwej drogi. Proszę mi wierzyć: niepokój ten budził mnie nawet czasem w nocy, nie byłem tak pewny siebie, ale z drugiej strony jestem przekonany, że taki uczciwy chłopak jak pan, nawet takich myśli nie ma.

Ten staruszek to cymbał — pomyślał Train, a jednocześnie gestem wyraził potwierdzenie.

— Ale wracajmy do naszej sprawy — ciągnął Comstock. — Mówiłem już o tym, że akcje, w których umieściłem pieniądze Cartwrighta, spadły. Czuję się ogromnie winny z tego powodu. Oczywiście namawiając go do tego kupna byłem przekonany, że spekulacje się powiodą, że Cartwright się wzbogaci, a ja sam będę milionerem.

Rozczarowaliśmy się razem. Ja sam byłem tak uderzony, że od tego czasu zaprzestałem wszystkich spekulacji giełdowych. Postanowiłem wywędrować na zachód i zająć się hodowlą krów; może słyszałeś, że powiodło mi się doskonale? Ale Cartwright był całkiem zrujnowany, a kiedy zaproponowałem mu odkupienie farmy, powiedział, że nie potrzebuje jałmużny. Był wyznawcą teorii, która głosi, że człowiek może tylko raz w życiu próbować szczęścia, nie więcej. Zdawało mu się, że jego moment już przeszedł, że nie będzie już drugiego w jego życiu. To dość rozpaczliwy punkt widzenia, prawda? W tym czasie zniknął gdzieś na zachodzie i wkrótce zaczęły stamtąd nadchodzić wieści o straszliwych czynach Jima Naira; wreszcie pewne szczegóły kazały mi podejrzewać, że Nair i Cartwright to jedna i ta sama osoba.

Usiłowałem sam się z nim skomunikować. Byłem gotów wówczas, tak jak jestem gotów teraz, pomóc mu wy dostać się z kraju i urządzić gdzieś za granicą. Ten człowiek jest zbyt mądry, by nie wiedzieć, że życie, jakie prowadzi musi się skończyć haniebną śmiercią, stryczkiem na szyi lub kulą w głowie. Usiłowałem go znaleźć, ale na próżno. Pewnego dnia szeryf zainteresował się listem do mnie od Jima. Miałem z tego powodu wiele kłopotów. Zrozumiałem, że nie mogę się z nim skomunikować bez ściągania wielkich przykrości na moją i jego głowę. Ale jednocześnie zrodziła się we mnie druga przyczyna, dla której za wszelką cenę chciałem się z nim spotkać. Najpierw była to tylko przyjacielska chęć pomocy, teraz czułem, że muszę to uczynić dla spokoju własnego sumienia.

Mówiłem już, że akcje należały do towarzystw spekulujących. Było to towarzystwo nafciane. Znaleźli się w nim różni spekulanci, którzy usiłowali podejść mnie, bo sami chcieli na tym zarobić. Ale i oni się przerachowali. I oto pewnego dnia stało się tak, że te bezwartościowe akcje zaczęły iść w górę. Każdego dnia stawały się droższe. Wreszcie osiągnęły taką cenę, o jakiej nigdy nie marzyłem. Udało mi się sprzedać na czas zarówno moje papiery, jak i Cartwrighta. Zanim bowiem wywędrował na zachód, zostawił akcje w moich rękach. Zarobek przypadający na Cartwrighta wynosił pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dość chyba na jednego człowieka.

— Pięćdziesiąt tysięcy! — powtórzył Train i zagwizdał.

— A teraz. Train, proszę zrozumieć, na czym polega moja propozycja. Muszę przesłać te pieniądze Nairowi. Ale jak go znaleźć? Oczywiście nie ma on stałego adresu. Tłucze się z miejsca na miejsce po górach, nie może go wysledzić cała sfora prześladowców, ale jestem przekonany, że jeden odważny, inteligentny i obznajmiony z okolicą człowiek mógłby się z nim spotkać. Temu człowiekowi dałbym z sobą owych pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Przerwał i spojrzał na Traina, ale młodzieniec w tej chwili wyobrażał sobie minę Johna Rainiera. Jakże zapłonęłyby mu jego małe świńskie oczka na dźwięk tak olbrzymiej sumy. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

— Oczywiście tym człowiekiem, którego mam na myśli, jesteś ty, Train — powiedział Comstock. — Gdybyś zechciał się podjąć tej misji, powierzyłbym ci te pieniądze.

— Czemu nie? — skwitował Train.

— Pamiętaj, że to sprawa niebezpieczna. Z jednej strony ścigając Naira narazisz się na to, że będzie cię uważał za wroga. A wrogowie, którzy go ścigają, szybko stają się z myśliwych zwierzyną. Będzie cię uważał za wroga, więc w jakiż sposób przybliżysz się do niego tak, by mu dać pieniądze?

— Rozumiem, że to niełatwo.

— Ale to jeszcze nie wszystko. Będziesz miał przeciwko sobie prawo. Nie ulega wątpliwości, że gdy policja dowie się, iż masz zamiar wręczyć pięćdziesiąt tysięcy dolarów przestępcy, będzie cię ściagała ze wszystkich sił, by ten zamiar uniemożliwić i skonfiskować pieniądze.

Train milczał, a Comstock kontynuował.

— To nie żarty mieć prawo przeciw sobie — powiedział wreszcie. — Tak, to nie żarty. Nie chciałbym ukrywać żadnej trudności przed tobą. Chcę cię na wszystko przygotować, mój przyjacielu.

— Gdyby mnie schwytali, zapłaciłbym niewątpliwie głową. Każdy kto pomaga bandycie, jest uznany sam za bandytę, takie jest prawo.

— Tak i mam wrażenie, że to słuszne prawo. Ale nie ulega żadnej wątpliwości, że dla mego własnego spokoju, dla szczęścia reszty mego życia, muszę wręczyć te pieniądze biednemu Jimowi. Ta suma mu się należy i ty, Train, jesteś jedynym człowiekiem, który może mi w tym pomóc.

— Jest pan pewien, że to uczynię? — spytał Train.

— Jestem przekonany.

— Trzydzieści dolarów tygodniowo za taką przysługę to za mało.

— O, jeżeli chodzi o zapłatę, sam ustalisz jej wysokość. Wymień tylko sumę, Train, a zgodzę się natychmiast. Ale sądzę, że ta gra pociąga cię także i dla samej gry. Że rozmiłujesz się w tym niebezpieczeństwie. Czy nie mam słuszności?

Train czując, że już dość długo się opierał, kiwnął głową twierdząco.

— A więc zawarliśmy układ! — zawołał Comstock zachwycony. — Mój drogi chłopcze, jestem szczęśliwy!

I odwróciwszy się na siodle, wyciągnął ramię i uściśnął mocno dłoń Traina.

ROZDZIAŁ V

Na niebezpiecznym gruncie

Train w ciągu całej swej podejrzanej kariery życiowej uważał uścisk ręki za najświętsze zobowiązanie. Mógł sprzeniewierzyć się swemu podpisowi, swemu ustnemu przyrzeczeniu, ale podanie ręki pieczętowało na zawsze umowę.

Nie wiadomo dlaczego podanie ręki miała dla Steve'a takie znaczenie. Może było to niejasne uczucie, że w owej chwili, kiedy nie sposób jest sięgnąć po broń, dwaj ścisnąjący sobie dłonie ludzie są w równym stopniu zdani na łaskę losu. I teraz także, gdy wbrew własnej woli Comstock uściśnął mu dłoń, poczuł, że klamka zapadła.

Nie uważał tego za najgorszy interes. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które spadają jak z nieba, z których połowę mógł sobie sam zagarnąć, to niezła gratka, nie warto

psuć jej jakimikolwiek niemądrymi skrupułami. Dwa-
dzieścia pięć tysięcy dolarów! Tyle przypadnie na jego
łup i będzie to kapitał, o jakim zawsze marzył, bo chciał
rozpocząć planową karierę szulera na wielką skalę. Mógł
co prawda i z mniejszą sumą w kieszeni ogrywać ludzi w
karty, ale wiedział z doświadczenia, że im większą ma się
sumę przy sobie, tym łatwiej jest opróżniać mieszki
swych graczy.

Zawrócili w stronę domu. I zaczęli omawiać szczegóły
wyprawy, a uczciwy Patrick Comstock wyznał Trainowi, z
całą szczerością, że wypadki uprzedniej nocy były przez
niego zainscenizowane jako sposób na wypróbowanie
Traina. Nie było żadnego pana Gregga. Dwaj napastnicy
zostali wynajęci, ale Comstockowi nie trzeba było ich
świadcstwa, bo od razu poznał się na odwadze i uczciwo-
ści Traina.

Młodzieniec słuchał z uwagą i zdumieniem tych szcze-
rych słów i uspokajał się myślą, że są widocznie jeszcze
na świecie ludzie tak naiwni. Jednocześnie słuchał uważ-
nie wszystkiego, co mu Comstock opowiadał o Nairze.

Dziwna i okrutna opowieść o tym bandycie powtarza-
na była wielokrotnie na zachodzie. Ale nikt nie znał tyłu
szczegółów, co właśnie Train. Podróżował przez miesiąc z
pewnym człowiekiem, który był niegdyś członkiem bandy
Naira i został przez niego wypędzony za jakieś wykrocze-
nie. Jeszcze, oddalony od niego przestrzenią tysięcy mil,
drżał na sam dźwięk nazwiska Naira. Opowiedział Tra-
inowi o niektórych faktach z życia bandy i samego hersz-
ta. Przede wszystkim dowiedział się od swego informato-
ra, że Nair najchętniej powraca w góry Banton, uważając

je za idealne schronienie, bo są tam dzikie skały, bystre rzeki, ciemne wąwozy, niedostępne lasy, które on zna doskonale.

Train nie znał dobrze tych gór. Postanowił więc od razu, że nie będzie się wcale zapuszczał w tę okolicę. Po prostu wzięwszy pieniądze, pojedzie na północ, a następnie skryje się, potem spotka się z Rainierem, odda mu połowę łupu i wyruszy przed siebie: na wschód lub zachód, zależnie od tego, gdzie będzie bezpieczniej.

Tak rozmyślając, wrócił do domu, odstawił Whimsy do stajni, nakarmił ją troskliwie i wrócił do mieszkania.

Tu natknął się na Rainiera; na twarzy służącego malowała się rozpacz.

— Szatan uknuł przeciw nam spisek! — zawołał Rainier. — Jak ci się zdaje, kto przyjechał do miasta?

— Nie wiem. Kto?

— Nasz przyjaciel, Steve, stary przyjaciel.

— Kto taki?

— Gresham.

Steve Train mimo woli dotknął broni zawieszanej u pasa.

— Gresham? — powtórzył.

— Tak, stary, we własnej osobie.

— Jaki diabeł go tu przyniósł? Do kogo przyjechał?

— Nie do ciebie.

— Więc do ciebie, John. Czy masz z nim jakieś sprawy?

— Nawet mnie nie zna. W każdym razie nie pod tym nazwiskiem. Ale obawiam się, że o tobie słyszał wiele i to najgorszych rzeczy, Steve. Może cię w każdej chwili

zdemaskować. Gresham dowiedział się od ludzi, że tu jesteś i poszedł prosto do domu starego. W tej chwili z nim rozmawia.

— Rozmawia z Comstockiem?

— Tak.

— Nie mógłbyś go jakoś zwieść?

— Nie. Greshama nie. To chytry lis. Mógłbym najwyżej przychwycić go gdzieś w kącie i zmusić do zaśnięcia, ale na to już za późno. Zresztą Gresham nie daje się tak szybko przychwycić, to detektyw i spryciarz.

Stali jeszcze naprzeciw siebie w milczeniu, gdy zjawił się jeden z chińskich służących z poleceniem, iż pan Comstock życzy sobie mówić z panem Trainem, i to bardzo szybko.

— Już cię ugotował, Steve — powiedział Rainier z jękiem. — Co zamierzasz teraz robić?

— Czy przypuszczasz, że mam zamiar zwiać dlatego, że tu jest Gresham?

— A jeżeli cię wsypał?

— Słuchaj, John, w tej grze nie chodzi o głupstwa, to poważna gotówka.

— Ile?

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów — powiedział Train powoli, akcentując każde słowo.

Sługa zbladł z wrażenia.

— I same włożą nam w ręce — powiedział.

— Wszystko było załatwione. Miałem jutro dostać forszę do ręki i zaraz wyruszyć do Naira.

— Do Naira? Jima Naira?

— Tak. Ten stary Comstock to chodząca uczciwość.

Jakieś stare akcje w jego rękę, należące niegdyś do Naira, poszły w górę. Teraz Comstock nie może spać spokojnie, dopóki nie odda bandycie pieniędzy. Czy możesz to zrozumieć?

— Wariat — powiedział sługa, stukając się w czoło.

— Oczywiście, że wariat. A teraz pogadam sobie z Greshamem.

— Pogadasz z nim? Co masz na myśli, Steve?

— To, co powiedziałem.

— Chcesz się z nim widzieć?

— Czemu nie? Widział mnie tylko raz w jednym miesiącu i to pod innym nazwiskiem.

— Uprzedzam cię, przyjacielu, jak się dostaniesz w jego łapy, to przepadło.

— Być może, ale gra ta jest warta świeczki.

— Co on może o tobie wiedzieć?

— Nie wiem i nawet sobie nie wyobrażam, muszę się tego dowiedzieć.

— Steve, jesteś człowiekiem bez nerwów. Jesteś zimny jak lód. Zeznam to, gdy będzie potrzeba, nawet w sądzie.

— Zeznam, gdybym kiedyś tego potrzebował — odparł Train spokojnie.

Powiedziano mu, że Comstock oczekuje go w bibliotece, tam też się udał. Zapukał. Surowy głos Comstocka kazał mu wejść. Wszedłszy, zastał gospodarza siedzącego w kącie pokoju, z twarzą ukrytą w cieniu. Dym zapalonego papierosa unosił się wokół jego postaci. Najwidoczniej nad czymś głęboko rozmyślał.

— Ach, Train, mam ci coś ważnego do powiedzenia, weź krzesło, dobrze?

— Doskonale — odparł Train, przysunął sobie krzesło blisko do fotela tamtego. Nie zdążył jeszcze usiąść, gdy przeszywający głos zawołał za jego plecami:

— Curry!

Jednocześnie zobaczył, że wzrok Comstocka zawisł z uwagą na jego twarzy. Mimo że był uprzedzony, Train musiał zebrać całą przytomność umysłu, by się nie zmieszać i nie zdradzić ani jednym ruchem. Nerwy jego były doskonale wyszkolone w ciągu długiej kariery gracza. Niejednokrotnie musiał przecież trzymać je z całych sił na wodzy, gdy przy zielonym stole ktoś był bliski odkrycia jego szulerskich sztuczek. Wytrzymał z całym spokojem spojrzenie Comstocka i powoli odwrócił się na krzesło w stronę głosu.

Detektyw stał w drzwiach z dłonią wyciągniętą w kierunku Traina.

— To pan, Curry! — krzyknął. — Nareszcie schwyciłem cię, ptaszku. Trwało to długo, ale wreszcie cię mam i nie wypuszczę.

Palce Traina same ciągnęły do rewolweru ukrytego w fałdach kurtki, ale powstrzymał się z wysiłkiem.

— Czy to jakaś nowa próba, panie Comstock? — spytał spokojnie gospodarza.

Farmer przyglądał się uważnie obu mężczyznom i z wyrazu jego twarzy łatwo było poznać, że nie wie jeszcze, co o tym wszystkim myśleć.

— Ten człowiek mówi, że ciebie zna — powiedział wreszcie. — A ty go nie znasz, Train?

— Tego człowieka o donośnym głosie? — powtórzył Train jak gdyby chcąc zyskać na czasie.

— Proszę go mnie pozostawić, panie Comstock — powiedział detektyw. — Już ja odświeżę mu pamięć. Spodziewałem się tego, że o mnie zapomniął. Takie ptaszki jak on, mają niekiedy króciutką pamięć. Ale ja przedłużę mu ją.

ROZDZIAŁ VI

Trudna próba

Pan Gresham był to mały człowieczek. Nie miał czarnych przenikliwych oczu ani kruczych włosów, ani długiej twarzy, ani nastrzępionych brwi i wysokiego czoła myśliciela. Nie był milczący ani ponury, ani subtelny. Zamiast tego wszystkiego miał blade błękitne oczy i niewidoczne brwi. Drżał z niecierpliwości jak podrażniony pies, który zamierza się rzucić na przeciwnika. Jedną dłoń trzymał w kieszeni, drugą zaciśniętą w pięść wyciągnął przed siebie.

— Pańskie nazwisko — powiedział — brzmi Curry. W każdym razie tak się pan nazywał, kiedy ostatnim razem spotkaliśmy się w St. Louis. Może się mylę?

— Niech pan mówi dalej — rzekł Train z uśmiechem. — Podoba mi się pański sposób mówienia. Niech pan także słucha, panie Comstock. Ten pan chce mnie zabawić jakąś zmyśloną bajeczką.

— Owszem, mam zamiar uważnie słuchać — odparł Comstock poważnie i oschle.

Był to poważny cios dla Traina. Aż do tej chwili był przekonany, że Comstock ani na chwilę nie wziął na serio

wynurzeń detektywa. Teraz przekonał się, że wierzy mu przynajmniej do połowy.

— Niech pan mówi dalej, przyjacielu — zwrócił się Train protekcjonalnie do gościa. — Jak się pan właściwie nazywa?

— Wie pan doskonale, że nazywam się Gresham. Wie pan o tym, bo przecież znamy się nieźle. Ale myślę, że poznamy się jeszcze lepiej. Wówczas gdy nazywał się pan Curry, smyczek, którym pan grał, dźwięczał nieco fałszywie. Pracował pan wtedy w St. Louis z niejakim osobnikiem zwanym Doktorem, specjalistą od pokera. On ci naganiał ofiary, a tyś je obrabiał, mój panie.

— Dalej, dalej — powtórzył Train. — Słucham.

— Będę mówił dalej — powiedział detektyw. — Nie trzeba mnie zachęcać. Zanim przybył pan do St. Louis, miał pan już na sumieniu kilka napadów bandyckich, między innymi słynny napad nocny na ranczo Carvera. Znany pan był z tego, że wszędzie nosił pan z sobą gitarę.

— To zabawne, panie Comstock — powiedział Train do pana domu — ja rzeczywiście grywam na gitarze.

— Hm — mruknął Comstock — proszę niech pan dalej mówi, Gresham.

— W owym czasie nazywali pana Chłopakiem z harmonijką. Przedtem jeszcze pracował pan w mieście Hamilton i nazywał się pan Biały Paweł. A zanim pan przybył do Butte, znali pana w Tucson i nazywali Chalmersem z dwiema strzelbami.

Zatrzymał się, jak gdyby chcąc sprawdzić, czy słowa jego zdążyły już zmiażdżyć Traina, ale ten spokojnie otrząsnął popiół z swego papierosa i powiedział:

— Byłem także kiedyś w Tucson, ale to i gitara — to jedyne dwa prawdziwe szczegóły z mego życia.

Mówiąc to patrzył prosto w twarz swego oskarżyciela. Comstock przyglądał się obu z wyrazem twarzy człowieka, który ma poważne wątpliwości. Potrząsnął głową.

— Proszę mi zostawić tydzień czasu — zwrócił się Gresham do Comstocka, a dowiodę panu czarno na białym, że ten niewinnie wyglądający młodzieniec jest niebezpiecznym łotrem, mało gorszym od samego Jima Naira.

Na dźwięk tego nazwiska Comstock i Train spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— To bardzo ciężkie oskarżenie, jak na tak młodego chłopca — powiedział farmer do detektywa.

— Zapewniam pana, że to prawda — odparł Gresham. — To nie wiek stanowi o sprawności bandyty, tak jak wiek nie stanowi o głosie śpiewaka operowego. To trzeba się urodzić z talentem, z wiekiem go się nie nabywa. Ten człowiek, którego pan tu widzi i nazywa Trainem, jest jednym z urodzonych łotrów. Umie trzymać broń, rzucać karty na zielony stół i dobrze nimi manipulować. Nazywali go człowiekiem o dwu strzelbach. Czy pan to rozumie, panie Comstock?

Farmer przypomniał sobie ową scenę na dziedzińcu, kiedy to z ptaka została tylko kupka piórek. Spojrzał na Traina z niepokojem.

— Train — powiedział — rozumiem, że większość ludzi, którzy potrafią znakomicie obchodzić się z bronią i strzelać z dwu strzelb jednocześnie, to bandyci. To ludzie, których potrzeba zmusza do tego rodzaju zręczności,

gdyż żyją w nieustannym strachu o swe życie. Większość z tych, co muszą się o siebie lękać, to ludzie wyjęci spod prawa, przestępcy. Nie chcę sam wyciągać dalszych wniosków. Powiedz mi, czy jestem w błędzie?

— On panu powie! — zawołał z ironią detektyw. — Powie panu zaraz, że człowiek władający dobrze bronią, bywa prawą ręką szeryfa. Powie też panu, że dobry strzelec bywa chlubą uczciwych ludzi. No, Curry, gadaj pan swoją bajeczkę.

Ale Steve Train dobrze się namyślał, co ma powiedzieć. Doszedł do wniosku, że nie wolno mu uchwycić nici, którą podaje mu detektyw. Mimo że nawet w tej chwili miał za pasem dwa rewolwery, pokiwał spokojnie głową.

— O, znam kilku z tych ptaszków władających jednocześnie dwoma koltami — powiedział — i rzeczywiście były to podejrzane indywidualia. Ale niektórzy znowu ćwiczą się w takim strzelaniu dla zabawy. Znałem także i takich, którzy jednocześnie trafiali w dwie tarcze dwoma rewolwerami. Ci, muszę przyznać, nie byli w porządku z prawem.

— Co? — spytał Comstock.

— Ale nie wiem, do czego to wszystko prowadzi — mówił dalej Train. — Zjawił się tu człowiek, który twierdzi, że znał w St. Louis bandytę nazwiskiem Curry. Może znał wielu łotrów i może jeden nazywał się Curry i może ten Curry często zmieniał nazwisko. Cóż to ma ze mną wspólnego? Nazywam się Steve Train, nigdy nie byłem w Saint Louis. Nigdy nie widziałem miasta Butte. Gresham opowiada o jakimś człowieku strzelającym z dwu rewolwerów jednocześnie. Nigdy tego nawet nie próbowałem.

Potrafię dać sobie radę z jednym i to wystarczy.

Comstock pokiwał głową na znak, że może zaświadczyć o tym, jak dalece Train dobrze strzela, ale Gresham energicznie zamachał dłonią.

— Nigdy nie używa dwu broni! — krzyknął. — Panie Comstock, założę się o dziesięć dolarów przeciw jednemu, że on i w tej chwili ma przy sobie dwa rewolwery.

Train zatrzymał w ustach kłęb dymu. Tylko jakaś heca może go teraz uratować. Po chwili powiedział:

— Proszę sprawdzić, panie Gresham, zgadzam się.

I dodał:

— Dziesięć dolarów przeciw jednemu, Gresham. Założę się, czemu nie? Mogę dołożyć jeszcze drugie tyle.

Gresham potrząsnął głową takim gestem, że Trainowi serce na chwilę zamarło. Wiedział, że Greshama nikt jeszcze nigdy nie zdołał wyprowadzić w pole.

— Trzymam zakład — powiedział chłodno detektyw i zbliżył się, aby obszukać Traina.

Straciłem w tej chwili dwadzieścia pięć tysięcy dolarów — pomyślał Train, ale jako dobry gracz patrzył prosto w oczy przesładowcy, a nawet się uśmiechał.

— Proszę mnie rewidować — powiedział spokojnie — ale bez względu na to, czy znajdzie pan przy mnie jeden rewolwer czy dwa, będę ostatnim człowiekiem, którego pan w życiu kontrolował.

— Słyszał pan? — zwrócił się detektyw do Comstocka. — Wszyscy oni są jednakowi. Kiedy ich przycisnąć, natychmiast pokazują zęby.

— Uprzedzam pana — powiedział farmer — że on może

dotrzymać słowa. Lepiej niech go pan nie rewiduje.

Gresham roześmiał się:

— Od piętnastu lat mam do czynienia z podobnymi lotrzykami. Jeszcze nie spotkałem takiego, który by mi nie groził nożem lub kulką. I jakoś żyję.

— Chwileczkę — zawołał nagle farmer.

Gresham zwrócił ku niemu posępne spojrzenie:

— Co takiego? — spytał.

— Nie potrzebuje go pan rewidować.

— Czemu?

— Zmieniłem zdanie.

— Zmienił pan zdanie? Zaczął pan mu wierzyć?

— Nie mam zamiaru robić porównań między nim a panem. To moja sprawa, co zdecyduję ostatecznie. Tymczasem przyznaję tylko, że zadał sobie pan wiele trudu, aby mi pomóc i nigdy panu tego nie zapomnę. Mimo to muszę pana prosić, by przestał się pan interesować tą sprawą.

— Po tym wszystkim, co... — zaczął Gresham.

Ale był zbyt doświadczony w swoim fachu, by nie urwać w połowie zdania. Wzruszył ramionami z rezygnacją.

— To już pańska sprawa — powiedział — jeżeli pan chce poderżnąć sobie gardło, ma pan do tego prawo. Ale będzie pan tego gorzko kiedyś żałował. Daję panu na to moje uroczyste słowo.

Potem zwrócił się do Traina:

— Zimny drań z ciebie, Curry. Ale nie sądz, że skończyłeś już ze mną. Ja nie jestem z tych. Jeszcze się spotkamy.

Odszedł. Cisza zaciążyła na dwu mężczyznach siedzących w bibliotece.

Wreszcie Comstock, który długo z pochyloną głową zdawał się liczyć wzory na dywanie pokrywającym podłogę, podniósł swe mądre, stare oczy na młodzieńca.

— Train...

— Tak panie?

— Sądzę, że mimo wszystko powierzę ci dziś po południu sumę, o której była między nami mowa.

Kamień spadł z serca gracza.

— Panie Comstock — powiedział po prostu — jestem rad, że potrafił się pan poznać na człowieku, któremu można zaufać.

A w głębi duszy pomyślał:

Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów to niezła sumka na początek. Ale czemu miałbym dzielić się z Johnem. Czemu ma dostać tyle samo co ja, bez żadnego ryzyka?

— Kiedy wyruszysz Train?

— W chwili, gdy otrzymam pieniądze.

Comstock odwrócił się, otworzył skrytkę w ścianie i wyjął z niej podłużną, brunatną kopertę.

— Znajduje się tu pięćdziesiąt tysięcy dolarów w banknotach, a tu pokwitowanie. Tutaj natomiast dwieście dolarów na twoje wydatki w drodze. Podpisz kwit, Train.

Train pełen radosnego zdumienia podpisał papier, który głosił, że otrzymał od Patricka Comstocka pięćdziesiąt tysięcy dolarów i zobowiązał się wręczyć je człowiekowi znanemu pod nazwiskiem Jim Nair, sprawdzwszy uprzednio, czy ów Jim Nair to rzeczywiście James Nair Cartwright.

— Czy jeszcze czegoś chcesz, Train?
— Nie, niczego, proszę pana. Do widzenia.
— Do widzenia, Train. Życzę ci dużo szczęścia. Rób wszystko, co chcesz, tylko ocal swe życie. Ale obawiam się, że narażasz się na śmiertelne niebezpieczeństwo.
Train pokiwał lekko dłonią i już opuszczał bibliotekę.
— Train! — zawołał za nim farmer.
Serce gracza podskoczyło ze strachu. Ale gdy się obejrzał, zobaczył, że stary farmer siedzi spokojnie za biurkiem i uśmiecha się przyjaźnie.
— Chciałem jeszcze ci coś powiedzieć, Train — dodał.
— Byłem naprawdę zdumiony.
— Z jakiego powodu, panie?
— Że człowiek, który tak znakomicie włada jedną bronią, nie próbował nigdy strzelać z dwu rewolwerów.
Mimo woli policzki Traina pokryły się rumieńcem. Ale opanował się szybko i powiedział spokojnie:
— Każda umiejętność ma swoje granice. Są różne sposoby strzelania, prawda?
Comstock przesunął dłonią po twarzy i patrzył przed siebie jakby w zamyśleniu.
— To już wszystko — powiedział. — Do widzenia.

ROZDZIAŁ VII

Ucieczka

Train znalazłszy się za drzwiami, otarł z czoła krople potu. Niewątpliwie farmer uśmiechnął się na końcu i usiłował dłonią zakryć ten uśmiech. Czemu tak się stało?

Czyżby mimo wszystko wiedział, kim Train jest naprawdę? W takim razie sztywna, brunatna koperta nie zawiera prawdziwych banknotów, a wszystko, co się teraz odgrywa jest tylko nową pułapką na Steve'a. Rozważał tę sprawę na wszystkie strony, kierując się do stajni. Jakkolwiek się stało, ma przed sobą teraz tylko jedno: osiodłać jak najszybciej Whimsy i jechać przed siebie. Jeżeli z całej tej przygody wyniesie tylko marzenie o bogactwie, nie będzie to jeszcze najgorsze, co go mogło spotkać.

W stajni sięgnął po kopertę i otworzył ją. Nie mógł ani chwili już zwlekać ze sprawdzeniem zawartości. Ale spojrzenie wystarczyło mu, by się przekonać, że pieniądze, mimo wszystko, były prawdziwe. Skrawek jednego tylko banknotu już powiedział o tym jego doświadczonemu oku.

Mniejsza o to, co oznaczał ironiczny uśmiech Comstocka, w tej chwili był on dla Traina jedynie żalonym gestem, jakim farmer żegnał na zawsze swoje pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Gdy wsuwał pieniądze z powrotem do wewnętrznej kieszeni, poczuł, że ktoś delikatnie dotyka jego ramienia. Odwrócił się i ujrzał za sobą detektywa. Twarz jego wykrzywiona była od powstrzymywanego gniewu.

Train zadrżał tak samo jak przed paroma chwilami, kiedy znajdował się wobec niebezpieczeństwa zdemaskowania.

— A więc jednak zdobyłeś gotówkę — powiedział Gresham.

Train rozejrzał się wokół siebie ostrożnie. Nie było nikogo kto by mógł słyszeć ich rozmowę.

- Wyjdźmy na dwór — powiedział.
- Wyszli z detektywem na dwór. Tylko Whimsy mogła teraz słyszeć, co mówią.
- Jesteśmy sami — powiedział Gresham — bez świadków. Gadaj teraz całą prawdę. Jesteś Curry?
- Oczywiście.
- Jesteś „Chłopakiem z harmonijką”. Tak?
- Prawda.
- Wykonałeś „robotę” w Tucson?
- Ma się rozumieć.
- A teraz mimo wszystkich ostrzeżeń Comstock powierzył ci gotówkę?
- Możesz się przekonać — odparł Train, przyciskając kieszeń, w której sześciła koperta.
- Przypuśćmy — powiedział detektyw — że jest to człowiek bogaty i że ta strata nie będzie dla niego tak wielka, ale wytłumacz mi, gdzie on miał głowę? Gdzie była jego stara, głupia głowa, kiedy ci dawał pieniądze?
- Train zastanawiał się nad tym samym przez cały czas, toteż nic nie odpowiedział. Po chwili spytał detektywa:
- A tobie jak się zdaje?
- Nie pytałbym ciebie, gdybym wiedział. Ta historia po prostu mnie oszołomiła. Czemu nagle kazał mi przestać mówić i wyrzucił mnie? Przecież nie robiłeś mu żadnych znaków.
- Nie.
- Gresham milczał chwilę, wreszcie powiedział:
- Więc do widzenia, Curry. Jeszcze się spotkamy.
- Train zabrał się do siodłania Whimsy. Ręce mu drżały

z wielkiego pośpiechu. Właśnie skończył robotę, kiedy zjawił się John Rainier.

Służący, jeżeli można tak nazwać niezwykle funkcję, jaką pełnił w domu Comstocka Rainier, aż dyszał z podniecenia.

— Steve? Steve? — to było wszystko co zdołał wykrztusić.

— Mam je.

— Pięćdziesiąt tysięcy...

— Milcz. Tu powietrze ma uszy.

— Wiem, ale czemu teraz nie zrobić podziału?

— Nie. Tak jak umówiliśmy się, w Curly.

— To za daleko. Czemu nie tu? — Oszalałeś... — Steve, jeżeli spróbujesz mnie oszukać... Rainier dotknął kieszeni, w której miał broń.

— Nie mam zamiaru ciebie oszukiwać, John. Ale jeżeli zaczniemy tu się dzielić, wyśledzą nas... jest tu Gresham...

— Chcę mieć tu natychmiast moją część albo...

— Oszalałeś, John. Dobrze, dam ci zaraz pieniądze. Wyciągnął z kieszeni brązową kopertę, otworzył ją.

Przeliczył drżącymi palcami połowę zawartości i resztę wsunął z powrotem do kieszeni. Część przeznaczoną dla Rainiera zostawił w kopercie. Ten chwycił ją zachłannie.

— Bądź zdrow, Steve.

— Zobaczmy się w Curly!

Co u diabła chce on przez to powiedzieć! — pomyślał Rainier, ale nie miał już czasu zadać tego pytania, bo Train cmoknął na klacz, która pognała przed siebie

z błyskawiczną szybkością. Po chwili zniknął na zakręcie drogi.

Rainier nie miał okazji do policzenia natychmiast otrzymanych pieniędzy, zacisnął tylko swe chciwe palce na zwiniętej kopercie i rozmyślał o swym bogactwie. Zanim zdążył jeszcze postanowić, co teraz zrobi, zobaczył wynurzającego się zza budynków stajennych Greshama. Detektyw szedł prosto ku niemu z rękami w kieszeniach i z krótką fajeczką w zębach.

Rainier zagryzł wargi i pobladł.

— Halo! — zawołał na powitanie detektyw. — Czy ten Curry, to jest Train, to pański przyjaciel?

— Przyjaciel? Czemu?

— Bo widzę, że pan był ostatnim, który go żegnał przed podróżą.

Czy widział coś, czy tylko chce mnie wybadać? — myślał z niepokojem Rainier.

— Pożyczył ode mnie pięć dolarów, więc wyszedłem, żeby je od niego przed wyjazdem odebrać — powiedział Rainier spokojnie. — Tego typu ptaszki mają krótką pamięć.

— Doprawdy? — spytał detektyw. — A czy zawsze odbiera pan pięć dolarów w kopercie?

A więc grał w otwarte karty. Rainier niespokojnie rzucał spojrzenie na boki. Myśli najróżniejsze wirowały, mu w głowie. Jeżeli zastrzeli Greshama, odgłos wystrzału zwabi całą służbę przed stajnie, nie zdąży osiodłać konia, a jeżeli będzie uciekał piechotą, jego krótkie nogi nie poniosą go daleko.

Rozejrzał się jeszcze raz. Wysoko na bladym niebie kołysał się sęp. O, mieć skrzydła jak ptaki, móc w każdej

chwili wzbić się w powietrze!

Ta poetyczna myśl była słabym ratunkiem dla Rainiera.

ROZDZIAŁ VIII

Pan Bumpera

Miasto Curly zostało obrane na miejsce spotkania Rainiera i Traina, gdyż leżało o trzydzieści mil na północny zachód od miasta Św. Wawrzyńca i rano Rainier mógł się tam dostać kolejką i jeszcze tegoż dnia przed północą wrócić do domu.

W ten sposób jego wyjazd nie zwróciłby zbytnej uwagi Comstocka i nie oderwałby go na długo od obowiązków w domu na wzgórzu. Train i Rainier zdecydowali bowiem, że gwoli bezpieczeństwa, Rainier powinien pozostać jeszcze przez kilka dni po podziale łupów na służbie i nie wzbudzać żadnego podejrzenia. Następnie pod jakimkolwiek pretekstem miał podziękować za posadę i oddalić się na wschód. Dopiero wtedy mógłby zacząć swobodne życie i korzystać ze zdobytych pieniędzy.

Train pędził przed siebie nie zwalniając ani na chwilę biegu i przechodząc tylko z galopu w kłusa i odwrotnie. Mimo to, gdy zapadł już gęsty mrok, on wciąż jeszcze znajdował się o dziesięć mil od Curly.

Nagle ujrzał nie opodal jakieś domostwo, z komina wydobywał się słup dymu, a gdy podjechał bliżej, poczuł smakowity zapach smażonej słoniny.

Odgłos kopyt Whimsy wywołał na próg domu jakiegoś

starca o siwych włosach. Staruszek wymachiwał ku niemu trzymany w ręku widelcem i uprzejmie zapraszał, by „wstąpił, a dostanie przekąskę”.

Train przyjął z wdzięcznością to zaproszenie. Miał z sobą worek z owsem dla Whimsy, nie potrzebował więc odprowadzać klaczy do stajni. Przywiązał ją przed domem, zaopatrzywszy w worek z paszą, a sam wszedł do wnętrza.

Staruszek stał przy kominie i przewracał na patelni skwierczące płaty słoniny. Cały kąt pokoju zawalony był skórami dzikich kotów. W drugim rogu leżało posłanie starego i stał oparty o ścianę sztucer.

Na pytanie Traina: „Jak tam stoją interesy?” stary odpowiedział, że upolował wiele zwierząt, a teraz zamierza wyruszyć w dalsze strony, jak tylko sprzeda skóry w Curly. Nie zadał żadnego pytania Trainowi, ale wszczęła rozmowę o jego klaczy.

— Jakże się panu podoba? — spytał Train.

— Musi być niezła — odparł stary traper.

Potem podszedł do drzwi i popatrzywszy jeszcze raz na Whimsy, dodał żartobliwie:

— Cóż, ma szyję i cztery nogi.

— Tak, to prawda — potwierdził Train.

— Szczerze mówiąc i nie obrażając pana — ciągnął stary — ja osobiście wolę starego Bumpera. Pokaż no się, Bumper, panu.

Bumper, stary mustang, którego sierść zdążyła już z wiekiem posiwieć, odwrócił głowę i spojrzał na swego pana oczyma, w których dwadzieścia lat pracy nie zdołało zgasić jeszcze pełnych przebiegłości błysków.

— Cóż to, Bumper, nie znamy się już na manierach towarzyskich? — krzyknął traper.

Bumper machnął ogonem i wierzgnął przednią nogą, jak gdyby zginał ją w ukłonie. Stary roześmiał się wesoło.

— Widział pan, taki to pocziwy koń — powiedział. — Wystarczy mi widzieć go rano, jak się obudzę, a już jestem wesół cały dzień. Są tacy, co muszą golnąć kieliszek whisky, mnie wystarczy, by ten koń na mnie łypnął oczkiem i to mnie podnosi na duchu. Dwadzieścia lat męczymy się tak razem: Bumper i ja. Jakoś tam Bóg czuwa nad jego zębami i nogami. Pan nie ma pojęcia, jaką wytrzymałość ma ten Bumper. Może przebiec dziennie pięćdziesiąt mil w ciągu całego miesiąca, dzień po dniu. Bywało tak, że przebywaliśmy stepowe okolice i przez kilka dni nie miał co żreć ani pić. Przy końcu takiej podróży wystarczyło mu pokazać starą, zamuloną studnię, a lizał muł zamiast wody, i to mu smakowało; jadł zgniłe zielsko zamiast siana, z wielkim apetytem. Naza jutrz był już gotów do dalszej drogi. Czy może pan coś podobnego powiedzieć o swojej kłaczy?

Tu spojrzął z dumą na Steve'a:

— Nie, nie mogę — przyznał Train.

— Widzi pan, każdy się na nim pozna, a zwłaszcza ludzie stepu i pustyni. To koń dla takich właśnie ludzi.

I rozradowany spojrzął na Traina, jak gdyby czekając, czy nie zaprzeczy. Ale Train potakiwał z uśmiechem.

— Niewielu już dziś spotyka się takich ludzi jak pan

— powiedział przyjaźnie do starego trapera. — W czym mogę panu tu pomóc?

— Nie trzeba, nie trzeba! — krzyczał stary. — Niech pan siada, rozprostuje sobie nogi. Ja wszystko sam zrobię. Nie jestem, u diabła, kaleką. Zaraz przyniosę wodę i nastawię do zmywania talerzy, a przez ten czas, co woda się będzie grzała, zjemy sobie kolację.

— Ja przyniosę wodę — powiedział Train.

— Nie, zostań i siedź spokojnie — zawołał traper.

I Steve posłusznie usiadł.

Gdy tylko traper zniknął z oczu, Traina ogarnął niepokój. Nie miał zamiaru ograbiać ubogiego domostwa gościnnego staruszka, ale miał to już we krwi, że gdy znalazł się sam w obcym domu, musiał się dokładnie rozejrzeć i zapoznać ze wszystkim wokoło. W tym wypadku udał się prosto do jedyne miejsce, które mogło zawierać jakieś wartościowe przedmioty, do posłania, na którym sypiał staruszek.

Przerzucił je szybko. Ale znalazł tam tylko pudełko zawierające przybory do golenia i szycia zawinięte w kawałek skóry. Obok leżał jeszcze jakiś pakuneczek, starannie zawinięty jak skarb. Były to dwie kartki wyrwane z ilustrowanego pisma. Na jednej ze stron znalazł wyblakłą fotografię przedstawiającą bez wątplenia samego trapera, choć najwyraźniej robiona była przed co najmniej dwudziestu laty. Artykuł przy fotografii opowiadał, jak Tom Alexander, którego widzimy na zdjęciu, od siedmiu lat zajmuje się przewożeniem przez dzikie okolice cudzych pieniędzy i mimo nieustannego niebezpieczeństwa ze strony bandytów i Indian nigdy jeszcze nie stracił ani

dolara z powierzonych mu sum. Spełniał tę zaszczytną służbę, mając zaledwie własnych dwadzieścia dolarów i jeden rewolwer na piersiach.

Train miał tylko kilka sekund czasu do przerwania treści artykułu. Potem pośpiesznie zamknął pudełko, zwinął kartki gazety i uporządkował posłanie. Czekając teraz na powrót trapera, siedział głęboko zamyślony nad tym, co zobaczył. Więc jak to się dzieje? On Steve Train, przestępca, wróg społeczeństwa, ma jako dwudziestopięcioletni chłopak dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Życie upływa mu łatwo wśród niebezpieczeństw, które jedynie podniecają jego fantazję. A z drugiej strony jest tu stary człowiek, który całe życie uczciwie służył społeczeństwu i cóż za to ma? Nędzną chałupę, która nawet nie należy do niego, kilka dolarów w kieszeni, kilka marnych skór schnących na belce w kącie izby, jednego starego konia i starą strzelbę, a jako skarb największy chowa w nędznym posłaniu dwie kartki gazety zapisane przez jakiegoś łowcę nowin, dla którego ten artykuł o Alexandre przedstawiał godzinę roboty i dwadzieścia dolarów zarobku. Ten pośpiesznie nabazgrany artykuł, ta wyblakła twarz na fotografii, to wszystko, co pozostało Tomowi Alexandrowi jako cały dorobek jego życia. To dyplom jego uczciwości. To dowód powszechnego uznania — skrawek papieru, nic więcej.

Steve Train potrząsnął głową. Dla niego to było nie do pojęcia.

Ludzie są jak owce — pomyślał — robią na ślepo to, co im każą prawa. Ale nagle znajduje się wśród nich jeden, który stwierdzi, że całe prawo to bujda. Taki człowiek

staje się wilkiem, który spada z góry na owce i wybiera sobie co lepsze. Nie potrzebuje wówczas pracować, ma wszystko, czego mu trzeba. Po co pracować, kiedy można świetnie żyć bez pracy?

Traper powrócił. Zjedli razem szynkę i jajecznicę i napili się kawy. Podczas jedzenia stary traper snuł swoje wspomnienia z czasów, gdy powierzono mu nadzór nad prowadzeniem karawany wiozącej żywność dla żołnierzy murzyńskich. Pewnego razu na karawanę napadli indiańscy bandyci. Obronił się.

Słuchający go uważnie Train, zwierzył się z powierzonej mu misji.

— Znam się na tych sprawach doskonale. Możeszjechać spokojnie dalej, mój synu. Będę trzymał język za zębami — zapewnił traper.

— Czy nie czuje się pan nigdy samotny? — spytał jeszcze Train, siedząc już w siodle.

— Samotny? — zdziwił się stary. — Widzisz synku, kiedy człowiek dochodzi do osiemdziesiątego roku życia ma tyle myśli, iż zastępują mu najlepszych kompanów.

— Myśli o czym? — spytał Train.

— O tym, czego w życiu nie zrobił — odpowiedział stary i cień smutku przeleciał mu po twarzy. — I o tych rzeczach, które zrobił — dodał z dumą.

Wówczas Steve Train odwrócił się ku swej klaczy, dotknął leciutko boków, a Whimsy pognała jak szalona przed siebie.

Przemknęły koło niego karłowate krzewy, na horyzoncie rysowały się ciemne wzgórza, noc roztoczyła się

wokół, a nad głową świeciły towarzyszące mu w drodze gwiazdy.

Nie zwracał na to wszystko żadnej uwagi. Po raz pierwszy w życiu ogarnęły go wątpliwości. Co z nim będzie, gdy dojdzie do lat osiemdziesięciu? Jakie będą jego myśli o tym, co w życiu zrobił i o tym czego nie zrobił? Myślał już dawniej o tych sprawach, ale teraz powróciły z całą siłą. Myślał o tym, że w uczciwości jest jednak wielka moc. Że to nie byle co być uczciwym człowiekiem, który potrafi obywać się bez pieniędzy i bez wygód.

Zatopiony w tych myślach nie poczuł wcale, kiedy przebył wiele mil dzielących go od starego trapera.

Oto w gęstym mroku nocnym ujrzał błyszczące z dala światełka miasta Curly.

ROZDZIAŁ IX

W Curly

Gdy Rainier zrozumiał wreszcie, jaki kawał zrobił mu Train, ogarnęły go dwa sprzeczne uczucia: wściekłość i ulga. Wściekłość, że dał się tak łatwo podejść i ulga, że nie jest w tej chwili narażony na więzienie, które nie minęłoby go z pewnością.

Przed chwilą był przekonany, że Gresham już zatriumfuje, a oto po chwili zamiast dwudziestu pięciu tysięcy dolarów detektyw trzymał w ręku kilka kuponów monopolu tytoniowego.

— No więc — powiedział Rainier spokojnie do agenta

— widzi pan, że nie było po co trzymać przede mną lufy, nie mam nic i nic nie jestem winien.

— Niech i tak będzie — odparł rozczerowany wywiadowca i nie dodając już ani słowa więcej, odwrócił się i oddalił szybko w kierunku niżej położonej dzielnicy miasta Św. Wawrzyńca, pomiędzy domy Meksykanów.

A Rainier myślał o czymś innym. Przypomnił sobie, że ostatnie słowa Traina brzmiały: „W Curly”. Może więc Train doprawdy chce podzielić się łupem, tylko nie zrobił tego tutaj przez ostrożność? Może w Curly wręczy mu bez oporu należną część pieniędzy?

Toteż gdy tylko skończył swą dzienną robotę, wszedł do pociągu i udał się do Curly. Przybył tam jeszcze przed zmierzchem.

Miasto Curly zawdzięczało swą nazwę nazwisku jego założyciela, wybudował tu swoją siedzibę — na skrzyżowaniu szlaków, którymi pędzono bydło. Te szlaki zniknęły od tamtego czasu. Na ich miejsce zjawily się inne, lepsze drogi, a bydło pędzono teraz bardziej na południe. Mimo to miasto wciąż żyło, a nawet rozwijało się. Wiodło jakiś dziwny żywot wśród stepów, żywot, którego nikt właściwie dobrze nie rozumiał.

Miasto raz zrodzone, umiera z trudem, zwłaszcza jeżeli jest to miasto na zachodzie. Ludzi zachodu sprowadza w te same od lat miejsce jedynie przyzwyczajenie. Byli więc tacy, którzy stale wracali do Curly. Handlarze krów z pobliskich farm uważali Curly za dość duże miasto i urządzali w nim comiesięczne targi. W mieście znajdował się wciąż jeszcze hotel, prowadzony przez starego Curly'ego, który zawsze gotów był do rozmowy o dawnych,

dobrych czasach. Przyjeżdżali więc do niego wieczorami z okolicy ludzie, a on opowiadał im o tych latach, kiedy to mężczyzna był mężczyzną, strzelby gadały lepiej niż ludzkie języki, a prawo było jeszcze nieśmiałą nowością w tych stronach.

Rainier jadł kolację w hotelu Curly'ego. Przy stole było prócz niego zaledwie trzech gości. Wielka jadalnia pograżona była w mroku. Świeciła się jedna tylko lampa. Wystarczała dla jednego stołu i skąpej liczby gości. Czasy, kiedy zatrzymywały się tu setki podróżnych, odeszły już bezpowrotnie. Każdy miesiąc oznaczał większą stratę dla Curly'ego. Każdy miesiąc pograżał go bardziej i bardziej. A mimo to nie chciał porzucić tego interesu. Gdyż z chwilą zamknięcia hotelu, umarłoby to miasto, a wraz ze śmiercią miasta, zmasane zostałoby z powierzchni ziemi nazwisko Curly'ego.

Rainier słuchał z roztargnieniem wciąż tych samych, ale zawsze interesujących opowiadań gospodarza, dopiero nazwisko Naira zwróciło jego uwagę.

— Zna pan Naira? — spytał ostro.

Curly położył płasko dłoń na błyszczącej ceracie pokrywającej stół.

— Wszyscy znają Naira — powiedział. — Wszyscy go znają i nikt go nie zna.

— Widział go pan? — spytał służący ciekawie.

— Oczywiście. Był tutaj kiedyś podczas swych wielkich łowów.

— Nair? — krzyknął Rainier.

— On sam we własnej osobie.

Reszta gości zwróciła zaciekawione spojrzenie na małego

tłuściocha. Oni wszyscy słyszeli tę historię niejednokrotnie i dziwili się, że jeszcze ktoś może jej nie znać.

— Czy zamordował kogoś? — spytał Rainier, szeroko otwierając oczy.

Curly roześmiał się.

— Nie poświęcił zbyt wiele czasu naszej okolicy — powiedział. — To było tak. Pewnego wieczora liczyłem gotówkę wyjętą z kasy. Był to okres suszy i chłopcy z okolicy nawet zaglądając do baru, prawie nic w nim nie zostawiali. Liczę więc pieniądze, ale nagle podnoszę głowę i widzę jakiegoś wysokiego mężczyznę w progu sali. Jego szerokie bary wypełniały cały niemal otwór drzwi.

— Czy wycelował do pana broń? — spytał Rainier zaciekawiony.

Właściciel hotelu roześmiał się na nowo:

— Nie zna pan widocznie obyczajów Naira. Nigdy nie zaczyna od celowania z broni, ale zawsze jest w pogotowiu i gdy trzeba strzela. Tylko że ja nie dałem mu powodu do strzelania.

Wszyscy obecni roześmiali się wesoło,

— Ma pan tam gotówkę — powiedział.

— Mam — odparłem.

— Zabieram ją — on na to.

— Doskonale, proszę bardzo — rzekłem.

— Cóż to, dobroczyńca z pana czy tchórz? — spytał.

— Może jedno, może drugie — odpowiedziałem z uśmiechem. — A może po prostu żyję zbyt długo, by umierać z ochotą. Tylko młodzi ludzie są zawsze gotowi na śmierć, Nair.

— Ach, więc pan mnie zna?
— Tak.
— Po czym pan mnie poznał?
— Po ponurej twarzy — odparłem.
— Ponurej? — powtórzył, marszcząc brwi, gdy palce jego przesunęły się w kierunku broni.
— Ponurej — powtórzyłem — bo na pańskiej twarzy maluje się zbrodnia.
Nie spuszczał ze mnie oka, ale i ja nie uląkłem się jego wzroku.
— Dawaj pan gotówkę — powiedział.
Włożyłem mu pieniądze w rękę.
— Tu jest tylko pięć i pół dolara — powiedział. — Pan coś przede mną ukrył.
— Nie jestem wariatem. To wszystko, co dziś utargowałem.
— Przez cały dzień?
— Tak, przez cały dzień.
Wsunął pieniądze do kieszeni i powiedział:
— A teraz będę jadł.
Poszedłem z nim razem do kuchni i przygotowałem mu dobre jedzenie. Nie mówił ani słowa.
— Jak pańskie sprawy? — spytałem sam po chwili.
— Doskonale — odparł. — A pańskie interesy?
— Poprawią się dopiero teraz — powiedziałem.
— Czemu to? — zdziwił się.
— Będą tu wpadali do mnie chłopcy na kieliszek, żeby usłyszeć moje opowiadanie o napadzie Naira. Jak wyglądał? Co mówił? Co jadł? To dla mnie warte więcej niż tych pięć i pół dolara.

— Chciałbym być przy tym, jak będzie pan o mnie opowiadał — powiedział.

Zjadł wszystko, wypił kawę i odwrócił pustą filiżankę do góry dnem na spodku.

— Bądź zdrow, Curly — powiedział. — Zimny z ciebie chłop. Cieszę się, że cię poznałem.

Uścisnął mi rękę i złożył wargi w grymas podobny do uśmiechu. Potem wyszedł.

— Czy usiłował pan zorganizować za nim jakiś pościg? Czy próbował go pan schwytać? — pytał Rainier.

Gospodarz spojrział na niego z takim wyrazem twarzy, który jasno mówił, że uważa to pytanie za idiotyczne, po czym ciągnął dalej, jak gdyby tamten o nic nie pytał:

— Kiedy odwróciłem filiżankę, z której pił i którą tak dziwnie postawił na spodku, znalazłem tam moje pięć dolarów pięćdziesiąt srebrem, a prócz tego jeszcze złotą pięciodolarówkę...

Rainier wydał okrzyk podziwu. Przysłuchujący się gości wymienili między sobą spojrzenia i uśmiechy. Najwidoczniej ten nieznajomy nie był z ich sfery, skoro nie rozumiał takiego gestu wspaniałomyślności, choćby ze strony bandyty.

Toteż gdy po skończonej kolacji Rainier wyszedł na werandę wypalić papierosa, nikt mu nie towarzyszył.

Pierwszą osobę, jaką zobaczył, był Steve Train.

Stał na ganku oparty plecami o mur domu. Rainier podbiegł do niego szybko, a serce biło mu jak szalone.

— Mój Boże, Steve! — zawołał. — Jestem szczęśliwy, że cię znowu widzę. Tak się o ciebie bałem. Robiłem jednak, co mogłem, byś cało uniósł głowę; Czy wiesz, że ten

przeklęty Gresham rzucił się na mnie po twoim odjeździe, zrewidował mnie i znalazł przy mnie tylko kupony. To był mądry kawał z twojej strony, Steve.

— Dziękuję — powiedział Train oschle i nie dodał ani słowa więcej.

Rainier czekał chwilę i robiło mu się coraz bardziej niejako. Wreszcie powiedział nieśmiało:

— Sądzę, że teraz nic nam już nie przeszkodzi w dokonaniu podziału.

— Jakiego podziału? — spytał Train.

— Jakiego? Cóż to Steve, chcesz mnie oszukać?

— Masz na myśli swoją część pięćdziesięciu tysięcy?

— Właśnie o to mi chodzi.

— Słuchaj, Rainier. Przemyślałem tę sprawę gruntownie. Doszedłem do wniosku, że dostaniesz połowę mojego zarobku z tej sprawy.

Wyjął kilka banknotów i podał je Rainierowi, który szybko odwrócił pieniądze ku światłu. W ręku miał prawdziwe sto dolarów.

— Łotrze! — krzyknął. — Jeżeli sądzisz, że możesz...

— Chwileczkę. Dostałem tylko dwieście dolarów na moje wydatki. Daję ci połowę tego. Co się zaś tyczy owych pięćdziesięciu tysięcy, to się rozmyśliłem i oddam je, co do centa, Nairowi.

— Train, nie uciekniesz mi z tymi pieniędzmi. Myślisz, że ze mnie taki głupiec, ale mylisz się. Ja ci pokazę...

Urwał w pół zdania.

— Ty psie o płaskiej twarzy — powiedział cicho Train.
— Będziesz milczał, nie będziesz mi w niczym przeszkadzał. Inaczej rozliczę się z tobą.

Zszedł ze stopni ganku, wskoczył na Whimsy, wciąż twarzą obrócony ku Rainierowi, który był zbyt sparaliżowany strachem i wściekłością, by wyjąć broń z zanadrza.

Train odjechał powoli. Zniknął w mrokach nocy.

ROZDZIAŁ X

Zemsta Rainiera

Nie ma nic bardziej zaprawionego jadem niż wściekłość oszusta, który został wywiedziony przez innego przestępcę w pole. Dla Rainiera myśl, że oszukał go Train była podwójnie bolesna. Wiedział, że on, mieszcuch, jest bezsilny wobec śmiałego wędrowca górskiego i że z chwilą gdy tamten oddzieli się ścianą wzgórz i przestrzenią stepów nic go już nie osiągnie.

Postanowił zmiażdżyć Traina raz na zawsze. Ale jak to uczynić? Przecież to on sam włożył mu w rękę ten wielki skarb. Ani na chwilę zaś nie wierzył w te śmieszne bajdy opowiadane przez Traina. Steve miałby doprawdy zanieść ten cały majątek bandycie, wyjętemu spod prawa?

O, Train musi odpokutować za swoje oszustwo! Jaką karę wybrać dla niego? Dwadzieścia lat za kratami, to dla takiego ptaszka stokroć gorsza kara niż śmierć przez powieszenie. Ale w jaki sposób do tego doprowadzić?

Siedząc w ciemnościach na ganku hotelu, Rainier oddawał się tym rozmyślaniom. I nagle przyszedł mu na myśl jeden jedyny sposób. Prawo. To znenawidzone prawo, które było zawsze jego wrogiem, upiorem spędzającym mu sen z powiek; prawo; którego kościista dłoń co

chwila groziła mu zaduszeniem; ten jad wsączający się do jego życia miał być teraz bronią, jakiej użyje przeciw Trainowi.

Pomysł był tak prosty, że Rainierowi aż łzy radości stanęły w oczach. Tak, obróci prawo przeciw Trainowi. Co więcej, obróci przeciw niemu gniew uczciwego człowieka, który mu zaufał i którego on oszukał. Czymże był jego własny gniew na Traina? Był co prawda szalony i zapamiętały, wstrząsał nim silniej niż uczucie strachu czy skąpstwa. Ale z drugiej strony i on sam miał przecież podobne sprawy na sumieniu. Czyż nie oszukał i nie opuścił w biedzie swego przyjaciela Sinclaira w Chi? Gdyby któremuś ze swych dawnych towarzyszy poskarżył się na Traina, odpowiedziano by mu kpinami, zamiast współczuciem. Ale ktoś, kogo Train oszukał, był inny. I kiedy ten, który mu zaufał całym sercem; ten, który nie miał nikogo na sumieniu, dowie się o oszustwie, nie będzie na ziemi ani pod ziemią takiego miejsca dla Traina, gdzie by się mógł skryć przed zemstą Comstocka.

Wzburzenie Rainiera było tak wielkie, tak bardzo był zajęty swymi myślami, że sam nie wiedział, kiedy przebył drogę z powrotem do miasta Św. Wawrzyńca.

Zatrzymawszy się przed domem Comstocka, zawahał się przez chwilę, to wyznanie przyniesie i dla niego przykre konsekwencje: koniec ze spokojnym i wygodnym życiem na wzgórzu.

Koń zarżał od strony stajni, na podwórzu zaszczekał pies, mocny zapach eukaliptusów rosnących przed domem, uderzył mu w nozdrza. Tak bardzo zdążył polubić życie w tym domu. Ale raczej je porzuci niż zaniecha

zemsty na Trainie, a do zemsty tej potrzebuje koniecznie Comstocka.

Pełen tych myśli wszedł do domu i udał się wprost do farmera. Zastał go, jak zwykle o tej porze, w bibliotece. W jasnym kręgu lampy pięknie wyglądała jego siwa głowa na tle półek z książkami w różnobarwnych okładkach: zielonych, czerwonych i szafirowych, suto złożonych na grzbietach.

Comstock odłożył czytaną książkę, a Rainier postanowił wyrzucić z siebie natychmiast całą historię, starając się pokryć swoje grzechy wagą przestępstw Traina.

— Panie Comstock — powiedział — przynoszę panu złe wieści.

Farmer słuchał. Nigdy nie przerywał, gdy ktoś mówił. Wieści złe czy dobro, smutne czy radosne przyjmował w milczeniu.

— No więc cóż? — spytał Rainiera. — Co się takiego stało?

— Train.

Comstock nawet nie drgnął w swym fotelu, a ręce złożone na kolanach, spoczywały tam nieporuszenie. Umiał się opanować.

— Cóż z Trainem?

— Oszukał pana i mnie...

— Skąd to wiesz?

— Wsadził do kieszeni pieniądze, które mu pan powierzył, i uciekł, gdzie go oczy poniosły, gdzie mu będzie najlepiej.

Mówiąc to, kiwał głową z przekonaniem.

Tym razem Comstock został istotnie mocno ugodzony.

Pięćdziesiąt tysięcy to niemała suma, nawet dla milionera. Ale mimo to nie myśl o straconych pieniądzech sprawiła, że pobladł gwałtownie. Słowa jego były jednak spokojne i przemyślane.

— Czy wiesz, że Train przywłaszczył sobie moje pięćdziesiąt tysięcy, czy tylko przypuszczasz, że wiesz?

— Widziałem, jak je Train liczył jako swoje.

— Widziałeś?

— Panie Comstock, to wszystko od początku było zbudowane na oszustwie. Nie wiem, co pan sobie pomyśli o mnie, dla którego był pan tak dobry, ale ja od dawna czułem, że to się tak skończy. Kto raz był oszustem, nigdy nie przestanie nim być.

— To nieprawda, Rainier — powiedział Comstock surowo. — Znałem łotrów, którzy potem byli uczciwi. W każdym człowieku jest taka mieszanina złego i dobrego.

— Nie w takich ludziach jak Train.

— Cóż ty o nim wiesz? Opowiadałeś mi, że to najuczciwszy człowiek, jakiego znasz, tylko trochę leniwy. Wypróbowałem jego siłę i odwagę. Widziałem go przy koniach. A teraz mówisz mi całkiem coś innego? Cóż to ma znaczyć?

— Panie Comstock, to człowiek, który zbyt wiele potrafi. Oto jego największa wada. Znam go na wskroś. Kiedy był dzieckiem, opowiadał niestworzone historie. Po cóż miałyby mówić prawdę wtedy, gdy może tak łatwo kłamać? A prócz tego ten człowiek potrafi biec prędej, mierzyć celniej, kręcić chytrzej, walić silniej i osiągać swój cel szybciej niż inni ludzie.

Po cóż ma być uczciwy, kiedy nieuczciwością zajdzie z łatwością dalej? Taki jest Train. Znam go od lat. Ma zbyt wiele rozsądnych powodów na to, by być łotrzykiem. Raczej zobaczy pan białego kruka niż uczciwie postępującego Traina. Jest pan w wielkim błędzie, twierdząc, że każdy człowiek może być uczciwy.

— Mów tylko o sobie, nie wydawaj sądu o innych, Rainier — powiedział farmer surowo.

Jego powaga uciszyła służącego natychmiast.

— A wracając do sprawy Traina. Więc powiadasz, że zabrał pieniądze, jakie mu powierzyłem, i przywłaszczył je sobie.

— Tak, panie.

— Jesteś tego pewien?

— Wszystko to było z góry ułożone. Sprowadziłem go tutaj, bo wiedziałem, że jest oszustem. Wiedziałem także, że jest na tyle sprytny, by udawać uczciwego.

— Kłamiesz, kłamiesz! — jęknął Comstock. — Sam podejrzewałem go chwilami, ale potem byłem pewien...

Załamiał dłonie ze wstydu i rozpacz. Na Rainierze zrobiło to wrażenie. Zdołał tylko wybąkać:

— Czego pan był pewien?

— Byłem pewien, że wielka sprawa, sprawa olbrzymiego zaufania, naprawdę wielka misja wystarczy na to, by sprowadzić go na prostą drogę. Ale może byłem szalony. Zdawało mi się, że ten chłopak może ukraść dziesięć tysięcy, ale nie postąpi tak bezczelnie z pięćdziesięcioma tysiącami i z moim zaufaniem.

— On?! — krzyknął Rainier. — On ukradłby złoto z

pomnika, gdyby mógł je zdrapać, wyciągnąłby ostatni grosz z kieszeni lekarza, który by go darmo leczył. On nie może nie kraść, ma to we krwi.

Farmer spojrzął ponuro na Rainiera:

— A ty sprowadziłeś go tutaj, by się podzielić z nim łupem?

— Panie Comstock...

— Nie skamlać mi tutaj. Wolałbym żebyś celował do mnie z rewolweru niż żebyś tu skamlał. Cokolwiek zrobiłeś, gadaj mi tu zaraz wszystko, całą prawdę.

— Powiem, panie Comstock. Tak, sprowadziłem go tutaj, Bóg jeden wie, że...

Wargi Comstocka poruszyły się gwałtownie.

— Lepiej byłoby dla niego, żeby ograbił bank niżli mnie — powiedział wreszcie. — Poświęcę resztkę mego życia, resztkę majątku na to, by dosięgła go ręka sprawiedliwości.

Z ust Rainiera wydarły się słowa ulgi:

— Wiedziałem, że pan tak powie!

— A co się tyczy ciebie — mówił farmer powoli i spokojnie — wiesz dobrze, że nic ci się nie stanie. Jestem ci zbyt wiele winien. A to żeś wyzyskał fakt mojej wdzięczności, to niesłychane. Jednym cię tylko mogę jeszcze obdarzyć: moją pogardą. A teraz wynoś się, Rainier.

Nawet najbezczelniejszy człowiek miewa chwilę, kiedy jest dotknięty. Rainier z łatwością znosił nienawiść i pogardę setek ludzi, ale przestraszył się pogardy tego człowieka. Sunął ku drzwiom tak szybko i taki skulony, jak gdyby farmer mierzył do niego z nabitej broni. Miał

uczucie jakby od drzwi dzieliły go całe kilometry ziemi płonącej pod nogami.

Wreszcie dopadł holu, wybiegł na dziedziniec i odetchnął z ulgą.

Stało się, stało się — powtarzał do siebie. Chwała ci, Panie. Train jest już wykończony albo ja nie jestem sobą.

Schodził powoli ze wzgórza, gwiżdżąc pod nosem. W połowie drogi ku miastu przestał gwizdać.

Tymczasem Comstock posłał do miasta człowieka, któremu polecił odszukać detektywa Greshama. Farmer umiał przyznawać się do popełnionych błędów.

— Miał pan słuszność, Gresham — powiedział — omyliłem się.

Detektyw wzruszył ramionami.

— Nie wątpiłem nigdy w fakty opowiadane przez pana.

— Jak to? Więc wiedział pan, że to co mówię jest prawdą? — zdziwił się wywiadowca.

— Wiedziałem. Wiedziałem nawet i to, że on naprawdę strzela z dwu rewolwerów jednocześnie.

— Więc czemu mnie pan oddalił?

— Bo wierzyłem w coś innego. Zdawało mi się, że zdołam zrobić z Traina człowieka uczciwego... Czy mogłem znaleźć innego człowieka, który by podjął się wszystkich niebezpieczeństw związanych z odnalezieniem Naira?

— Nie — odparł detektyw. — Nikt nie nadawałby się do tego lepiej niż on, ale tylko w tym wypadku, gdyby pan mógł go uczynić uczciwym.

— Nie, to było niemożliwe. Teraz dopiero to widzę.

Przypuśćmy, że byłem szalony, ale jestem za to ukarany. Rainier opowiedział mi wszystko. Sprowadził go tutaj i umówił się z nim, że podzielił się łupem. Potem Train nie dotrzymał umowy, więc Rainier go wsypał. Mniejsza o Rainiera, ale Train...

— Co takiego?

— Czy może mi pan ręczyć za to, że go schwyta?

Wywiadowca zawahał się.

— Nie — powiedział wreszcie.

— Czemu nie?

— Nie mogę mieć pewności. Ale mogę obiecać, że zrobię, co będzie w mojej mocy.

— Lubię, gdy się tak mówi. A teraz, Gresham, chcę dla pana coś zrobić, za to, że pan mi chce pomóc. Co mogę zrobić?

— Niech mi pan da trochę pieniędzy.

— Ile zażądasz.

Gresham potrząsnął głową.

— To nie dla mnie te pieniądze. Dla mnie wystarczy satysfakcja, jeżeli ten ptaszek złapie się w sidła. Pieniądze będą mi potrzebne tylko do przeprowadzenia sprawy. Potrzebni mi będą pomocnicy. Tropienie w górach takiego człowieka jak Train, czy jak on się tam naprawdę nazywa, to robota podobna do chwytania w sidła dzikiego tygrysa. Muszę mieć pieniądze, by wynająć ludzi.

— Niech pan odsyła mi wszystkie rachunki. Będą spłacone — powiedział farmer.

Błyski zapaliły się w oczach Greshama:

— W takim razie Train jest mój. Może jutro, może za rok. Ale w końcu go będę miał!

ROZDZIAŁ XI

Na tropie Naira

Klacz znalazłszy się w kręgu blasku padającego od ogniska, nastawiła uszu i zarżała rozgłośnie, a ten dźwięk ostrzegł leżącego na czatach, że zbliża się ktoś obcy.

Wyjrzał zza skały i zobaczył jeźdźca na koniu. Gdy jeździec znalazł się w blasku światła, można było wyraźnie zobaczyć, iż klacz miała za sobą długą i męczącą drogę. Mimo to trzymała głowę równie prosto jak jej śliczny, młody pan.

Wartownik zmienił pozycję tak, że lufa jego strzelby trzymanej między kolanami skierowana była na nieznanego. Nigdy nie można być pewnym tych gości, co zjawiają się nieproszeni o północy, a w tym niespodzianie wynurzającym się z mroków młodzieńcu było coś wyjątkowo niepokojącego.

Mimo to wartownik nie okazywał żadnego lęku. Poprawił strzelbę i czekał.

Przybysz nie zdradzał jednak złych zamiarów. Zeskoczył z klaczy i prowadził ją za sobą, wspinając się na wzgórze. W rękę zwiął sobie papierosa. Gdy mu zaproponowano poczęstunek, odmówił.

— Jadę na północ — powiedział. — Jadam tylko wtedy, gdy jestem głodny.

I uśmiechnął się do wartownika szczerym uśmiechem.

— A klacz? — spytał tamten.

— Jest za bardzo grzana, żeby mogła jeść — powiedział

nieznajomy, przesuając pieszczotliwie dłoń po lśniącej sierści klaczy.

Sięgnął po zapalki do kieszeni i gdy je wyjmował, wypadły mu dwa dwudziestodolarowe banknoty.

— Hej — zawołał jowialnie wartownik — gdzieś to urwałeś takie dwa listki?

— Z drzewka pokerowego — odparł tamten.

Stary wartownik roześmiał się wesoło.

— Jeszcze nigdy nie natrafiłem na takie drzewko o tej porze roku — powiedział. — Drzewa rodzą dla mnie same ciernie.

— Trzeba mieć tylko zręczne paluszki, by się cierniami nie pokłuć — odparł Train.

Na te słowa stary przyjrzał się uważniej swemu gościowi. Ale mimo że wielkie czarne oczy patrzyły mu prosto w twarz, wyraz ich był nieprzenikniony. Cóż to za zagadkowy gość? Mimo woli spojrział na własne dłonie, grube i spracowane. Tak, na pewno były na tym świecie pola, na których nic nie potrafił działać. Jego dłonie mogły sięgać do tajemnic skalnych, ale nie mogły się równać z giętkimi palcami przybysza.

— I nie lęka się pan tak jeździć z pieniędzmi samotnie po okolicy? Może pana przychwycić wielki łotr.

— Któż to taki?

— No, wie pan już...

— Nie zadawaj mi zagadek.

— No wie pan przecież. Mam na myśli Naira.

Nawet wśród gór, w ciszy nocnej zniżył z lękiem głos, wymawiając to imię.

— Słyszałem już o nim.

- Spodziewam się, że pan słyszał.
- Przybywam z południa. Dotarły tam do nas opowiadania o Nairze, ale prawdę mówiąc, uważam go za pyszałka i kłamcę.
- Niech pan lepiej nie mówi tu tego nikomu.
- Czy on do tego stopnia straszy ludzi?
- Wartownik rzucił wokół niespokojne spojrzenie i lekko zadrżał.
- On i mnie nastraszył — powiedział szczerze. A po chwili dodał:
- A ja nie jestem z tych, co się byle czego lękają. O, widzi pan, takie listki z drzewka pokerowego, to coś dla Naira.
- Czy lubi hazardowe gry?
- Nie słyszałem o tym.
- Chciałbym się z nim spotkać. — To się tak panu tylko zdaje.
- Nie, wiem na pewno.
- To zagwiżdż pewnego dnia, a przyleci do ciebie — roześmiał się stary ironicznie.
- Będę zawsze gotów na to spotkanie.
- Z bronią w ręku, co? — zaśmiał się tamten na całe gardło.
- Ale nagle spowaźniał i powiedział:
- Chyba, że jesteś z tego gatunku...
- Z jakiego? — spytał ostro Train.
- Wartownik wzruszył ramionami i dodał:
- Zresztą nie wiem. Jak zechce pan znaleźć Naira, to go może pan w końcu znajdzie. Zwłaszcza w tej okolicy.

- Ale gdzie?
- Tego nie wiem. Ale niech pan jedzie do Morristonu, a tam zrozumie pan, co mówiłem.
- Gdzie jest Morriston?
- Tam, za wzgórzami.
- A kiedy nadejdzie dzień, w którym Nair tam się pojawi?
- Nie wiem, może jutro, może za kilka dni, w każdym razie będzie tam wkrótce.
- Co tam robi?
- Znajduje sobie tam ludzi, którzy chcieli rwać listki z drzewka pokerowego, a którym się przy tym powinęła noga. Wybiera sobie spośród nich takich, co mogą mu się przydać.
- Ilu ludzi bierze z sobą na tę robotę?
- Rozmaicie, w zeszłym roku był sam.
- Doprawdy?
- Tak, a dwa lata temu wziął sobie młodego Billa Mathewsa.
- A ilu ludzi przywozi z takich łowów?
- W zeszłym roku przywiózł ich około dwudziestu.
- A co na to szeryf?
- Szeryf to dobra sztuka, ale Nair lepsza.
- Tacy jak Nair interesują mnie — powiedział Train.
- Obawiam się tylko, czy tacy jak pan interesują Naira.
- Zobaczymy. Czy w Morristonie jest hotel?
- Oczywiście.
- Bywajcie.
- Bywaj, towarzyszu. Życzę szczęścia.

Train zjechał na swej czarnej klaczy ze wzgórza. Jeszcze go było widać, gdy zza skały wysunął się młody człowieczek.

— Co myślisz o nim, Chuck? — spytał.

Tamten odwrócił głowę ku niemu. Chwilę nie mówił.

— Jakiś dzieciak, co?

— Czyś widział jego twarz? — spytał Chuck.

— Nie, leżałem za nisko za skałą.

— Może on i dzieciak, ale...

— Ale co?

— Ale jest w nim coś i więcej. Nie chciałbym spotkać się z nim sam na sam w ciemną noc. Pięknego miał konia, Dan. Myślę, że naczelnik wziąłby go choćby dla samego konia. To cudna klacz.

— Ten chłopak za dużo gada, jak dla naczelnika — odparł tamten — zresztą w tym roku Nair nikogo nie weźmie.

— Skąd wiesz?

— Odmówił memu kuzynowi Slimowi.

— Doprawdy?

— Tak. Slim spotkał się z nim i rozmówił oko w oko.

— Kiedy indziej was wezmę — powiedział naczelnik. — Teraz nie ma mowy.

— Siadaj z powrotem przy ogniu.

— Lepiej zejdę z góry na dół. Może Nair rozwścieczy się, jak się dowie o tym chłopaku, co tu gadał z jego ludźmi. I w dodatku nie ma jeszcze trzydziestu lat.

— Co z tego? Znałem niespełna trzydziestoletnich, którzy świetnie żyli i świetnie umierali.

— Ale dla naczelnika są niczym. Powiada, że nie chce mieć w bandzie nikogo, kto by nie miał rozumu, a twierdzi, że rozumu nabiera się dopiero po trzydziestce.

Roześmiali się obaj.

Tymczasem Train jechał na północ i wspinał się coraz wyżej i wyżej na wzgórze, chcąc je przebyć, by dostać się do miasta. O północy zatrzymał się. Przed nim w dole rozciągała się dolina, a w niej światelka miasta. Nie pojechał dalej.

Wodospad, którego woda spływała w zagłębienie skały, stworzył rodzaj basenu znakomitego na kąpiel dla kłaczy. Tu będzie mógł dać Whimsy po raz pierwszy pić i garść owsa. Wylał ją starannie suchą trawą i wymasował jej grzbiet.

Whimsy, najadłszy się i napiwszy, stała tuż obok swego pana i uważnie śledziła, jak zajadał skromną wieczrę, którą stanowiły suchary i zimna woda ze źródła.

Potem Train zawinął się w derkę, zagwizdał na dobranoc kłaczy i zasnął natychmiast, mimo że jasne gwiazdy świeciły mu w same oczy.

Przebudziło go nie słońce, ale już pierwsze różowe blaski jutrenki. Zerwał się. Zjadł na śniadanie znów suchary, popił wodą, osiodłał konia i pojechał wprost ku miastu.

Sądząc ze światła, jakie zobaczył w nocy w oknach, miasto wydawało mu się duże. Ale teraz za dnia skurczyło się do małej osady, wciśniętej w wąwóz górski.

Podjeżdżając blisko do tego miasta, Train był wzruszony. Miał uczucie, że oto naprawdę jest na tropie Naira.

ROZDZIAŁ XII

Train postanawia

W Morristonie huczało jak w ulu. Kiedy do szczupłego w swych granicach miasta napakuje się za dużo ludzi, miasto przelewa się przez brzegi jak naczynie zbyt napelnione wodą.

Był to jeden z upalnych dni pod koniec sierpnia, wieńczyk leniwie kołysał gałęziami sosen bogatych w żywicę i wielkimi białymi trawami, pokrywającymi rozległe łąki pod miastem. Tu w pewnej odległości od siedzib ludzkich panowała jeszcze cisza, ale posuwając się naprzód zbożem wzgórza wśród pachnących ziół i drzew, Train mógł już z daleka słyszeć pomruk miasta.

Zatrzymał się, podniósł głowę i uśmiechnął się. Ten gwar tłumów ludzkich mówił mu wiele i obiecywał jeszcze więcej. W tej gromadzie znajdzie wszystko, czego mu trzeba. Znajdzie przede wszystkim partnerów do pokera. Był szczęśliwy, że przybył do Morristonu. Niezależnie od sprawy Jima Naira, było to dla niego wymarzone miejsce.

Gdy zjechał ze wzgórza i znalazł się na ulicy miasta, zrozumiał, że sprawa przedstawia się dla niego jeszcze lepiej niż przypuszczał. Do czterechset stałych mieszkańców tej osady przyjechało zaledwie stu obcych i byli to młodzi, rozbawieni, żądni rozrywek chłopcy. Taka setka równała się tysiącowi. Takich pół tuzina wystarczyłoby już Trainowi do szczęścia.

Zapewne wśród tych przyjezdnych znalazłoby się

dwudziestu ludzi, którzy przybyli do Morrystonu, by odszukać któregoś z bandytów Naira, ale reszta przyjechała po to, aby się pogapić i pobawić, a wszystkich sprowadziła tu przede wszystkim ciekawość ujrzania słynnego herszta bandytów. Może zobaczą go na ulicy, może uda im się zetknąć z nim w gospodzie, może spotka ich tak wielkie szczęście, że będą świadkami jego schwywania.

Nie mało kręciło się tu ciągle detektywów i policjantów. Jim Nair niejednemu z nich założył dobrze za skórę. Nie mieli co prawda nadziei, że zdołają go schwytać, ale zawsze istniało jakieś złudzenie, a na zachodzie ludzie chwytają się każdej okazji, byle zrobić wielką karierę.

Gdy Whimsy kroczyła wytwornie środkiem głównej ulicy Morrystonu, Train zaglądał w oczy napotkanym ludziom.

Wśród dwudziestu twarzy ujrział przynajmniej tuzin zuchów, którym szeryf miałby coś do zarzucenia. Byli tam ludzie rozmaitego wzrostu i rozmaitej tuszy, ale wszyscy robili wrażenie urodzonych w siodle i przez wiele lat przebywających w pięknym słońcu stepowym. Twarze ich były skupione, ale oczy rozbiegane. W spojrzeniach, jak i w ruchach rąk uwidaczniał się nieustanny niepokój. Młodszy byli hałaśliwi i roześmiani. Starsi zachowywali się powściągliwie. Na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że cała ta gromada wałęsa się beczynnie po ulicach.

Właściciel sklepu z żelastwem, jednocześnie fryzjer, malował na świeżo swój biało-czerwony szyld przed sklepem, i nawet to nieciekawe zajęcie zwabiło całą gromadę gapiów na chodniku. Tłum zebrał się także przed sklepem kolonialnym, będącym jednocześnie jatką, i przyglądał się,

jak jakiś barczysty człowiek o długiej siwej brodzie targował się z kupcem o cenę trzech przywiezionych przez niego do miasta wołów.

Młoda dziewczyna, zapewne córka starego, poprawiała uprząż na koniu, a jej ładna, smągła twarzyczka bardziej przyciągała mężczyzn niż głośnie targowanie się w sklepie.

Ale Train nie zwracał na to wszystko zbytnej uwagi. Nie zatrzymując się wcale po drodze, prosto zmierzał do hotelu i tu w jednym z tylnych pokoiów natychmiast znalazł to, czego szukał.

W ciasnej izbie wokół sześciu stołów zebrali się gracze. Grano w pokera. Po pokoju kręcili się inni, czekając swej kolejki. Przez uchylone okna wpadł wietrzyk, ale nie mógł rozpędzić gęstych chmur dymu tytoniowego, wypełniającego całe pomieszczenie.

Nie było też dla Traina miejsca przy stołach, ale szybko się zwolniło. Niechże gracz pokaże swoje pieniądze, a dopuszczą go zaraz do gry. Zasiadł na piątego, twarzą do okna. Mógł widzieć przez to okno, jak barczysty, siwo-włosy człowiek przed sklepem wciąż usiłuje sprzedać korzystnie woły kupcowi, który upiera się widocznie przy cenie.

Pogapiwszy się na scenkę za oknem i przekonawszy się, że żaden z graczy przy stole go nie zna, Train skupił już całą uwagę na grze.

Miejsce miał idealne: za sobą ścianę, z jednej strony drzwi, z drugiej okno. Mógł w każdej chwili, gdyby zaszła taka potrzeba, błyskawicznie umknąć. A to w jego praktyce zdarzało się niejednokrotnie.

I partia także mu odpowiadała. Składała się z dwu mocnych graczy, najwidoczniej szulerów, i dwu naiwniaków, którzy byli już splukani niemal doszczętnie. Na szulerów spojrział Train ironicznym wzrokiem. Przejrzał natchmianem ich metodę i przegrawszy za pierwszym razem, zdążył już sobie zanotować, że odwrotna strona niektórych kart poznaczona jest czerwonym atramentem.

Na innych znowu kartach widniały znaki zrobione ołówkiem tak leciutko, że niedoświadczone oko uznałoby je za część wzoru, a wtajemniczonym mówiły o wartości danej karty. W ten sposób gra znajdowała się w ręku oszustów. Widzieli kartę z odwrotnej strony, jak gdyby mogli ją przebić oczyma.

Train zażądał nowej talii kart. Dwaj splukani robotnicy odeszli, a na ich miejsce zjawili się nowi gracze. Train z błyskawiczną szybkością zmierzał do wygranej. Wygrał dwa razy z rzędu, stasował karty, rozdał je i wygrał po raz trzeci. Położył przed sobą na stole dwieście dolarów i szulerzy zaczęli spoglądać na niego spode łba. To była największa przyjemność Traina. Nigdy nie chodziło mu tak bardzo o pieniądze, o te marne, małe sumki, jakie mógł wygrać, ile o satysfakcję. Lubił sam proces gry, uwielbiał obserwować graczy, zmiany pojawiające się na ich twarzach, zależnie od tego, jak im szła karta. Train miał taką wprawę w czytaniu z mimiki pokerzystów, że wystarczyło mu zazwyczaj pięć minut, aby przejrzeć każdego na wskroś.

Kiedy rudy gracz na wprost niego miał w ręku dobre karty, przyglądał im się zwykle w skupieniu długą chwilę, jeżeli trafiła mu się słaba karta, grał szybko, jak gdyby

obawiając się namysłu przed ryzykiem. Tłusty szuler w okularach za każdym razem, gdy miał ryzykownie ciągnąć, sam nie wiedząc o tym, marszczył w specjalny sposób brwi. To były tylko pierwsze obserwacje Traina. Za nimi przyszły zaraz następne: każdy człowiek bowiem, całkiem nieświadomie, odzwierciedla na twarzy to, co pragnie nawet najgłębiej ukryć przed okiem obserwatorów. Jest to bardzo subtelny język, ale Train był geniuszem w odcyfrowaniu tych zagadek. Wiedział, że niekiedy skrzywienie chce zamaskować radość, a wymuszony uśmiech ukryć rozpacz lub lęk. Ktoś, kto mocno opiera się o poręcz krzesła, przygotowuje jakąś niespodziankę, a ktoś, kto wychyla się niecierpliwie ku stołowi, chce zapewne zablefować towarzystwo. Pamięć Traina była głęboka jak morze, nigdy niczego nie zapominał. W ten sposób poker był dla niego księgą niemającą tajemnic: potrafił czytać w tej książce od czasu, gdy opanował jej abecadło. I podczas gdy tamci gracze denerwowali się coraz bardziej piętrzącymi się trudnościami, on zyskiwał coraz większą swobodę ruchów. Prawda, że był szulerem, który kręcił kartami jak chciał, ale grał bardziej ludźmi niż tymi kartami.

W ciągu następnych pięciu minut przegrał tak, jak w czasie pierwszych pięciu minut wygrał, ale wygrana wciąż jeszcze przewyższała przegraną i osiągnął to, czego pragnął. Tamci dwaj awanturnicy uważali go za bogatego ryzykanta, stuprocentowo uczciwego. Od tej chwili miał ich w swoim ręku. Był tak dokładnie ich panem, że miał nawet czas na rozglądanie się wokoło i w pewnym momencie zdążył spostrzec, że w drzwiach pokoju ukazała

się jakaś znajoma twarz: twarz zniknęła i Train namyślał się przez moment, co ma uczynić, ale po chwili wzruszył ramionami i został przy stole.

Gdyby wiedział na pewno kim był ów nieznajomy, którego twarz mignęła mu tylko przez ułamek sekundy w drzwiach, nie siedziałby tak spokojnie. Nie był to bowiem nikt inny, jak tylko stary, dobry znajomy, John Rainier.

Train rzucił karty na stół i spojrzał w okno. Gromadka gapiów już się rozproszyła. Siwowłosa mężczyzna sprzedał w końcu swoje woły, bo kupiec obliczał mu właśnie na ladzie gotówkę. Do dziewczyny czekającej przy koniu przed sklepem, podszedł jakiś elegant i kłaniał jej się nisko kapeluszem. Ale uśmiech zamarł mu szybko na ustach, gdyż dziewczyna zdawała się go ani widzieć, ani słyszeć, zapatrzona gdzieś wysoko w brzemienne deszczem chmury, gonione po niebie gwałtownym wichrem.

Train przelotnie pomyślał, czyby teraz jedną przegraną nie zmarnować graczy, którzy kręcili się już niespokojnie na swych miejscach. Następnie wyrzwał znowu przez okno. Może ta ładna dziewczyna była głucha, a może tylko tak doskonale obojętna na zaloty młodzieńca, który zarumieniony z gniewu oddalał się od jej konia.

Siwowłosa starzec wyszedł ze sklepu i wówczas odrzucony kawaler, kipiąc złością, gdyż towarzysze obrzucili go szyderstwami, podszedł blisko do starca i coś do niego powiedział. Gapie podnieśli głowy, a stary odwrócił się gwałtownie na siodle, na które już zdążył wskoczyć. Kawaler powtórzył najwidoczniej swoje słowa i wówczas stała się rzecz dziwna. Starzec wychylił się z siodła i z

błyskawiczną szybkością podniósł do góry stojącego przy koniu młodzieńca, jak gdyby miał do czynienia z małym dzieckiem. Tamten wyrwał się, ale na próżno. Starzec potrząsnął nim kilkakrotnie, rzucił go w kurz uliczny i dopiero wówczas wyprostował się na siodle. Dziewczyna na koniu nie zmieniła ani na chwilę spokojnego wyrazu twarzy.

Ale na tym się nie skończyło. Powalony na ulicę młodzieniec wyjął rewolwer i strzelił, a stary zamiast użyć broni, bez słowa i z całym okrucieństwem najechał koniem na leżącego.

Rozległ się przeraźliwy krzyk chłopaka.

Dziewczyna na siodle nareszcie ocknęła się ze swego odrętwienia i pociągnęła starego za rękaw, ale ten wyrwał się i skierował konia na trzech przyjaciół rannego, którzy rzucili się ku niemu. Jeden z nich zabiegł mu drogę przed koniem, dwaj inni starali się uchwycić konia od tyłu.

— Walka powinna być uczciwa! — krzyknął nagle Train i zerwawszy się od karcianego stołu, jednym susem przesadził okno, aby nie tracić chwili czasu na przechodzenie drzwiami.

Jedno spojrzenie wystarczyło mu, by zauważyć, że stary nie ma broni przy siodle. Był bezbronny wobec trzech gotowych na wszystko i świetnie uzbrojonych chłopaków. Kule już świszczały w powietrzu, gdy Train dopadł starego. Jednocześnie rozległ się przerażony okrzyk dziewczyny:

— Ojcie! Ojcie, uciekaj, oni cię zamordują!

Gruby głos starca odpowiedział:

— Tuzin szczurów nie da rady człowiekowi.

I nie ruszył się z miejsca.

— Zapłacisz nam za to, ty!... — krzyknął jeden z napastników.

Huknęła broń i kula strąciła kapelusz z głowy starego.

Z okrzykiem wściekłości wspiął konia wprost na strzelającego. Tamten złożył się do nowego strzału. Wówczas wystąpił Train. Błyskawicznym ruchem wyciągnął z zanadra swoje dwa kolty. Jednocześnie huknęły trzy strzały. Trzej napastnicy padli na ziemię, jeden w milczeniu, dwaj z przeraźliwym wrzaskiem.

Nie było jednak trupów. Gdy szeryf, którego zawiadomiono o awanturze, przybiegł i pochylił się nad rannymi, odkrył coś szczególnego: każdy ranny miał w identyczny sposób przestrzelone mięśnie nogi ponad kolaniem.

Tymczasem Train wskoczywszy na Whimsy, pognął za odjeżdżającą parą. Stary z dziewczyną pojechali prosto przed siebie ulicą. Steve nie oczekiwał od nich podziękowań, nie liczył nawet na uśmiech wdzięczności ze strony dziewczyny. Po prostu uważał, że to nie koniec niebezpieczeństw czyhających na nich. Jasne było, że tłum gapiów nie był przychylnie usposobiony do starego.

Zazwyczaj ludzie zachodu nie pochwalają napaści trzech na jednego, a gdy jeszcze ten jeden zwycięży trzech, robią mu owację. Tym razem nie było żadnej owacji. W ponurym milczeniu podnieśli podeptanego kopytami końskimi młodzieńca i oglądając jego rany, grozili pięściami za odjeżdżającym starym. Te pogrożki nie mogły wróżyć nic dobrego, toteż Train postanowił być nie opodal starego i dziewczyny.

Ku jego zdumieniu żadne z nich nie zwróciło na niego

najmniejszej bodaj uwagi. Jechali w milczeniu, jak gdyby rzeczywiście byli głusi i niemi.

Gdy znaleźli się na szczycie wzgórza porośniętego sosnami, stary człowiek zatrzymał konia, zwrócił się do Traina i powiedział:

– Młodzieńcze, czy prosiłem cię o to, byś za nami jechał?

Train spojrział na dziewczynę, spodziewając się, że ona naprawi brutalną niesprawiedliwość ojca. Przecież gdyby nawet stary, odwrócony w owej chwili tyłem, nie widział, jak Train strzelał, dziewczyna patrzyła wówczas prosto na niego i musiała widzieć wszystko dokładnie. Ale teraz spoglądała na Traina tak, jak gdyby miejsce jego na siodle było puste. W oczach nie było nawet niechęci, za to całkowita obojętność. Wiewiórka przemknęła po drzewie. Dziewczyna podniosła głowę i na ustach jej pojawił się uśmiech.

I to zdarzyło się jemu, Trainowi, dla którego zawsze przeznaczone były najpiękniejsze uśmiechy dziewcząt. Był jednocześnie zdumiony, zaskoczony i obrażony. Nie umiał także znaleźć żadnej odpowiedzi na słowa jej ojca.

W milczeniu zawrócił konia i pozwolił tamtym odjechać.

Ale gdy zniknęli mu z oczu, wściekłość połączona z ciekawością powiedziały mu, że nie zazna spokoju, jeżeli ich tak teraz pozostawi.

Przeczekał, aż umilkł odgłos kopyt oddalających się koni, potem przynaglił Whimsy do biegu.

Bez trudu wy dostał się z gąszczu leśnego na otwartą

przestrzeń. Tu będzie mógł wytropić kierunek drogi jeźdźców.

Ale na próżno odwracał się na wszystkie strony, badał ślady w promieniu kilometra. Para jeźdźców zniknęła tak, jak gdyby zapadła się pod ziemię.

ROZDZIAŁ XIII

Mądry podstęp

John Rainier nie był człowiekiem kierującym się emocjami; toteż postąpiwszy raz pod działaniem nagłego impulsu i wytoczywszy skargę przed Comstockiem, natychmiast potem zaczął tego gorzko żałować. Usunięto go z domu, w którym, bez pracy, otoczony największym zaufaniem i szacunkiem, miał wszystkiego pod dostatkiem. Jego pensja wynosiła dwadzieścia dolarów tygodniowo, ale z łatwością zarabiał jeszcze dodatkowo trzydzieści, gdyż farmer miał wyjątkowo hojną rękę. A poza tymi pięćdziesięcioma dolarami tygodniowo, miał piękny własny pokój, świetnego konia, służbę na skinienie.

Wszystkim tym zapłacił za chęć zemsty na Trainie, ale uczyniwszy to, zaczął wątpić, czy zemsta farmera zdoła dosięgnąć tego nieuchwytnego ducha gór i stepów.

Nie wiedział oczywiście nic o zaangażowaniu przez farmera Greshama, wiedział tylko jedno, że sam, własnymi rękami zadał sobie okropny cios.

Te myśli zatruwały go po prostu. Był opętany chęcią zemsty na Trainie i szukał sposobów, jak tej zemsty dokonać. Przyszło mu do głowy, że do zemsty mógłby użyć

samego Naira. Gdyby dostał się do herszta bandytów i oświadczył mu, że w górach wędruje ktoś, kto ma przy sobie pięćdziesiąt tysięcy dolarów, będących własnością Naira, kto wie, czy herszt nie poszukałby Traina. Rainier spodziewał się, że wówczas uzyskałby z łatwością od Naira część gotówki tytułem nagrody, powszechnie było bowiem wiadomo, że Nair potrafi być wdzięczny tym, którzy mu pomagają.

Projekt ten wydał się Rainierowi tak prosty i tak wykonalny, że napełniał go głęboką radością w drodze w góry. Rainier widział jedynie trudność w sposobie zetknięcia się z Nairem, ale spodziewał się tę trudność przezwyciężyć.

Wielkie zdumienie ogarnęło go, gdy przybywszy do Morristonu, zastał tam Traina przy stole pokerowym. Czyżby to znaczyło, że Steve chce istotnie wywiązać się uczciwie z polecenia Comstocka? W przeciwnym razie po cóż jechałby do tej zakazanej dziury, znanej tylko z tego, że jest siedzibą słynnego herszta bandytów? Train powinien był, zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem, uciekać w odwrotnym kierunku tak szybko, jak tylko zdołała tego dokonać dzielna Whimsy.

Rainiera bynajmniej nie uspokajała myśl, że Train odda pieniądze Nairovi. On wiedział jedno: przepadła mu część łupu wynosząca dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Nienawisć, jaką czuł do Traina z tego powodu, iż go oszukał, podwoiła się teraz na myśl, że Train chce być uczciwy. W rzeczywistości cała ta afery była niezrozumiała dla Rainiera, a osobnik jego typu nie lubi rozwiązywać zawiłych zagadek. Train był dla niego zagadką i Rainier

postanowił zrobić wszystko, by tego człowieka zniszczyć.

Chciał starannie ułożyć przemówienie, z jakim zwróci się do Naira. Wiedział, że jeżeli mu opowie mniej więcej prawdę, oczywiście zmieniając pewne szczegóły, stworzy historię, która zapali Naira płomieniem zemsty i pragnieniem krwi.

Więc chodzi tylko o to, by osiągnąć Naira i rozmówić się z nim, zanim Train go spotka i wręczy mu gotówkę. Myśl o tym, że Train zamierza dobrowolnie oddać hersztowi bandytów pięćdziesiąt tysięcy dolarów, wciąż nie mieściła się w głowie Rainiera. Przypuszczał chwilami, że Steve musiał zwariować.

Nie widział, jak Train wyskoczył przez okno na ulicę, gdyż znajdował się właśnie w tylnych pokojach hotelu, ale gdy wyszedł na ulicę, zdążył jeszcze zobaczyć walkę Traina, patrzył jak strzelał i musiał przyznać, że sam Nair nie przeprowadziłby lepiej, szybciej i bardziej zdecydowanie tej bójki. Train nie zabił nikogo, ale nie ulegało wątpliwości, że gdyby groziło prawdziwe niebezpieczeństwo, to zamiast trzech rannych, byłoby trzech zabitych ludzi.

Po skończonej awanturze, gdy cały tłum rzucił się ku rannym, dwu tylko ludzi nie pobiegło z innymi. Jednym był właśnie Rainier. Drugim jakiś siwiejący mężczyzna, który na całą bójkę patrzył tak obojętnie, jak na gryzące się psy.

Rainier tymczasem wrócił do hotelu. Chciał w ciszy swego pokoju przemyśleć całą awanturę, jakiej był świadkiem: niezwykła zręczność i odwaga Traina nie wróżyły nic dobrego.

Spojrzał przez okno i zobaczył owego siwiejącego człowieka, który zdążył już dosiąść konia i wydostawszy się na wzgórek za hotelem, jechał ścieżką wiodącą do pokrytych lasem wzgórz w głębi.

Rainierowi to szybkie opuszczenie miasta przez nieznanego, dało do myślenia. Ten człowiek wyglądał tak, jak gdyby spieszył gdzieś z raportem o tym, co przed chwilą widział na ulicy. Z drugiej strony było powszechnie wiadomo, że Nair wysłała do Morrystonu swych agentów, którzy donoszą mu o możliwościach wciągania nowych członków do bandy. Czy ten siwiejący jegomość nie był agentem Naira i czy zauważywszy niezwykłą zręczność, odwagę i przytomność umysłu Traina, nie biegnie teraz do herszta, by o tym donieść? Rainier pomyślał sobie, że jedynie takie wytłumaczenie mogłoby usprawiedliwić wielką obojętność nieznanego, podczas gdy cały tłum pozostał na miejscu, dyskutując o tym, co przed chwilą widział.

Pod wpływem tych myśli Rainier wybiegł z hotelu i pędem puścił się do stajni, osiodłał konia i pojechał za tamtym. W pięć minut potem ujrzał przed sobą jeźdźca.

Od razu zobaczył, że tamten nie bardzo się spieszy. Nie popędza konia i spokojnie pali papierosa, rozglądając się po okolicy i nucąc pod nosem piosenkę. Koń niósł go sam, jak gdyby świetnie znając drogę. Zjeżdżali ze wzgórz, wjeżdżali na następne, jechali piaszczystą drogą, wreszcie jeździec na przodzie wydostał się na szerszy szlak, wydeptany przez bydło. Przez cały ten czas Rainier zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Nie ulegało teraz wątpliwości, że jeździec udaje

się znaną mu drogą na umówione spotkanie. Musiało to być spotkanie z Nairem lub z kimś ważnym z jego bandy. Rainier pragnął tego spotkania, ale jednocześnie nie był pewien, co uczyni jadący przed nim człowiek, gdy zobaczy, że jest śledzony.

Rainier nie mógł nawet myśleć o tym, aby się gdzieś schronić, gdyż nie był doświadczonym jeźdźcem w górach i raz straciwszy ślad jadącego przed nim człowieka, już by go nie odnalazł. Gdyby tak tropił kogoś na ulicach wielkiego miasta, sprawa przedstawiałaby się inaczej, ale tutaj czuł się niepewnie.

Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jeśli ta droga wiedzie naprawdę do Naira, to im bliżej kryjówki bandyty, tym większe jest prawdopodobieństwo spotkania wartowników, a kto wie, czy wartownik, ujrawszy obcego człowieka na koniu, nie pośle mu z ukrycia kulki?

Wobec tego zmienił plan. Z wysokości wzgórza, na którym obecnie się zatrzymał, mógł widzieć zygzakowaną ścieżkę, na którą skierował konia nieznajomy. Rainier wówczas przeciął w poprzek dolinę, niezauważony przez tamtego. Teraz znajdował się już na drodze, którą tamten miał przejechać dopiero za chwilę. Tu ukrył się za olbrzymim pnem sosny. Po upływie kilku chwil usłyszał monotony odgłos kopyt konia niosącego nieznajomego. Koń szedł przed siebie, najwidoczniej niekierowany ręką tamtego, cierpliwym i zapatrzonym w jakiś dobrze mu znany cel podróży. Było to piękne zwierzę o zgrabnej główce, które obudziłoby zachwyt nawet szejka arabskiego. Rainier obserwował jeźdźca z ukrycia, jednocześnie

przygotowując broń. Gdy jeździec zrównał się już z jego kryjówką, Rainier momentalnie znalazł się na ścieżce. Jeździec, zaskoczony, sięgnął po sztucer, który miał przy siodle, ale ujrzał lunę rewolweru, wycelowaną do niego.

— Nie tykaj broni — powiedział krótko Rainier.

— Zgoda — odparł tamten.

Ale dłonie jego cal po calu nieznacznie usiłowały poruszać się w kierunku broni.

— Podnieś ręce do góry — rozkazał Rainier.

Najechał na niego koniem jeszcze bliżej, tak że broń jego dotykała już przeciwnika, i lewą ręką zręcznie odczepił wiszące u siodła nieznanego sznury. Po chwili jeździec był już mocno skrępowany. Nie mógł poruszyć ani dłońmi, ani nogami. Siedział teraz na ziemi spętany jak kukła.

— Niech i tak będzie — jęknął — teraz możesz robić co chcesz ze mną, ale uprzedzam cię, że nie zyskasz więcej niż dwa i pół dolara.

— Czy wliczasz w to i cenę twego konia? — spytał Rainier.

— Chcesz go zabrać... — zaczął, ale zagryzł tylko wargi zamiast skończyć, bo Rainier wskoczył już na siodło jego konia.

— Zostawiam ci za to moją kobyłę — zawołał Rainier odjeżdżając.

— Poszło nadspodziewanie łatwo — powiedział do siebie, gdy mądry koń szedł dalej utartym szlakiem. Ale w głębi duszy Rainier nie mógł zapomnieć spojrzenia właściciela konia, widział jego lśniące oczy i błyskające

zęby. Czuli, że ten bandyta nie daruje swego i że wplątał się tu w niebezpieczną awanturę.

Tymczasem koń szedł swoją drogą. Rainier znalazł się teraz wśród wysokopiennych sosen, których zielone kory poruszał wiatr; potem koń opuścił główny szlak i pobiegł wąską ścieżką przez dolinę. Ukazała się jakaś wysoka skała, za skałą płynął bystry strumień. Koń szedł brzegiem strumienia do wąwozu kończącego się ścianą skalną, za którą zaczynał się drugi parów. I tak koń niósł Rainiera z jednego wąwozu w drugi. Każdy z nich przecięty był bystrym, szmerzącym po kamykach strumieniem.

Fantastyczne kształty wapiennych skał, okalających wąwozy, czyniły z tej okolicy pełen tajemniczego uroku zakątek. Rainier zachwycał się krajobrazem, gdy nagle usłyszał za sobą tętent kopyt. Obejrzał się i zobaczył dwu jeźdźców, którzy pojawili się zza skały tak dużej jak dom. Byli uzbrojeni w długie strzelby, zwisające im u pasa, oraz w rewolwery przy siodle. Nie mieli na twarzach masek, nie mierzyli do niego ze swej broni, ale Rainierowi wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, że ci ludzie są tymi, których szuka: wyjętymi spod prawa przestępcami.

ROZDZIAŁ XIV

W kryjówce herszta

Przed wszystkim siedzieli na wspaniałych koniach. Mieszkańcy Morrystonu i wędrowcy z okolicznych gór używali małych, zwinnych mustangów, zdolnych do jazdy

po stromych ścieżkach i wąwozach, ale nie nadających się do dalszych podróży. Ci dwaj jeźdźcy, stojący teraz przed Rainierem, mieli cudne konie. Każdy z nich musiał kosztować dobrych kilkaset dolarów.

Mimo wspaniałości koni, garderoba ich była mizerna. Sombrera na ich głowach poplamione deszczem, wyblakłe od słońca, podziurawione rękawy koszul, skórzane spodnie, tak konieczne na górskich drogach, były w wielu miejscach podarte i pozszywane. Najgorzej przedstawiały się ich skórzane buty, duma każdego kowboja. Musiały pochodzić z dobrych sklepów, ale zniszczył je czas.

W takim stroju mógłby się pokazywać najwyżej pijak, żebrak czy nędzarz. Ale ci dwaj ludzie nie byli ani pijakami, ani żebrakami, ani nędzarami. Wystarczyło spojrzeć im w oczy, by wyczytać z nich dumę i pewność siebie. Rainier mimo woli przeniósł wzrok w górę. Wysoko na skale zobaczył małego meksykańskiego niedźwiadka, który patrzył ciekawie w dół. Wiele dałby za to, by być w tej chwili na miejscu owego zwierzęcia.

— Halo, panie nieznajomy! — krzyknął ku niemu dość uprzejmie jeden z ludzi. — Kogo tu szukasz?

— Nikogo — odparł Rainier, kiwając ku niemu dłonią.

— Włóczyisz się po górach, co? No, przyjacielu, masz konia, który mógł cię tu przyprowadzić. Skąd to go wzięłeś, chłopcze?

Rainier zawahał się. To pytanie wskazało mu, w jak wielkim znajduje się niebezpieczeństwie.

— Zabrałem go od człowieka, którego znacie.

Tamci dwaj nie zamienili między sobą żadnego spojrzenia, ale ich obojętność była podejrzana.

— Cóż to za jeden? — spytali.

— Nie dosłyszałem jego nazwiska.

— Ale zabrałeś mu konia? — spytał szczuplejszy i młodszy, w pytaniu tym zadźwięczała groźba.

— Spokojnie, spokojnie, Harry — uciszył go starszy.

— Opowiadasz mi tu dziwne rzeczy — zwrócił się do Rainiera. — Zabrałeś konia jednemu z naszych przyjaciół, nie znasz jego nazwiska, a cóż się z nim dzieje?

— Jest w kłopotcie — odparł Rainier.

— W jakim?

— To mogę powiedzieć tylko jednemu człowiekowi.

— Komu? Jak się nazywa?

— Jim Nair.

Nawet wówczas ci dwaj nie okazali zdziwienia, ale patrzyli na Rainiera spokojnie.

— Co to ma znaczyć? — spytał Harry. — Cóż my mamy wspólnego z Nairem?

— Może i nic — odparł Rainier. — Ale gdybyście mnie chcieli do niego zaprowadzić, byłby wam z pewnością bardzo wdzięczny. Mam dla niego ważną wiadomość.

Mniejszy z tych dwóch odjechał kawalek i zabrał towarzysza. Widocznie chcieli się naradzić. Po chwili wrócili do Rainiera.

— Powiedz mu to, Lefty — powiedział młodszy.

— Wydaje nam się to mało prawdopodobne, aby Chuck posłał cię do Naira, nie mówiąc, gdzie się znajduje.

— Po to dał mi właśnie swego konia. Twierdził, że koń sam doprowadzi mnie do naczelnika.

— To jest prawda — przyznał Harry. — Poczekaj tu. Lefty popilnuj go. Ja wrócę za chwilę.

Dotrzymał słowa. Puścił się pędem wśród skał i zniknął im z oczu, a po upływie mniej więcej kwadransa wrócił. Obok niego jechał konno jakiś wysoki, barczysty, może czterdziestopięcioletni mężczyzna o ponurym spojrzeniu błyszczących oczu. Człowiek ten podjechał prosto do Rainiera.

— Chciałeś mówić ze mną, młodzieńcze? — spytał.

— Tak, panie Nair.

— Co się dzieje z Chuckiem?

— Powiem panu bez świadków.

Nair pokiwał dłonią ku tamtym.

— Zostawcie nas, chłopcy — powiedział.

Tamci odstąpili na bok wąwozu.

— Teraz mów, co się stało z Chuckiem i co skłoniło go do przysłania do mnie nieznanego?

— Chuck jest o godzinę drogi konnej stąd, siedzi na ziemi i ma związane ręce i nogi.

— Ach tak? — zdziwił się Nair. — Kto mu to zrobił?

— Ja.

Wargi Naira poruszyły się, ale nic nie powiedział. Mimo to Rainier zadrżał od stóp do głów. Pospieszył z wyjaśnieniami:

— Wyruszyłem w drogę, by pana szukać, panie Nair. Musiałem panu powiedzieć, że ma pan do odebrania pięćdziesiąt tysięcy dolarów i że ktoś zamierza pana oszukać. Musiałem się do pana dostać, a nie wiedziałem jak. Kiedy zobaczyłem dziś Chucka, wyruszającego z Morristonu, przyszło mi do głowy, że jedzie do pana

kryjówki. Zabrałem mu konia, bo widziałem, że ten koń zna świetnie drogę i że doprowadzi mnie na miejsce. I oto jestem.

— Gadaj, co masz do gadania — powiedział Nair, poprawiając się na siodle.

— Ta historia sięga dawnych czasów — zaczął Rainier — tych czasów, gdy nazywał się pan jeszcze Jim Nair Cartwright.

Przyglądał się, jaki efekt wywołają jego słowa i nie omylił się. Nair wyprostował się tak silnie, że aż zatrzeszczały kości w nogach, uwięzionych w strzemionach. Spojrzał na Rainiera.

— Nazwa miasta... — zaczął Rainier.

— Mniejsza o to przekłete miasto — przerwał Nair.

— Więc dobrze — ciągnął Rainier szczęśliwy, że bandyta okazał się istotnie tym samym człowiekiem, o jakim mówił Comstock. — W owych czasach miał pan przyjaciela w tym mieście. Nazywał się Patrick Comstock... Za jego namową ulokował pan pieniądze w akcjach nafcianych, stracił pan całą gotówkę i wywędrował na zachód, zostawiając nic niewarte papiery w jego ręku. Jedna z kopalń nafty tymczasem ożyła i Comstock otrzymał za pańskie akcje pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dał te pieniądze mnie, bym je zawiózł Nairowi, bo domyślił się, że Nair i Cartwright to jedna i ta sama osoba. Dowiołem gotówkę aż do Morrystonu, tu spotkałem mego dawnego kolegę nazwiskiem Train. Opowiedziałem mu, jakie mam trudne zadanie i poprosiłem go o pomoc. Zamiast tego, Train czekał na odpowiednią okazję, oszukał mnie i ograbił z gotówki. Oto cała historia.

Nair słuchał tej całej opowieści z wielkim skupieniem. Wreszcie spytał spokojnie:

— Comstock powierzył ci pięćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką?

— Tak — odparł Rainier.

— A Train cię ograbił?

— Tak jest. Obudziłem się w nocy, czując lułę rewolwerową pod nosem. Po prostu ograbił mnie we śnie. Nie mogłem przecież meldować tego szeryfowi. Nie mogłbym się tłumaczyć. Ostatnie polecenie Comstocka brzmiało, bym nie budził czujności władz przeciw panu.

— A jednak byłeś tego bliski... — powiedział ironicznie Nair.

— Nie jestem człowiekiem walki — mówił Rainier. — A Train jest zawodowcem. Pański człowiek, Chuck, opowie panu, co Train dziś wyprawiał w Morrisonie! Nosi przy sobie dwa rewolwery i strzela jednocześnie z dwu. Kręci równie szybko kartami przy grze jak bronią.

Nair przyglądał się Rainierowi ze spokojnym uśmiechem.

— Szuler? — spytał.

— Jeden z najręczniejszych na świecie.

Herszt chwilę się namyślał.

— Czy Train jest jeszcze w Morrisonie?

— Tak.

— Czy łatwo go będzie znaleźć?

— Wszyscy znają tam teraz Traina.

— Jak wygląda?

— Ma około dwudziestu pięciu lat. W zbiegowisku stu ludzi będzie z pewnością najprzystojniejszy.

— Ile żądasz za to, coś zrobił, przyjacielu?
— To do uznania pana. Wszyscy mówią, że Nair jest hojny.

— Gdzie jest Chuck?

— Pod wielkimi sosnami. Stoi przy nim mój koń, obok tego miejsca przechodzi udeptany przez bydło szlak, a dalej...

— Znam to miejsce. Lefty!

Mniejszy z dwu jeźdźców przybliżył się. Nair zapytał jeszcze nieznanego:

— Jak się nazywasz?

— Rainier.

— Lefty, ten człowiek nazywa się Rainier. Pilnuj go zanim nie wrócę. A wy, chłopcy, możecie odejść. Bywajcie!

Poruszył lejcami i wspaniały rumak poniósł go galopem. Ale nie potrzebował godziny jazdy. Skróconą drogą w pełnym galopie znalazł się w dziesięć minut na miejscu, gdzie leżał skępowany Chuck.

— Opowiadaj, co się stało — zażądał herszt, gdy jechali już obok siebie.

— Jakiś łotr napadł mnie podstępnie i zrabował mi konia — powiedział Chuck. — Niechże go schwycę w moje ręce...

Głos Chucka zabrzmiał złowrogo.

— Co widziałeś dziś w Morrystonie? — uciął herszt.

— Obserwowałem najzręczniejszą walkę, jaką zdarzyło mi się w życiu widzieć. Ten człowiek nam by się przydał — powiedział Chuck, zrozumiawszy, że Nair nie ma zamiaru słuchać o jego nieszczęściach.

- Train? — spytał naczelnik.
— Skąd pan zna jego nazwisko?
— Wszystko jedno. Wracaj do Morristonu. Przyczep się do tego Traina. Zrozumiałeś? Ściągniesz go do mnie.
— Chce go pan mieć?
— Chcę mieć coś, co on posiada. Traktuj go jak najukochańszego brata, ale nie zapominaj, że to sprytny łotr, który wywiedzie w pole najlepszego przyjaciela. Jest szulerem i oszustem. A teraz jedź natychmiast i przywieź tu Traina.

ROZDZIAŁ XV

Tragedia leśna

Nikt nie staje się tak szybko sławny jak bohater zwycięsko stoczonej bójki. Tak też było z Trainem. Miasto Morriston już po godzinie wiedziało o tym, co się wydarzyło i aż gotowało się z podziwu dla śmiałka, strzelającego jednocześnie tak celnie z dwu koltów. Tajemniczy bohater okazał się też niesłychanie skromny, bo nie zbierał po bitwie laurów, tylko oddalił się z miasta.

We wczesnych godzinach popołudniowych Train wrócił do miasta i przez nikogo niezauważony, przemknął się do swego hotelowego pokoju.

Był przekonany, że nikt nie spostrzegł jego powrotu, a jednak nie upłynęło nawet pięć minut, kiedy do drzwi ktoś zapukał. Na progu stał tłusty mały człowieczek o jasnych nastroszonych wusach. Przyglądając się Trainowi powiedział:

— Nazywam się Methuen. Jestem tu szeryfem. Chciałbym z panem pomówić.

Train poprosił go, by usiadł i zamknął za nim starannie drzwi. Był bardzo zdziwiony. Słyszał zawsze, że do prowincji Morris przysyłają specjalnie wybranych urzędników, a tu nagle ma przed sobą takiego pospolitego grubaska. Kiedy jednak przyjrzał się baczniej swemu gościowi, spostrzegł, że szeryf jest co prawda tłusty, ale dłonie jego o smukłych palcach zdradzają artystę lub... znakomitego strzelca.

— Zapali pan? — spytał Train.

— Palę tylko cygara — odparł szeryf.

— Tu mam hawańskie — odparł Train, podając skrzyneczkę.

— Palę tylko po obiedzie — powiedział szeryf. — Inaczej mi to szkodzi. — Westchnął głęboko i potrząsnął głową, jak gdyby litował się nad samym sobą. — Oto co przyprowadza mnie do pana, Train. Jestem starym, spokojnym człowiekiem, posadzono mnie na stołku szeryfa wbrew mojej woli. Nie lubię awantur i oto nagle zakłócono mi spokój awanturą na ulicy i trzema rannymi.

— Napadli na starego człowieka — wytłumaczył Train.

— Na starego człowieka? Ten stary to był Tom Courtney. Nie należy się o niego obawiać, dałby sobie radę z całą gromadą. Mimo to nie potępiam pana, rozumiem pański odruch. Palce świerzbily, żeby się w to mieszać? Co?

Uśmiechał się przyjaźnie do Traina, który patrzył na niego łagodnymi, leniwymi oczyma.

— Sprowokowano mnie do tego — powiedział Train. — Ja nie skrzywdziłbym nawet psa.

— Psa? Ja także nie — zgodził się szeryf. — Zawsze miałem słabość do psów. Wolę psy od niektórych ludzi. Ale uważam, że trzech ranni jednego dnia, to zbyt wiele jak na jedno miasto. Morriston nie lubi hałasu, Train. Odgłos strzału spędza mi z powiek sen już na całą noc. Taki jestem nerwowy... Ale, ale czy był pan kiedyś w Butte City?

Train ziewnął.

— Nie, nigdy. Mówiono mi, że to duże miasto.

— Tak, dosyć — odparł szeryf. — Nie chciałbym panu przeszkadzać w drzemce, więc chyba przerwiemy tę miłą pogawędkę. Do widzenia.

Zniknął za drzwiami. Ciężkie jego kroki słyhać było na schodach, dopóki nie znalazł się holu.

To sprytna sztuka, ten Methuen — pomyślał Train, gdy został sam w pokoju. Nie miał ochoty spać. Musiał zastanowić się nad wieloma sprawami. Słońce popołudniowe wypełniało cały pokój. Train nie zważając na to, Wyszunął fotel jeszcze bardziej na operację słoneczną i wyciągnął się wygodnie. Słońce grzało mu nogi poprzez obuwie, przenikało jego spodnie, paliło skórę przez koszulę. Ale Steve uśmiechał się z zadowoleniem.

Nie myślał o przyjemności wygrzewania się na słońcu. Jego myśli zaprzątnięte były dziewczyną. Wreszcie dowiedział się o niej czegoś. Ojciec nazywa się Tom Courtney. Wiele dałby za to, by wyciągnąć z szeryfa więcej szczegółów, ale nie wypadało mu zadawać pytań.

Wreszcie zszedł na dół i poszukał właściciela hotelu.

— Trzej ludzie, w mieście poprzysięgli panu zemstę, Train — oświadczył hotelarz. — Niech tylko wylizą się ze swych ran. Mój Boże, musi się pan ogromnie bać — i roześmiał się na samą tę myśl. — Widziałem przed chwilą szeryfa — ciągnął dalej gospodarz. — Powiedział mi, że z pana spokojny, cichy gość i że byłby pan doskonałym wyborcą w Morrisonie — roześmiał się znów. — Stary Courtney powinien by panu pięknie podziękować, gdyby miał odrobinę wychowania.

— Któż to jest ten Courtney? — spytał Train od niechcena.

Hotelarz zaśmiał się.

— To jedyny w „swoim rodzaju oryginał. Drugiego takiego nie ma. Mieszka wśród wzgórz.

— Gdzie?

— Nie ma określonego miejsca. Przenosi się z miejsca na miejsce jak szczyty psami Indianin. Nigdy nie posiada więcej niż parę mułów, sześć koni i płótno na namiot. Mieszka z córką, gdzie Bóg da. Latem zwykle bliżej szczytów górskich, zimą w zaciszniejszych dolinach. Trzymają też kilka krów.

— Z tego żyją?

— Nie wiadomo. Ale mają zawsze trochę gotówki. Trochę polują. Sprzedają rocznie po parę wołów.

— To straszne życie dla dziewczyny — powiedział Train.

— Wielu mężczyzn tak już mówiło jak pan — powiedział hotelarz, — A mnie się zdaje, że gdyby nie lubiła tego życia, dawno porzuciłaby ojca i urządziła się inaczej.

Gdy tak rozmawiali, zaczęli do hotelu wchodzić ludzie

i Train wymknął się, nic nie mówiąc. Gospodarz nie spostrzegł, w jaki sposób Train opuścił pokój. Zadał mu jakieś pytanie i ze zdumieniem stwierdził, że gościa już nie ma.

— To niezwykle człowiek — opowiadał hotelarz zebranym i opinia o Trainie w Morrisonie została ustalona.

Tymczasem Train dosiadłszy Whimsy, wyjechał za miasto i błądził w lesie cedrowym, gęsto tu rosnącym. Słońce przedwieczne grzało jeszcze mocno i oślacało blaskiem pnie drzew wokół niego. Natomiast pnie sosen, rosnących na zboczach, tonęły już w całkowitym cieniu.

Train zataczał koniem wielkie kręgi, aż dostał się na miejsce, w którym zniknął mu z oczu Courtney z córką.

Teraz jechał powoli, rozglądając się wokół siebie, badając szczegółowo każdą piędź ziemi i uważnie nasłuchując. Słońce chyliło się już ku zachodowi, niebo zabarwiło się purpurą, po pniach drzew ślizgał się czerwony blask, góry stały pogrążone w ciemnościach, a Train nie natrafił na żaden ślad ludzkiej bytności. Nie było tu żywej duszy, nie dochodziły też żadne odgłosy prócz szumu wiatru w gałęziach drzew i dolatującego z daleka wycia wilka. Train zdziwił się nawet, dlaczego to wilk idzie tropem zwierzyny dniem, ale wiedział, że wilki nie mają stałych przyzwyczajęń i tym właśnie wprowadzają często w błąd myśliwych.

Wycie umilkło, ale już po chwili rozległo się na nowo, tym razem znacznie bliżej. Train zaczął nasłuchiwać, skąd dochodzi głos. Chciał na własne oczy zobaczyć wilka polującego dniem na zdobycz.

Stał właśnie na szczycie niewielkiego wzgórza, spadającego łagodnie w dolinę porośniętą wysokimi, żółtymi kwiatami jaskrów, które wyglądały w tej chwili dziwnie blado w świetle zachodzącego słońca. Trudno było wyobrazić sobie lepszą scenę do rozegrania dramatu gór i lasu.

Rozwiązanie zagadki przyszło samo. Z lesistego wzgórza, wznoszącego się z drugiej strony doliny, zbiegł w dolinę, sadząc olbrzymimi susami, młody jeleni o białym ogonie. Biegł oszalały ze strachu, opuszczając i podnosząc spiczaste uszy.

O parę metrów za jeleniem biegł jego prześladowca. Wyglądał jak popielaty cień sunący nisko przy ziemi. Przez chwilę zanurzył się tak głęboko w trawy i kwiaty, że nie było go widać.

Ale ta obfita, wysoka trawa była szczęściem dla jelenia. Przez chwilę zdawało się, że wywinie się z tego niebezpieczeństwa, a człowiek przyglądający się temu widowisku, życzył jeleniowi z całego serca, by się uratował. Bo w zwinnej postaci jelenia było coś wyjątkowo pięknego, coś z urody swobodnego stworzenia, a jego szary prześladowca był jak gdyby upostaciowaniem podstępny i brutalnej przemocy. Trawa w miarę ucieczki jelenia rzedła i stawała się niższa. Wilkowi dodało to widocznie odwagi, gdyż biegł teraz niesłychanie szybko, nie okazując żadnego zmęczenia. Wiadomo bowiem, że te drapieżniki potrafią bez najmniejszego znużenia przebiec i sto kilometrów za zdobyczą.

Jeleń zrobił jeszcze kilka rozpaczliwych wysiłków, ale na próżno, wilk dopadł go i biegł tuż za nim. Train wydobył sztucer. Nie umiał tak dobrze obchodzić się z nim jak z rewolwerem, ale i ta broń nie była mu obca.

Jeleń wykonał jeszcze jeden rozpaczliwy skok i w tejże chwili Train wymierzył ze sztucera do wilka. Sprzyjało mu szczęście. Rozległ się głos rozpachy i wściekłości, wilk skoczył w górę i upadł na grzbiet, chrapiąc przeraźliwie.

ROZDZIAŁ XVI

Córka Courtneya

Train nie spieszył się z dobijaniem wilka. Wiedział, że drugi strzał i tak dobije zwierzę zbyt poważnie ranne, by mogło chociaż ruszyć się. Rozejrzał się po dolinie i zobaczył, że uratowany jeleń wciąż ucieka, mimo iż nie grozi mu już niebezpieczeństwo.

Tymczasem ze wzgórz zjechał w pełnym pędzie ktoś na koniu. Była to córka Courtneya. Train poznał dziewczynę, mimo odległości, natychmiast. Zjeżdżała w dolinę wprost na rozwścieczonego, rannego wilka.

Na próżno ruszył z miejsca i wykrzykiwał ostrzeżenie, dziewczyna się nie cofnęła. Za to krzyk jego podniecił widocznie wilka, bo zaczął się gwałtownie poruszać na trawie. Train pospiesznie nabijał broń, ale zanim zdążył wypalić, usłyszał przeraźliwy okrzyk:

— Piesku! Jerry!

Na te słowa wilk zaczął się czołgać w kierunku dziewczyny, obracając głowę z pełnym wściekłości łękiem w kierunku mierzącego do niego mężczyzny.

Train był niesłychanie zaskoczony tym, co zobaczył. Byłby przysiągł, że miał do czynienia z prawdziwym dzikim wilkiem leśnym. Zwierzę miało wzrost leśnego wilka,

jego łeb, jego nastroszoną sierść i drapieżne pazury. Im bardziej zbliżał się do tego miejsca, tym bardziej zdawało mu się, że nie mógł się pomylić.

A jednak dziewczyna, zeskoczywszy z konia, przykle-
kła przy rannym zwierzęciu, które odwróciwszy głowę,
groźnie zaszczekało na zbliżającego się Traina. On zaś
przekonał się wreszcie o swej pomyłce: zwierzę, które
wziął za leśnego wilka, było psem z gatunku wilczurów.
Krew spływała mu strumieniem po pysku.

— Proszę stąd odejść — powiedziała dziewczyna. —
Nie rękę za Jerry'ego.

— Mimo to nie odejdę — odparł Train i zbliżył się od-
ważnie do leżącego zwierzęcia.

Serce miał w tej chwili w piętach, ale ufał swemu
szczęściu. Dotychczas nigdy go nie zawiodło, zwłaszcza w
stosunku do koni i psów. Jeżeli w tej bestii jest dość psiej
krwi, musi mu się udać.

Jerry chciał się zerwać z miejsca, ale wydał tylko dłu-
gie, pełne gniewu szczekanie, sierść zjeżyła mu się na
karku. Train wyciągnął szybko rękę i zanim pies się spo-
strzegł, pogładził jego kark. Jerry warknął jeszcze, ale
ciszej, jak gdyby niechętnie, i umilkł.

— Jak pan tego dokonał? — spytała dziewczyna, oglą-
dając uważnie jeszcze ranę zwierzęcia. — Myślałam, że
się na pana rzuci.

— I pragnęła pani tego? — spytał prowokująco.

Rumieniec przeleciał po twarzy dziewczyny. Spojrzała
raz jeszcze na ranę, a przekonawszy się, że jest całkiem
powierzchnowym draśnięciem, wstała z kolan.

— Co ten pies zrobił panu złego? — spytała.

— Myślałem, że to wilk — odparł pokornie.

— Wilk polujący w dzień? — krzyknęła pełna oburzenia. — A poza tym czy wilki biegają tak jak Jerry i czy Jerry ma wilczy ogon?

Dopiero teraz to spostrzegł. Stał przed dziewczyną zawstydzony.

— Proszę pani — powiedział nieśmiało — bardzo przepraszam. Jest mi ogromnie przykro. Proszę pozwolić mi obmyć i opatrzeć mu ranę.

— Krew ją dobrze obmyła — odparła. — Jedyna rzecz, jaką należy teraz zrobić, to zabrać go do domu zanim krew nie zakrzepnie i zanim się nie przeziębi.

Skoczyła na siodło tak zwinnie i lekko jak chłopak. W giętkich i pewnych ruchach i w spojrzeniu jej śmiałych oczu również było więcej z chłopca niż z dziewczyny. W całej jej postaci było właśnie tyle kobiecej słodyczy, ile łagodności tkwiło w dzikim mustangu, którego dosiadła. Ścisnęła krewkiego konia kolanami, podrażniła jego boki ostrogami, tańczył jeszcze chwilę w miejscu, ale już całkiem jej posłuszny. Train zrównał się z jej koniem, ale gdy tylko to spostrzegła, zatrzymała się gwałtownie i patrząc mu prosto w twarz, powiedziała:

— Jerry bez pańskiej pomocy dostanie się do domu. I ja także.

Krew nabiegła do twarzy młodzieńca na tę zniewagę. Zdarł z głowy kapelusz i nisko pokłonił jej się w siodle.

— Pani — powiedział — oto już po raz drugi odpędza mnie pani od siebie. Nikomu nie udało się wypędzić mnie po raz trzeci. Dobranoc.

— Po raz drugi? Ależ ja widzę pana pierwszy raz w życiu! — zawołała.

Przez głowę Traina przeleciało przynajmniej sto twarzy kobiet przez niego zwyciężonych i obojętność tej dziewczyny doprowadziła go do wściekłości.

To nie jest kobieta — pomyślał. To chyba kamień...

Dziewczyna tymczasem przybliżyła swego konia do konia Traina i zaglądając mu prosto w twarz powiedziała:

— Jak to? Byłby pan tym, który dziś uratował życie ojcu?

Oparła dłoń na jego ramieniu i uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w oczy. Mogła być nie wiem jak chłopięca, ale nie ulegało wątpliwości, że gdy się uśmiechnęła, w uśmiechu tym była słodycz i wdzięk prawdziwie kobiecej... Nawet Jerry zdawał się rozumieć nagłą zmianę w swej pani, bo oparł swą kosmatą szarą łapę o nogi Traina i przyglądał mu się uważnie.

— Teraz pojmuję, czemu Jerry pozwolił panu się zbliżyć. Jerry rozumie i czuje wszystko.

— Powinna się pani spieszyć — powiedział Train oschle. — Zbliża się chłód nocny, może zaszkodzić psu.

I zawrócił Whimsy.

— Niech pan nie będzie mściwy — powiedziała dziewczyna. — Bardzo mi przykro, że byłam przedtem szorstka. A jeszcze bardziej mi przykro, że ojciec zachował się tak niegrzecznie w stosunku do pana. Ale był dziś taki, że aż ja się go bałam. Widzi pan, ojciec jest jak wyschnięty step. Wystarczy, by go ktoś podpalił, a będą się działy okropne rzeczy.

— Widziałem to dziś w Morristonie.

— O nie, to nie było jeszcze to! — zawołała dziewczyna. — Tam się jeszcze trzymał. Ale gdyby sobie pozwolił, gdyby rzucił się na tę gromadę głupców... — w głosie jej zadźwięczała surowa powaga — wtedy nie ośmieliby się żaden z nich stanąć przeciw niemu. Musiałoby trzech iść na jednego ojca.

Ile dumy i radości słyszało się teraz w jej głosie. Odzuciła w tył głowę, a oczy jej błyszczały.

— Ale ja go powstrzymałam. Trzeba mi było do tego takiego wysiłku, że nie miałam czasu zwrócić uwagi na pana. Bardzo mi teraz przykro. Bo mimo wszystko widziałam, jak pan strzela. Czy nie zechciałby mnie pan tego nauczyć? Czy nie zechciałby mi pan pokazać, jak się strzela z dwu rewolwerów jednocześnie?

Pełna radosnego podniecenia na tę myśl, ledwie mogła usiedzieć na siodle.

— Pani umie strzelać? — spytał Train.

— Wystarczająco na moje potrzeby — powiedziała bez przechwałki. — Czy widzi pan sowę tam na gałęzi? Powiem jej tylko małe słówko.

Wyjęła szybkim ruchem rewolwer z pochwy umieszczonej przy siodle i strzeliła. Gdy rozwiła się chmura dymu, ptaka nie było na gałęzi.

— Zaledwie dotknęłam jej skrzydeł — powiedziała.

— Gdyby na miejscu zwierzęcia był człowiek, już by nie żył — odparł Train.

Dziewczyna roześmiała się:

— Nie strzelam do ludzi, bo nie można sprzedać ich skór. Ale teraz jedźmy, ojciec czeka na mnie z wieczerzą.

Urwała i zmusiła konia do galopu. Przez jakiś czas jechali doliną w milczeniu. Mrok potęgował się z każdą chwilą, ale Train widział dziewczynę i bez światła. Wystarczyło mu kilka spojrzeń na nią rzuconych, by obraz jej utrwalił się raz na zawsze pod jego powiekami. Ale jadąc tak za nią, mógł z wysokości siodła Whimsy obserwować nowe szczegóły. Zachwycała go jej mała główka, zgrabnie osadzona na szyi, i piękne ruchy, tak zharmonizowane z ruchami jej konia.

Potem znów zaczęli rozmawiać.

— Skąd pani wzięła takie psisko?

— Mam go od szczeniaka. Znalazłam go w pułapce.

— Kto go tresował?

— Ja.

— Ciężko było?

— Nie. Bat za mnie pracował. To było łatwe.

By pokazać, jak dobrze jest wyuczony, dziewczyna powiedziała do Jerry'ego kilka słów, a wilczur posłusznie przybliżył się do jej konia i biegł tuż przy nogach. Potem uśmiechnęła się do Traina, ale on nie odpowiedział uśmiechem. Myślał o tym, że tresowała zwierzę batem. Jakaż dziwna mieszanina w tej dziewczynie: mężczyzna i kobieta, łagodność i okrucieństwo.

Nagle wśród galopu zatrzymała konia. Odwróciwszy głowę, nasłuchiwała uważnie. Panowała cisza.

— Zdawało mi się, że słyszę...

Train miał doskonały słuch, ale nic nie słyszał.

— Tak — powtórzyła dziewczyna. — Słyszał pan? — Nie, nic nie słyszałem — odparł Train.

— Znowu. Tak, to on!

Teraz przez szum wiatru doleciało do uszu Traina ciche gwizdanie.

— Kto to? — spytał. — Pani ojciec?

— Nie, nie, nie! Do widzenia. Przyjdzie dzień, kiedy się jeszcze spotkamy.

— Gdzie? — spytał.

Ale ona już odjechała, machając mu na pożegnanie.

Train dopiero teraz spostrzegł, jak bardzo głęboka zapadła noc. Dziewczyna zniknęła za drzewami, pochłonęły ją ciemności nocy. Jechał jeszcze chwilę za nią pełen smutku, że tak bardzo zależy jej na jakimś innym mężczyźnie. Szybko niósł ją koń przez las, ale Whimsy, pędząca za nim, była szybsza. Train widział, jak dziewczyna spotkała się z jakimś wysokim jeźdźcem na dużym koniu. Widział jeszcze, jak nieznajomy zamknął dziewczynę w swych ramionach.

Smutek Traina zamienił się w gniew bez powodu. Sam nie wiedział, czym się tak bardzo przejął. Czuł, że jeszcze chwila, a uczyni użytek z rewolweru. Potem wytłumaczył sobie z goryczą, że nie ma tu nic do roboty, nawet jako widz. Zawrócił Whimsy. Gonił go wesoły śmiech dziewczyny.

Train spał konia ostrogami i ruszył w noc.

ROZDZIAŁ XVII

Chuck i Train

W hotelu był jeden pokój wolny. Chuck Logan wynajął go na tę noc. Uważał to za pierwszy krok zbliżenia się do

Traina, po czym czatował na schodach, nasłuchując, czy nie nadchodzi. Jedynym ważnym zdarzeniem ubiegłego dnia była walka na ulicy i strzały Traina. Mieszkańcy Morristonu przyzwyczajeni byli do zachowania się Toma Courtneya, tak że nie zrobiło ono już na nich wrażenia. Ale dziesiątki razy powtarzano, jak to Steve Train wyskoczył przez okno na ulicę i zakończył bójkę uliczną.

Chuck wysłuchiwał wszystkiego, chociaż miał swoją własną opinię o walce, której był przecież świadkiem. W końcu doszedł do wniosku, że misja powierzona mu przez naczelnika nie należy bynajmniej do łatwych. Sam nie był tchórzem, ale na pierwszy rzut oka potrafił ocenić walory tamtego młodzika.

Nie przerażała go perspektywa obłudy, z jaką miał przystąpić do Traina, udawać jego przyjaciela i zaproponować mu przystąpienie do bandy Naira. Usiadł więc na werandzie hotelowej i w mroku nocnym rozmyślał o tym, jaki szczęśliwy traf mógłby go do Traina przybliżyć.

Przed hotelem rozległ się gwar rozmów, światełka papierosów migotały jak płomienne motylki w ciemnościach. Z ulicy dolatywały radosne śmiechy i okrzyki bawiących się dzieci. Upał dzienny jeszcze nie opadł, wiatr zaczynał dopiero ochładzać nagrzane powietrze. Siedzący przy Chucku mężczyzna o jasnych włosach i bladych oczach, poprosił o zapalną. Chuck dał mu ognia, nie nawiązując rozmowy. Zbyt pilnie nasłuchiwał, co mówią inni.

— Nigdy już nie zobaczymy Traina — powiedział ktoś obok.

— Czemu nie?

— Nair go zaangażuje. Takiego strzelca więcej nie spotka.

— A może on nie chce być przestępcą?

— Nair potrafi przekonać każdego, kogo zechce.

Chuck uśmiechnął się milcząco. Nie po raz pierwszy słuchał rozmów o swym naczelniku i myślał, że wszystko, co mówią o Nairze jest fałszywe. Nawet on sam, który przestawał z nim od dawna, nic prawdziwego o nim nie wiedział. Charakter Naira był jak zapieczętowany list. Może w tej jego tajemniczości leżała jego siła.

Nagle zaczęto szeptać, że Train wrócił do hotelu i przez tylne wejście schronił się do swego pokoju.

— Nie chce widocznie słuchać, co o nim mówią — powiedział sąsiad z prawej strony Chucka. Logana.

— Chyba jest to skromny chłopak. — Wstał, przeciągnął się z głośnym ziewaniem i zniknął w głębi hotelu.

Chuck nie miał jeszcze ochoty spać. Zaczął przechadzać się po szerokiej alei otaczającej gmach hotelu. Noc była już zupełna, ale wschodnia strona nieba pojaśniała i pokazał się księżyc. Chuck spostrzegł dwu ludzi, którzy uważnie przyglądali się hotelowi.

— Zgasił światło w pokoju — powiedział jeden z nich.

— Widocznie wcześniej chodzi spać.

— Może mieć tej nocy dziwne sny — powiedział drugi i obaj roześmiali się wesoło.

Chuck poczuł, że krew żywiej płynie mu w żyłach na widok światła w oknach hotelu. Na drugim piętrze paliło się jeszcze we wszystkich oknach, z wyjątkiem jednego. Dwaj nieznajomi usiedli na ławce na wprost hotelu, jak

gdyby przygotowując się do dłuższej obserwacji okien. Księżyc wschodził teraz szybko i przeświecał przez gałązki drzew. Chuck Logan opuścił cicho swoje miejsce.

Nie miał tu nic do roboty. Spacerował leniwie przez godzinę. Potem wrócił do hotelu i wszedł na schody. W holu na górze natknął się na tego człowieka, który już tak dawno udał się rzekomo na spoczynek; był ubrany i wyglądał tak, jak gdyby pełnił wartę przed numerem 19.

— Za gorąco, żeby spać — powiedział człowiek o bladych oczach.

— Z pewnością — odparł Chuck i wszedł do swego pokoju. Właśnie ściągał z nóg buty, kiedy przyszło mu na myśl, że numer 19, to pokój, w którym wcześniej zgasło światło i że to okno obserwowali dwaj mężczyźni.

Wyszedł znowu na schody, zszedł na dół i spytał nocnego portiera, kto mieszka w pokoju numer 19.

— Ktoś, o kim dziś wszyscy mówiliśmy — roześmiał się portier. — To pokój Traina.

— Tak, prawda — powiedział Logan — zdawało mi się, że go tam widziałem, ale nie byłem pewien.

Wrócił do siebie i rozmyślał nad tym, czego się dowiedział. Nie ulegało teraz wątpliwości, że zarówno ci dwaj na dole, jak i blondyn na górze szpiegują Traina. Muszą to być zapewne przyjaciele tych, których zranił dziś na ulicy.

Chuck znał dobrze mieszkańców Morrystonu, ale ci ludzie byli mu obcy; musiało im z jakichś względów zależeć na gościu z numeru 19.

Po namyśle podszedł do drzwi Traina i zapukał. Odpowiedział mu natychmiast głos człowieka wyrwanego ze snu. Potem rozległ się trzask pocieranej zapalki i przez szparę w drzwiach błysnęło żółte światło zapalonej lampy. Wreszcie otwarły się drzwi, ale Train nie stał na progu, tylko przezornie w głębi pokoju, by nie być zaskoczonym przez napastnika.

To chytry lis — pomyślał Logan. — Naczelnik ładnie mnie ubrał.

Głośno zaś powiedział:

— Nazywam się Logan. Cieszę się, że pana poznaję, Train.

— Jak się pan miewa? Proszę wejść i spocząć. Jak tam pańskie sprawy, Logan?

Logan wszedł do wnętrza i usiadł w kącie małego pokoju na krześle.

— Moje sprawy są nieważne — powiedział. — Przyjechałem tu z innego powodu.

— Słucham cię, towarzyszu.

Przeciągnął się ziewając i usiadł na skraju łóżka, nie spuszczać z twarzy Chucka dużych, ciemnych oczu. Chuck rozejrzał się niespokojnie. Wiedział, że choć Train nie ma na wierzchu broni, musi ją mieć przy sobie.

— Ma pan przyjaciół, którzy nie dadzą panu spokoju ani dniem, ani nocą — zaczął Logan.

— Skąd pan wie?

— Widziałem dwu ludzi pod oknem, czyhających na chwilę, kiedy pan zgasi światło w pokoju.

— Wiedział pan, że to mój pokój?

— Wtedy jeszcze nie wiedziałem. Dopiero gdy wszedłem na górę i zobaczyłem na korytarzu pod pańskimi drzwiami trzeciego człowieka...

— Słyszałem go doskonale — roześmiał się Train cicho. — Czekałem i nasłuchiwałem przez drzwi.

Chuck Logan spojrział na Traina z lękiem i podziwem.

Bywał często w niebezpieczeństwie, ale nie zdobyłby się na to, by leżeć spokojnie w łóżku, podczas gdy niebezpieczeństwo czyha pod drzwiami. Takiej odwagi nie był w stanie pojąć. Niebezpieczeństwo zdawało się być żywiołem tego młodzieńca.

— Jak on wygląda? — spytał Train.

— Bezbarwny. Ma jakieś blade oczy.

— Wygląda jak buldog? — zainteresował się Train.

— Tak, podobny do buldoga.

— Gresham — powiedział Train.

Zaczął zastanawiać się nad tą kwestią. Wreszcie spokojnie wstał i wciągnął skórzane spodnie, które kupił sobie właśnie jako znakomite do konnej podróży wśród kolących krzewów. Następnie włożył marynarkę, a Chuck nic nie rozumiejąc, przyglądał się tym przygotowaniom.

— Jestem panu bardzo wdzięczny za te wiadomości — powiedział wręczcie do Logana. — Czemu pan przyszedł do mnie z ostrzeżeniem?

— Widziałem pana dziś przy robocie — odparł Logan.

— Poza tym prowadziłem ostatnio tak monotonne życie, że szukam jakiejś podniety.

Train pokiwał głową. Wyjął coś szybko spod poduszki, ale Logan zdążył zauważyć, że to rewolwer.

— Na razie żegnam — powiedział. — I bardzo dziękuję.

— Train — powiedział szybko Logan. — Posłuchaj mnie pan. Co dwu, to nie jeden.

Train idąc ku drzwiom, rzucił na niego bystre spojrzenie.

— Co to znaczy? — spytał.

— Gdy się jedzie samemu, jest się samotnym — dodał Logan.

Młodzieniec przymknął powieki. Długą chwilę się namyślał.

— Czemu nie? — powiedział wreszcie. — Ale czy zdajesz sobie sprawę z tego, Logan, że to niebezpieczna zabawa?

— Dość długo odpoczywałem.

— Logan, jeżeli pan chce zająć się moją sprawą, proszę bardzo.

— Czy jedziemy konno? — spytał tylko Chuck.

— Oczywiście.

— To niech pan czeka tutaj. Pójdę osiodłać mego i pańskiego konia. Kiedy klacz pana będzie gotowa...

— Zna ją pan?

— Czyż można zapomnieć taką klacz? Poczekam z osiodłanymi końmi pod tamtymi drzewami, na zachód od stajni hotelowych. Nawet jeżeli czyhają na pana, będą sądzili, że dopóki nie zobaczą pana przed stajniami, musi pan być w hotelu. Prawda?

— Logan, ma pan głowę na karku. Uciekaj! I zagwiźdź, kiedy mam zejść. Okno będzie otwarte.

ROZDZIAŁ XVIII

Droga do Culver Draw

W drzwiach stajni Chuck Logan natknął się na młodego Brewera.

— To ty Chuck? Cóż to za hałasy po nocy?

Logan wziął go na bok.

— Czy przysłał cię naczelnik? — spytał.

— Tak. Mam przynieść nowiny.

— Wszystko w porządku. Ktoś śledzi Traina. Zdaje się, że szpicel. Musi za wszelką cenę wiać. I ja wieję z nim. Napracowałem się porządnie. Ale go ostrzegłem, a potem powiedziałem, że chcę mu pomagać.

— Napracowałeś się? Ty? — Sid Brewer roześmiał się.
— Jestem pewny, że wpadł z łatwością.

— Jeszcze nie. Na razie jestem jego dobroczyńcą, mój synu. Muszę zdobyć jego zaufanie, zanim minie ta noc.

— Zgłosi się do ciebie ktoś o świcie.

— Który z chłopaków będzie nas śledził?

— Ja i Harry Tice.

— Nikt więcej?

— To nie dosyć?

— Zdaje się, że nie. Ten Train to chytry lis...

— Będziemy na twoim tropie. Nic się nie bój.

— Doskonale, Sid.

Brewer pomknął w stronę hotelu. Logan wszedł do stajni, by osiodłać konie. Zaprowadził je potem pomiędzy gęsto rosnące drzewa i zagwizdał. Po chwili ujrzał obok siebie Traina.

Pomknęli w blasku księżyca do granic miasta, potem skręcili na północny wschód. Train nie miał żadnego określonego planu. Chciał tylko, by dzieliło go kilkadziesiąt kilometrów od Greshama. Po drodze opowiadał swemu towarzyszowi o małym detektywie.

— Potrafi znaleźć ślad i iść tak pewnie jak buldog na smyczy — opowiadał Chuckowi. — To on wytropił przed dwoma laty Lew Hendricksa. Osiem miesięcy chodził po jego śladach. Schwycił go, jak lądował w Nowym Orleanie. Taki jest Gresham! Wołałbym, żeby mi stu innych deptało pa piętach niż jeden Gresham. A kiedy zobaczy pana w moim towarzystwie, będzie przetrząsał pańską przeszłość dokładnie, byle coś znaleźć.

To mówiąc, odwrócił się w siodle i spojrzał w twarz Logànowi, ale twarz ta pogrążona była w mroku.

Zatrzymali się w małej kotlinie między górami, trzynaście kilometrów od miasta. Przyrzadzili tam sobie kawę, a wypiwszy, udali się na spoczynek.

Chuck doczekał się chwili, kiedy usłyszał równy oddech towarzysza, potem zsunął się ze swego posłania i wstał. Od pół godziny słyszał już w równych odstępach głos sowy. Posuwał się cicho w tym kierunku. W odległości siu kroków natknął się na Brewera i Harry'ego Tice'a.

Drżeli z zimna i przeklinali całą robotę.

— Cóż Train? — spytali.

— Nic nie podejrzewa.

— Tice przynosi ostatnie wieści od naczelnika. Train ma przy sobie grubą gotówkę. Naczelnik kazał, byśmy go unieszkodliwili j zabrali pieniądze.

Logan gwizdnął:

— To mi nie wygląda na naczelnika.

— Jest wściekły na tego Traina. Postąpił podobno jak świnia.

Chuck namyślał się, a potem rzekł:

— To przykra sprawa. Ale skoro naczelnik każe, musi być zrobione. Pewnie ma swoje powody.

— Wracaj i rozejrzyj się trochę po okolicy. My będziemy o kilka kroków od miejsca, z którego będziesz do niego strzelał. Kiedy zechcesz, by ci pomóc, stój chwilę nieruchomo. Kiedy uznasz, że dasz radę sam, usiądź na chwilę i zaraz potem wstań. Naczelnik kazał ci powiedzieć, że jeżeli stwierdzisz, iż nie dasz rady z Trainem, to masz go zwabić do Culver Draw na jutro rano. Będzie tam dość naszych chłopców i skończą sprawę.

Logan wzruszył ramionami i udał się ku śpiącemu towarzyszowi. Było mu bardzo gorzko na duszy, że musiał się podjąć takiej roboty. Ale pocieszał się, jak to czynił już niejednokrotnie, że umarli nie mogą już robić żadnych wymówek i postanowił wywiązać się jak najsumienniejsz z zadania. Ody dotarł do miejsca obozowania, zastał Traina w tej samej pozycji. Śpiący leżał na plecach, twarz jego osłonięta była przed blaskiem księżyca cieniem skały.

Chuck Logan, kładąc się na swoim pośłaniu, patrzył na śpiącego spod oka. Nie był bowiem pewien, czy przebiegły Train nie udaje czasami snu i nie przygląda mu się spod długich rzęs, aczkolwiek oddychał cicho i równomiernie.

Nagle podniósł się ostry wiatr i Logan zobaczył coś, od czego zamarło mu serce. Oto wiatr rozrzucił derki,

przykrywające Traina, i odsłonił przy jego prawym boku przedmiot, który już na pierwszy rzut oka nie mógł być dłonią leżącego. Był to sześciostrzałowy rewolwer, a ręka Traina obejmowała tę broń nawet we śnie. Logan nie miał wątpliwości, że Train naprawdę nie śpi, że udaje tylko przed nim, a cały czas jest na czatach.

Logan wstał z posłania, przeszedł się kilka kroków i usiadł z powrotem. Był to umówiony znak dla dwu drżących w nocnym chłodzie, że nawet w trójkę nie pokonają Traina. Czuł w tej chwili, że szaleństwem byłoby zaczepiać tego zwinnego i wiecznie czuwającego człowieka, który leżał obok niego jak czujny kot, obserwujący spod oka głupią myszkę, kręcącą się między jego drapieżnymi łapami.

Logan, kładąc się z powrotem na swoje posłanie, czuł, że serce bije mu gwałtownie w piersiach. Uniknął przed chwilą śmiertelnego niebezpieczeństwa. Upłynęła długa godzina, zanim naprawdę zasnął. Gdy się obudził, niebo poróżnowiało już, a ognisko było rozpalone. Doleciał go zapach świeżej kawy.

Usiadł, przeciągając się i ziewając, ale umysł jego już gorączkowo pracował. Na ogół miał lekki sen i byłby przysięgł, że nie ma na świecie człowieka, który mógłby w jego obecności wstać i rozpać ogień, nie budząc go przy tych czynnościach. Tymczasem tego cudu dokonano przed chwilą. Przyglądając się twarzy Traina, pochylonej nad ogniem, Chuck pomyślał, że ten chłopak ma więcej zalet niż przypuszczał i że on czuje się wobec niego jak nowo narodzone dziecko wobec doświadczonego mężczyzny. Patrzył na niego z takim uczuciem, z jakim kopacz

złota patrzy na swą skrzynkę dynamitu, a nędzarz na talerz gorącej zupy.

Śniadanie składało się z gorącej kawy i sucharów.

Gdy skończyli jeść, Logan zapytał Traina, jakie ma plany i nie czekając na odpowiedź, stwierdził:

— Wygląda na to, że nie było wielkiego niebezpieczeństwa. Ten Gresham z pewnością nie orientuje się w górach. Musi być z tego gatunku detektywów, którzy czują się swobodnie tylko na jezdni i w blasku zapalonych latarni.

— O, Gresham potrafi przystosować się do różnych warunków bardzo szybko — powiedział Train. — Znam tego ptaszka i wiem, jak umie latać. Ma nosa do wszystkiego i rzadko się myli.

— Więc dokąd udamy się dzisiaj?

— Pan zna okolicę lepiej. Dokąd pan radzi?

Serce Chucka Logana zabiło gwałtownie. Te słowa wskazywały, że Train porzucił swe podejrzenia, jeżeli je nawet miał dzisiejszej nocy.

— Zdaje się, że będziemy bezpieczni w Culver Draw — powiedział Chuck. — Ma doskonałe kryjówki pod miastem. Gdyby pojawiło się jakieś niebezpieczeństwo, mamy do wyboru dwadzieścia wąwozów otaczających to miasteczko. Jest gdzie się ukryć.

Traina przekonał prawdopodobnie ten ostatni argument i osiodławszy konie, ruszyli w kierunku Culver.

Jechali przez przełęcz i drogi stromych w tej okolicy gór, nie zapominając o tym, by jak najdalej trzymać się od miasta, w którego pobliżu Gresham na pewno zorganizował poszukiwania.

W południe znaleźli się na brzegu niewielkiej rzeki, płynącej środkiem cienistego wąwozu. Rzeka należała do tych górskich wód, których prąd jest wyjątkowo bystry. Siła prądu była tak wielka, że chwilami, gdy rozjaśniały się brunatne wody rzeki, można było zobaczyć olbrzymie kamienie porywane z dna przez wodę i toczone dalej. Zrąbany gdzieś w górze pień drzewa płynął wodą tak gwałtownie, jak włócznia wypuszczona silną dłonią wojownika. Mimo że rzeka była wąska, wody jej toczyły się z ogromnym hałasem, potęgowanym wielokrotnie przez echo górskie.

Mogli przebyć tę rzekę w jednym miejscu, gdzie brzeg jej był dostępniejszy, mniej urwisty, ale jak wyjaśnił Chuck, miejsce to znajdowało się za blisko szlaku wiodącego do Morristonu.

— Czy pański koń potrafi skakać? — spytał Train.

— Jak ptak.

— W takim razie spróbujemy konno przenieść się z jednego urwistego brzegu na drugi — zaproponował Train.

— Zgoda — powiedział Chuck.

Nie dokończył, kiedy Whimsy rozpedzona przez Traina, lekko jak ptak przesadziła rzekę i znalazła się na przeciwległym brzegu, drząc z dokonanego wysiłku.

— Jazda! — zawołał Train.

Chuck rozpedził konia i skoczył. Ale na nieszczęście spod kopyt konia potoczył się jeden z kamieni. Jeździec skacząc, już zrozumiał, że koń wziął za mało rozpędu i że nie natrafi kopytami na drugi brzeg. Koń zrobił szalony wysiłek, wsparł się nogami o brzeg i usiłował wdrapać się

na stromą ścianę jak kot. Ale noga mu się pośliznęła i jeździec wraz z koniem wpadli w nurty rwącej niczym strzała rzeki.

ROZDZIAŁ XIX

W śmiertelnym niebezpieczeństwie

Chuck padając, ujrzał przed oczyma najpierw blade od blasku słonecznego niebo, a potem tuż obok siebie szare od mułu wody rwącej rzeki.

Koń i człowiek zanurzyli się w wodę. Siła tej wody była jak żelazne dłonie, które chwyciły ich w swe tryby. Prąd ścisnął mu ręce i nogi jak ciężarami, strumienie wody wytryskiwały mu z nozdrzy. Mignęły mu raz jeszcze przed oczyma strome skały, rozpalone od słońca niebo i zanurzył się znowu pod wodą, ogłuszony straszliwym hałasem rzeki.

Wszystko przepadło — pomyślał Chuck. Nie będę już mógł popełnić największej podłości mego życia. To wszystko spotyka mnie za to, że chciałem oszukać Traina. Nawet w piekle mi tego nie wybaczą.

Wyrzuciło go znowu na powierzchnię. Blisko siebie ujrzał wypływającą głowę konia z przerażonymi oczyma i rozdętymi nozdrzami. Biedne zwierzę poznało swego pana i najwidoczniej sądziło, że zdoła mu pomóc.

W tejże chwili Chuckowi udało się schwycić brzeg siodła. Prąd przechodził w tym miejscu w wir i obróciwszy człowieka kilkakrotnie, sprawił, że Chuck ujrzał na nowo

przeciwny brzeg. Na tym brzegu zobaczył postać ludzką na koniu, zbliżającą się coraz bardziej do rzeki, jeździec zeskoczył z konia ze zwinnością cyrkowca. Poprzez gęstą zasłonę wody Chuck widział, co Train robi. Przez głowę przeleciała mu myśl, że on w podobnym wypadku nawet nie usiłowałby ratować najbliższego przyjaciela, przekonany, że trud ten będzie próżny. Po prostu załamałby ręce i czekał, aż się to wszystko skończy.

Nagle ujrzał z przerażeniem, że płynie wprost na sterzącą z dna skałę, o którą z pianą rozbijały się wody rwącej rzeki. Jeszcze chwila, a prąd nieubłagany rzuci go o tę skałę i nastąpi koniec. Poczul jeszcze, że koń usiłuje odwrócić się od zgubnej skały; wiedział, że to na próżno. Ale w tejże samej chwili ujrzał Traina, jak przycupnięty na wysokim brzegu, usiłuje schwycić końce lejców zwisających z uprzęży końskiej. Nie mogąc osiągnąć z brzegu, Train zszedł aż do wody i stał w niej zanurzony aż po pas. Na twarzy jego malował się nadludzki wysiłek.

Tymczasem woda żelaznymi kleszczami trzymała ciało konia i człowieka. Chuck czuł, że coraz trudniej mu oddychać, siła prądu wyrzucała go wciąż na powierzchnię, ale nie pozwalała mu płynąć. Wysiłki Traina trwały sekundę lub wiek, widać było, że nie zwycięży on siły prądu pchającego Chucka z koniem w kierunku złowrogiej skały. Ale nagle prąd zmienił kierunek i pchnął człowieka z koniem ku brzegowi, z którego wychylał się Train. Skorzystał z tej chwili i uchwycił lejce, teraz z całych sił pomagał koniowi wydostać się na urwisty brzeg. Udało się. Koń wyszedł na brzeg, a Chuck uczepony kurczowo siodła, wydostał się z nim razem.

Train leżał na brzegu z rozłożonymi ramionami, z twarzą purpurową od dokonanego wysiłku. Oddychał ciężko. Trzymał leżce najwyżej pięć sekund, ale były to sekundy śmiertelnie wyczerpujące. Gdy Chuck dotknął jego dłoni, poczuł, że ciało Traina pokryte jest wielkimi kroplami potu.

Nie mówili do siebie ani słowa. Powoli twarz Traina odzyskiwała normalny kolor, oddech się trochę uspokoił. Wstał. Wciąż milcząc, zrobili parę kroków w górę i usiedli na wysokim brzegu, paląc papierosy, które trzymali drżącymi dłońmi i patrząc z otępieniem na wody szatańskiej rzeki. Jakże słaby wydawał się teraz Chuckowi straszliwy hałas tych wód.

Pragnął Trainowi coś powiedzieć. Ale nie wiedział, jakimi słowami to wyrazić. Bywał winien ludziom wiele: pieniądze, utrzymanie, przyjaźń. W czasie czterdziestu lat swego twardego życia, otrzymywał usługi jedynie od towarzyszków z tej samej bandy, wiedząc, że przyjdzie czas, kiedy odplaci się im tym samym. Pomagał tym, którzy jemu pomagali.

Tego nieznanego młodzieńca schwytał w sieci po to, by go oszukać, a ten odplacił mu uratowaniem życia.

Spojrzał ukradkiem na Traina. Siedział oparty plecami o skałę, przymknął powieki i najwidoczniej rozkoszował się ciepłymi promieniami słońca, ale na twarzy jego widoczne były jeszcze ślady straszego wysiłku. Żył na skroniach miał nabrzmiałe, a oddech nie przestawał być ciężki i świszczący. Logan dotychczas uważał, że ten młodzieniec jest tylko sprytny i zręczny, ale nie podejrzewał w nim takiej siły. A chłopak był silny jak olbrzym.

Im dłużej przystawał z Trainem, tym bardziej wydawał mu się zagadkowy. Na ulicy w Morrisionie wykazał niebywałą przytomność umysłu, odwagę i zwinność. Potem nastąpiła scena w pokoju hotelowym, dziwne zdarzenie przy ognisku podczas obozowania, a jako ukoronowanie wszystkiego niezwykle ocalenie z rwącego prądu śmierci. Train wyrastał w oczach Chucka na bohatera. Z jego spokoju i pozornego rozleniwienia emanowało coraz więcej zalet.

Ale mimo wszystko Chuck nie umiał wyrazić mu swej wdzięczności.

— Pojedziemy do Culver Draw — powiedział Train, gdy skończył palić papierosa. — Ruszajmy. Chuck. Konie już chyba wypoczęły.

Chuck poruszył się, a gdy nasączone wodą jego buty raz jeszcze przypomniały mu, że uniknął cudem śmierci, przemówił stanowczym głosem.

— Nie pojedziemy do Culver Draw.

— Czemu to? Czy są jeszcze takie rzeki po drodze, Chuck?

— Mniejsza o rzeki. Ważne jest to, że ta miejscowość leży w bardzo złym klimacie. Wybierzmy lepiej inną drogę.

— Zgoda — odparł Train spokojnie. — Nigdy nie podobała mi się znaną nazwa tego miasta. Culver Draw to brzmi jak wystrzał z rewolweru, skierowanego ku mnie.

I zaśmiał się pocziwie.

Chuck nie ośmielił się spojrzeć na towarzysza. Jasno wynikało z tych słów, że wie doskonale o zasadzce.

Zaczerwienił się więc gwałtownie ze wstydu, upokorzenia i lęku przed tym, co teraz się stanie. Po chwili jednak odwrócił się ku Trainowi twarzą.

— Wiedziałeś o wszystkim, Train? — spytał.

— Nie, nic nie wiedziałem — odparł Steve szczerze — ale wydało mi się nieco dziwne, że chciałeś mi towarzyszyć w drodze, nie wiedząc, kim jestem, dokąd się udaję, jakie na mnie czyhają niebezpieczeństwa i po co cię zabieram. Co do mnie nawet wówczas, gdy ciążyła mi samotność, dobieierałem sobie zawsze ludzi, o których wiedziałem więcej niż oni o mnie.

Wypowiedziawszy tę mądrą uwagę, roześmiał się znowu. Wzruszenie ogarnęło Chucka.

— Wiedziałeś, że chciałem się oszukać, Steve? A mimo to uratowałeś mi życie?

— Nie mówmy o tym — powiedział spokojnie Train.

— Więc powiedz mi tylko jedno: czemu znosiłeś moje towarzystwo, wiedząc o tym, że jestem twoim wrogiem.

— Nigdy nie wiadomo, kto jest naszym wrogiem, a kto przyjacielem.

Wypowiedziawszy to dziwaczne zdanie, Train uciął dalszą rozmowę. Chuck był zdumiony. Mimo że spędził całe życie wśród twardych, otrzaskanych z niebezpieczeństwem ludzi, nie zdarzyło mu się jednak spotkać człowieka z takim spokojem przyjmującego różne niebezpieczeństwa, jak to czynił Train.

Chuck odwrócił się na siodle do Traina.

— Train, zwyciężył mnie pan — powiedział cicho. — Nie

wiem teraz, co z sobą zrobić. Nie wiem, czemu wciąż razem jedziemy.

— A cóż pan sądzi że zapłaciwszy tak drogo za poznanie pańskich zamiarów, teraz go zostawię? — A po chwili dodał otwarcie: — Pan jest człowiekiem Naira?

Chuck Logan udał zdumienie:

— Skąd panu to przychodzi na myśl?

— Broń pańska jest pięknie wyczyszczona, po prostu wypieszczona.

— Czyż mało jest takiej broni w Morristonie i okolicy?

— Pokaż swoją dłoń, Chuck.

Logan wyciągnął ku niemu prawe rękę. — Zawód bandyty w górach, to ciężka praca, Chuck — powiedział Train. — Trzeba dobrze się napracować wśród skał, by wypatrzyć grożące bandzie niebezpieczeństwo. Na pańskiej ręce jest dużo twardych odcisków Chuck.

— Zobaczył pan je?

— Tak, nietrudno je zobaczyć. Pańska ręka mówi o pańskim zawodzie, a i w oczach da się to wyczytać.

Bandyta westchnął.

— Jestem stary i głupi — powiedział. — Przejrzał mnie pan na wskroś, Train. Jak przechodzień widzi na wskroś dom, w którym przy otwartych drzwiach palą się światła. Train, pan jest dla mnie za bystry. Jaki jest pański cel?

— Moim celem jest Nair.

— Na Boga, to za nim się pan ugania?

— Muszę go zobaczyć, Chuck.

Chuck Logan uderzył się dłonią w czoło. Potem wybuchnął serdecznym śmiechem.

— A my głupcy... a my tu wszyscy... — zaczął, ale urwał w pół słowa, zorientowawszy się, że byłoby teraz niewłaściwe zdradzać intencje naczelnika bez jego pozwolenia.

— Zrobimy tak — powiedział Chuck po chwili namysłu — zostanie pan tu, poczeka na mnie jakieś trzy godziny. Ja pojadę w jedno miejsce i najpóźniej za trzy godziny będę z powrotem. Poczeka pan tutaj?

— Po co pan chce jechać?

— Chcę dla pana coś załatwić.

— Sprawę z Nairem?

— Nie wymieniam nazwisk.

Train ziewnął.

— Zrobię sobie tu posłanie z gałęzi sosnowych — powiedział — i prześpię się zanim wrócisz, Chuck. Źle spałem ostatniej nocy: miałem przykre sny.

I pokiwał dłonią Chuckowi.

ROZDZIAŁ XX

Gra we dwoje

Na otwartej polance, dostępnej ze wszystkich stron, stał niewielki domek, którego belki szerniały były od deszczów i słońca. Góry rozstępowały się w tym miejscu, tworząc szeroką dolinę porośniętą wysoką, soczystą trawą. Pasło się tu kilkanaście koni w cieniu wielkich skał, okalających łąkę.

Z komina domu wydobywał się dym, leniwie wzbijając się w niebo. Wokół panowała uroczysta cisza.

Przed domem kręciło się kilku mężczyzn, każdy zajęty czym innym. Jeden z nich przyszywał guziki do starej flanelowej koszuli, drugi ostrzył brzytwę o duży otwarty nóż, trzeci wiązał rzemienie końskiej uprzęży. Jedyne kilku nic nie robiło i wałęsało się to tu, to tam, rozmawiając.

— Więc powiadam Chuckowi — kończył jeden z nich swe opowiadanie — powiadam mu: mogę przetoczyć tę puszkę od konserw z drogi aż do bramy, bez dotykania ręką, nogą czy też kijem. A Chuck na to, że to niemożliwe. Zakładam się — mówię do Chucka. Dobrze, o dziesięć dolarów — zgodził się Chuck. Zobaczysz, to uwierzysz — i przyjąłem zakład.

Starą puszkę po pomidorach postawiłem na żwirze. Potem wziąłem strzelbę i zacząłem strzelać za puszką. Za każdym strzałem wywalałem dziurę w żwirze i kamyczki same popychały naprzód moją puszkę tak, że aż skakała do góry. Daję ci słowo, że nie wystrzeliłem więcej niż osiem razy, a puszka znalazła się przy bramie. Stary Chuck wypłacił mi moje dziesięć blatów. Wziąłem te pieniądze, jadę do miasta, idę do mojego fryzjera i powiadam mu...

Ten, który słuchał tego opowiadania, przerwał:

— Od tamtego czasu musiałeś trochę oduczyć się strzelania, Nick.

— Może nie wierzysz, że to wszystko prawda? Jak ci mam dowieść, Tod?

Tod Witt, wysoki i melancholijnie wyglądający drab, ziewnął.

— Może to i prawda — powiedział. — Ale jestem, że tak

powiem, urodzony ze strzelbą... No, ale niech tak będzie.
— Więc co powiedziałaś twemu golarzowi?

Ale Nick Hunter był uparciuchem i trzymał się kurczowo swoich wspomnień, mniejsza o to, czy prawdziwych czy zmyślonych. Nie mógł zapomnieć powątpiewania tamtego.

— Puszka należała do niejakiego Parkera. Pamiętam to nazwisko. Pamiętam niebieską etykietkę nalepioną na puszcę. Ledwie się trzymała, gdy puszka przywędrowała do bramy.

Komunikował te szczegóły z przekonaniem, sugestywnie.

— Pamiętam doskonale białego kruka, którego raz widziałem — ciągnął po chwili Nick tymże tonem — miał czerwony dziób, jedna nóżka była niebieska, druga zielona. Widziałem, jak wydłubywał sobie piórko po piórku ze skrzydeł. Robił to wszystko w blasku księżyca, bo była noc. Pamiętam także, że był to dzień mojej ucieczki z domu, obraziłem się na mamę, że dała Billowi dwa kawałki placka, a mnie tylko jeden.

Głośny wybuch śmiechu odpowiedział mu na te słowa. Mężczyźni pracujący przed domem śmiali się głośno, patrząc wyczekująco, co na to odpowie Tod Witt. Ale Tod nie miał najwidoczniej poczucia humoru, bo nawet się nie uśmiechnął, tylko patrzył uroczyście i poważnie na Nicka.

— Czy chciałaś mnie nabrać? — spytał wreszcie lodowatym tonem.

— Ja? Skądże! — zdziwił się Nick. — Chcę ci opowiedzieć

tylko o dziwnych zdarzeniach mego życia. Opowiem ci coś jeszcze dziwniejszego. Raz spojrzalem na księżyc przez lewe ramię i co powiesz? W dwa miesiące później koń mi okulał na skalnej ścieżce, i to w Wielki Piątek. Pamiętam doskonale, bo na drugi dzień była sobota.

Śmiechy wybuchnęły jeszcze głośniejszy. Nick pobladł i zaciął zęby. Najwidoczniej namyślał się, czy jest to dość wielka obraza, by natychmiast zareagować.

Wreszcie powiedział:

— Leżą tam dwie niewielkie puszkki; widzisz je, prawda? Grunt tu jest twardy, więc doskonały i równy. Zakładam się o dwadzieścia dolarów, że nie potrafisz prędzej potoczyć tych puszek niż ja.

— Wiesz co? — powiedział Tod. — To może zajmujące, ale mało poważne. Kiedy dojdiesz do mojego wieku, mój synu, zobaczysz, że nie oplaca się trudzić dla marnej zapłaty.

— Więc dam pięćdziesiąt dolarów — zachęcił Nick.

— No, no, no — dziwił się łagodnie Tod. — Kto ci daje tyle pieniędzy, mój chłopcze?

Zebrani roześmiali się na nowo, a Nick skoczył na równe nogi.

— Sto dolarów — powiedział nieco zachrypłym głosem. — Zakładam się o sto dolarów, że tego dokonam. — Mogę nawet zaryzykować dwieście i pięćset, i tysiąc. Oto gotówka.

Wyjął sakiewkę z pieniędzmi i wysypał jej zawartość na ziemię.

— Tu jest ponad tysiąc pięćset dolarów — powiedział

rozogniony. — A teraz zgódź się albo wynoś się stąd, Tod.

Wysoki, szczupły mężczyzna wyciągnął ramiona i rozprostował mięśnie.

— Nigdy nie lubiłem głupiej zabawy w zakłady — powiedział powoli. — Ale gdy ktoś przychodzi i pcha mi gwałtem w kieszeń pieniądze, zgadzam się, jestem grzeczny. Prawdę mówiąc, synku, lubię, gdy mnie kuszą i lubię ulegać.

Wstał z miejsca i podszedł do leżących pieniędzy.

— Gotów jestem i ja zaryzykować zawartość mojego portfela — powiedział. — Mam niecałe dwa tysiące przy sobie, ale to chyba wystarczy.

Wyjął dobrze wypchany portfel i wręczył go koledze, który również zaopiekował się pieniędzmi Nicka.

Założono się więc o tysiąc pięćset dolarów. Jedna puszką była znacznie mniejsza, zatem będzie się toczyła łatwiej. Ciągnęli losy, która puszką komu przypadnie w udziale. Todowi dostała się większa po pomidorach. Druga puszką zawierała niegdyś schab z groszkiem.

Obie ustawiono obok siebie na piasku. Zawodnicy umieścili się za puszkami. Każdy z nich nabił strzelbę, a obok położył drugą, na wypadek, gdyby zabrakło nabo-
jów.

— Panowie — powiedział wybrany przez nich sędzia — bądźcie w pogotowiu, kiedy zamacham na znak kapeluszem. No do roboty, chłopcy. Hooop!...

Dziki okrzyk, jaki przy tym wydał, mógłby przestraszyć cały oddział strzelców, sędzia zamachał kapeluszem i jednocześnie huknęły dwa strzały. Obaj byli znakomitymi

strzelcami; obie kule uderzyły o piasek tuż za puszkami i wprawiły je w ruch, tak że potoczyły się naprzód.

Ale Tod najwidoczniej zwyciężał. Jego większa puшка nabrała rozpędu, może dlatego, że wystrzał jego był gwałtowniejszy. Zwycięstwo to było jednak tylko pozorne. Puшка tocząc się szybciej, natrafiła na grunt nierówny i zaryła się w pewnej chwili w piasek. Tod wydał okrzyk wściekłości. Wystrzelił dwukrotnie. Puшка po schabie toczyła się teraz szybko i wyprzedziła znacznie pomidorową. W tej chwili Todowi udało się następnym strzałem wyrwać puszkę z pułapki. Dogoniła puszkę Nicka i wyprzedziła ją o kilka cali. Czterej sędziowie zmierzili dokładnie odległość i ogłosili wyniki.

— Proszę wypłacić mi tysiąc pięćset dolarów z jego portfela — powiedział Tod do sędziego. — Dam mu przynajmniej nauczkę.

To mówiąc, rzucił zwycięską puszkę w trawę, a sędzia otworzył portfel.

— Chwileczkę, panowie — powiedział Nick i pochyliwszy się, podniósł puszkę pomidorową. Podniósł ją do światła i pokazał małą rysę na boku, najwidoczniej pochodzącą od kuli.

— To mi wygląda tak, jak gdybyś strzelił w swoją puszkę, by się prędzej toczyła — powiedział. — A tego nie wolno było robić.

Czterej sędziowie naradzili się szybko i doszli do wniosku, że Tod istotnie musiał wybić tę dziurę w puszcze swym ostatnim strzałem. Tod jednak był innego zdania.

— Kto mi dowiedzie, że ta oto puszką jest tą samą, którą przed chwilą rzuciłem w trawę? — spytał.

Pytanie to było przyjęte z taką niechęcią, że Tod zaczął się wycofywać i zmienił taktykę:

— Który z was, panowie, oglądał tę puszkę przed zawodami? Który mógłby przysiąc, że nie posiadała przedtem tej dziurki?

— Więc się chcesz koniecznie wykręcić, Tod? — spytał Nick.

— Co to znaczy? — krzyknął Tod. — Ja mam się wykręcać przed takim karłem...

— Ach ty! — krzyknął Nick.

Ręce ich oparły się o strzelby, ciała były napięte jak łuki. Czterej sędziowie zaczęli się cofać. Żadnemu z nich nie śniło się uspokajać tych dwóch. Przeciwnie, ze spokojnymi uśmiechami na ustach przyglądali się, niczym tłum rzymskim gladiatorom, dwóm gotującym się do walki. Gdyby był czas, ci spokojni widzowie zaczęliby stawiać na zawodników wysokie stawki.

Ale w tejże chwili w drzwiach domu ukazał się wysoki barczysty, może czterdziestoletni mężczyzna. Spojrzenie jego oczu było władcze i ponure.

— Cóż to za szaleństwo? — spytał.

Dwaj przeciwnicy zatrzymali się, jakby zostali wkopani w ziemię. Dłonie zsunęły się ze strzelb. Podszedłszy do niego, opowiedzieli, jeden przez drugiego, co tu zaszło.

— Tod — powiedział tamten — nie masz racji. Zapłacisz Nickowi dziesięć dolarów. Więcej nie warta jest ta idiotyczna gra z puszkami. Potem podacie sobie ręce i przeprosicie się natychmiast. Inaczej możecie siadać na

konie i jechać, gdzie oczy poniosą. Nie trzeba mi morderców w obozie.

Powoli podali sobie dłonie. Spojrzenie Nicka złagodniało.

— Tod — powiedział — przepraszam cię za to, że cię bujałem. Nie chcę tych dziesięciu dolarów. Twoja przyjaźń jest dla mnie cenniejsza niż pieniądze.

— Nick — odparł tamten, oddychając ciężko ze wzruszenia — i ja głupia postąpiłem. Może to będę mógł kiedyś naprawić.

W dwie minuty później siedzieli obok siebie i czyszcząc broń, gawędzili jak bracia.

Nagle za górami rozległ się gwizd. Powtórzył się dwukrotnie tak głośno, że wszyscy mężczyźni zerwali się na równe nogi.

ROZDZIAŁ XXI

Dar bandyty

— Ktoś nas woła — powiedział Nick. — Lepiej się rozejdźmy, zanim nas tu zobaczy. Jeżeli przychodzi, by pogadać, niech gada z Nairem. Każdy człowiek, który zobaczy nas wszystkich razem, może być tym, który nas kiedyś razem powiesi.

Bandyci uznali rozsądek tych słów i w sekundę rozproszyli się między pniami sosen, otaczających polanę.

Na polanie nie było więc nikogo, gdy pojawił się jeździec na czarnym koniu. Mężczyzna rozglądał się wokoło szybko, ale nieśmiało. Zobaczywszy dom, zawahał się

chwile, potem zeskoczył z konia i ruszył ku domowi, prowadząc swego czarnego rumaka za sobą. Przed drzwiami zawahał się raz jeszcze, jak gdyby czegoś się obawiał, potem wyciągnął rękę, zapukał i znowu się cofnął z lękiem.

Mógł mieć około lat pięćdziesięciu, był zgarbiony i wyniszczony ciężką pracą. Na twarzy jego prócz lęku malowała się ciężka troska. Patrzył wyczekująco na zamknięte drzwi.

— Kto tam? — krzyknął z wnętrza donośny głos.

— Joe More — odparł przybyły niepewnie.

Ciężkie kroki zbliżyły się do drzwi. Na progu stanął mężczyzna o władczym i ponurym spojrzeniu.

— Panie Nair — zaczął More — pozwoliłem sobie przyjść aż tu do pana... ośmieliłem się...

— Istotnie to wielka śmiałość — powiedział Nair nieuprzejmie. — Wystarczy, by się pan tak kręcił jeszcze trochę, a sprowadzi mi pan na kark szeryfów. Niech pan mnie posłucha, panie More. Miał pan tu u mnie syna, ale syn pański odpowiadał sam za swoje czyny. Jeżeli zginął, zginął we własnej służbie, a nie w mojej. Gdyby ten smarkacz słuchał mnie we wszystkim, żyłby dotychczas. Ale był dość młody, by sądzić, że jest mądrzejszy od starych.

— Biedny Tom — powiedział przybyły. — Ale nie oskarżam pana o jego śmierć, panie Nair. Był zawsze dzikusiem. Od chwili gdy się urodził, mieliśmy przez niego same troski.

— Skoro pan tu już jest — powiedział Nair szorstko — niech pan wejdzie.

Poszedł przodem, a More za nim. Znalazł się w większej z dwu izb, z których składał się ten domek. Izba była nędzna i zawalona gratami. Leżały tam siodła, uprząże wisiały na ścianach. W sąsiednim pokoju były krzesła i stół. Tu siedział widocznie Nair, w chwili gdy More zapukał do drzwi.

Ściany tego mniejszego pokoju zawieszono bardzo szczególnymi ozdobami. Były to plakaty rozmaitych rozmiarów i kolorów, ale treść ich była mniej więcej jednakowa... Jeden z nich obwieszczał wielkimi literami i z wieloma wykrzyknikami, że stan Nevada wypłaci dziesięć tysięcy dolarów gotówką temu, kto ujmie lub jakkolwiek przyczyni się do ujęcia mordercy, bandyty i złodzieja Jima Naira. Stan Nevada zmienił zaraz potem zdanie: dziesięć tysięcy dolarów wydało się władzom zapewne zbyt małą sumą. Zapłata za ujęcie złoczyńcy została podniesiona na skutek składki bogatych farmerów, bankierów i poszukiwaczy złota do piętnastu tysięcy dolarów. Ale to było jeszcze nie wszystko. Stan Montana ofiarował dodatkowo pięć tysięcy dolarów za ujęcie bandyty, a Montana była najmniej hojnym stanem. Stan Utah ogłosił, że za ciało martwego Naira wypłaci ze swego skarbcza osiem tysięcy dolarów. Wszystkie stany zachodu domagały się wielkim głosem schwytania i stracenia groźnego opryszka, zagrażającego życiu i mieniu mieszkańców.

A mimo to Nair żył, choć More wiedział dobrze, że owe plakaty wiszą we wszystkich miastach zachodu już co najmniej od sześciu lat. Jim Nair stawał się z roku na rok coraz bardziej niedostępny i niewyciężony. Rosła

jego legenda i nawet liczni agenci, rozesłani przez władze, nie mogli nic tu poradzić.

— Więc — rzekł Nair — o co chodzi? Po co pan tu przyjechał?

— Chodzi o Peta, o mojego syna Peta.

— Co mu się stało?

More milcząc wskazał na drzwi do drugiego pokoju, Nair wstał i zamknął je starannie.

— No więc? — spytał, odwracając się tyłem do gościa.

— Znowu chodzi o Hala Griffitha — powiedział More.

— Nie wystarczyło mu to, co zrobił z moim Tomem. Kiedy Tom umarł, Hal zabrał się do Peta. Z początku Pet nie chciał go wcale widzieć. Wszyscy wiedzą, że Pet jest uczciwy. Potem dostał posadę w banku w Creighton. I wtedy...

Urwał, bo zobaczył zdziwione spojrzenie Naira.

— Nie wiedział pan o jego posadzie? — spytał More.

— Nie.

— Tak, Pet pracuje w banku. Bardzo sumiennie. Jest pomocnikiem kasjera, mają do niego zaufanie. Pet jest uczciwy i ma wyższe wykształcenie, to coś znaczy. Ale w zeszłym roku ożenił się, tej wiosny mieli dziecko, żona chorowała, musiał wzywać lekarzy, rachunki były wielkie i wszystko zaczęło się psuć. Wtedy zjawił się znowu Hal Griffith i, panie Nair, po to właśnie do pana przyjechałem. Pan wie, że Griffith jest pańskim człowiekiem, prawda?

— Kto panu to powiedział?

— Wiem. Wiem o wiele więcej niż pan sądzi.

— To niech pan doniesie policji.

— Nie ma o tym mowy. Ale przybyłem tu, by pana prosić: niech Griffith zostawi mego syna w spokoju.

— Czego chce od pańskiego syna?

— Pet ma długi. Wiem, że samym lekarzom winien jest trzysta dolarów. To go dręczy, to go zabija. Nie może sypiać po nocach. Griffith wykorzystuje to i namawia go do złego. Spotykają się ostatnio często. Zdaje się, że Pet jeszcze się opiera, ale lada dzień może ulec. Może się stać oszustem, złodziejem. Panie Nair, pan już dość krzywd wyrządził mojej rodzinie. Niech pan zostawi mi tego chłopca, niechże on pozostanie uczciwy. Pan może rozkażać Griffithowi.

Złożył w błagalnej prośbie swe ogorzałe w słońcu dłonie i patrzył w ponure oczy Naira.

— Trzysta dolarów? — spytał bandyta. — Czemuż to pan ich nie da synowi?

— Myślałem o tym. Ale moja stara farma jest tak zadłużona, że nie dostanę już na nią ani cen ta. Ani centa. Próbowałem w trzech bankach. Odmówiono.

Nastała chwila ciszy. Potem Nair wyjął portfel z kieszeni i odliczył sześć pięćdziesięciodolarowych banknotów.

— Niech pan to weźmie — powiedział, wręczając pieniądze Morowi. — Niech pan pospłaca za Peta doktorów i ulży jego sumieniu. Jeżeli ten chłopak chce doprawdy pozostać uczciwy, ja mu w tym nie przeszkodzę. Ani żaden Griffith.

Stary farmer wziął pieniądze z takim wyrazem twarzy, jak gdyby ujrzał cud w jasny dzień. Wsunął je do swego wyniszczzonego portfela i patrzył na Naira okrągłymi oczyma.

— Panie Nair — jękał — panie Nair, nie wiem sam, jak mam wyrazić...

— Niech pan nic nie wyraża. Niech pan bierze pieniądze i wraca do Creighton.

— Jeżeli Pet się dowie, że...

— Niech pan o tym nie myśli. I niech pan pamięta, panie More, ja zatrudniam tylko nieuczciwych młodzieńców, ja ich sprowadzam z drogi uczciwości. Nigdy. Do widzenia, More.

Farmer wyszedł. W drzwiach jeszcze raz przystanął. Dobry uczynek Naira podniósł go w oczach starego bardziej niż tysiące jego awanturniczych czynów. Wyjąkał jeszcze kilka podziękowań i po chwili wsiadł już na swego czarnego konia. Popędził jak mógł najszybciej polaną do wylotu doliny i zniknął na górskiej ścieżce.

Bandyci ze swych kryjówek obserwowali ten odjazd i tłumnie zebrali się teraz przed domem. Któryś z nich zaproponował, by pójść do Naira i spytać o gościa, ale Nick Hunter zaprotestował stanowczo.

— Nie radzę go o nic pytać — powiedział. — Naczelnik nie lubi pytań, a poza tym ma teraz głowę zaprzątniętą tym Rainierem.

Nair powrócił właśnie do Rainiera. Usiadł w małej izbie przy stole, na którym leżały karty, stała butelka wódki i dwie szklanki. Naprzeciw niego zasiadł Rainier z cygarem w ustach. Palił tak szybko, że nie zdążył strzepywać popiołu z końca cygara.

— Podśluchiwałeś, Rainier — powiedział Nair bez gniewu.

Rainier już chciał zaprzeczyć, gdy nagle pokiwał twierdząco głową.

— Nie mogę nic na to poradzić, wszystko słyhać przez te cienkie ściany.

W odpowiedzi na to Nair wskazał mu miejsce tuż pod drzwiami usiane na podłodze popiołem z cygara. Rainier nic nie odpowiedział na ten argument; ot, wydało się, że stał cały czas pod drzwiami.

— Nie umiem się bronić. Nie jestem adwokatem, Nair — wyszeptał tylko.

Nair zmarszczył brwi, ale nic nie odpowiedział, tylko szybko zaczął tasować karty. Ta partia kart była chyba najdłuższą, jaką rozegrał Rainier. Trwała całą noc. Nair grywał co prawda rzadko w karty, ale jak to robił, to z całym sercem. Przedtem, zanim zasiadł do stołu karcianego, miał parę tysięcy dolarów i pragnął je ocalić. Nie chodziło mu tak bardzo o przegrane pieniądze, ale nie mógł znieść, by zwyciężył go mniej od niego inteligentny człowiek.

Uważał Rainiera za łotra i głupca i czekał aż szczęście się od niego odwróci. Rainier zaś marzył o tym, by jak najszybciej zakończyć tę grę, wiedział, że igra ze śmiercią... Jeden nieuważny ruch, a odkryte zostaną jego oszustwa i wtedy strzelba dokona dzieła natychmiast.

Mimo to nie przestawał oszukiwać. Złota rzeka płynęła mu sama do kieszeni. Wygrał już ponad trzy tysiące dolarów i wciąż wygrywał więcej. Podczas całej gry wahał się pomiędzy swoją chciwością a lękiem przed Nairem.

Chcąc pokryć swój lęk, zaczął mówić o sprawie More'a.

— Czy doprawdy, Nair — spytał — nigdy nie pracuje pan z ludźmi uczciwymi?

Uśmiech ukazał się na wargach Naira.

— A czy znał pan kiedykolwiek człowieka, który w głębi duszy nie byłby oszustem? — spytał.

Nagle Rainier zrozumiał, na czym polega natura Naira. Po prostu odważa się on wyznać szczerze to, co inni ludzie kryją jak najstaranniej, nawet przed samym sobą. Partia kart była na ukończeniu, kiedy w drzwiach pokoju ukazał się nowy gość.

Był to Tom Courtney, ale dziwnie zmieniony. Twarz miał śmiertelnie bladą, policzki zapadnięte, oczy w czerwonych obwódkach, zdawał się być wyczerpany. Nie mógł odpowiedzieć na pełne przerażenia pytanie Naira, tylko upadł bezsilnie na skrzynkę, służącą tu za krzesło. Nair polecił Rainierowi wyjść.

ROZDZIAŁ XXII

Oświadczyzny

Wzruszenie Naira na widok mizernej twarzy Courtneya mogłoby się komuś wydawać dziwne. Faktem jest, że Nair zbladł tak jak jego gość.

— Tom, co się stało? Coś złego? Czy Alicja...

— Nie, nie Alicja, choć to ona jest moją troską — powiedział Courtney z trudem. — To chodzi o mnie, ale kiedy ja umrę, co się z nią stanie?

— Niczego jej nie zabraknie, przysięgam ci, Tom. Ale mów, co się stało?

— To moje serce — powiedział Courtney. — Jechałem drogą i nagle atak złapał mnie na siodle. Leżałem dwie godziny nieprzytomny.

Z ust Naira wydarł się okrzyk zgrozy.

— Jaka jest przyczyna tego ataku? — spytał.

— To zbyt długa historia, nie będę ciebie zanudzał. Wiem już od lat, że jestem chory. Wszystkiemu winien mój szatański temperament, Jim. Ta awantura w Morristonie znowu mnie poderwała. Byłbym rozbił kilka głów wczoraj, ale poczułem, że mnie chwyta ból. Dlatego wolałem uciec z miasta. A dziś przyszedł atak.

Nair patrzył ze zdumieniem na starego. Aż dziw brał, że tak potężna postać może być tak słaba. Nawet chory Courtney wyglądał wspaniale, a bary miał szersze niż sam Nair.

— Od jak dawna wiesz, że z tobą tak źle? — spytał Nair.

— Od czterech lat.

— I nic mi nie mówiłeś?

— Po co było o tym mówić?

— Jeżeli trzeba ci było spokojnego życia, bez ciężkiej pracy, mogłem ci je stworzyć. Wiesz przecież, że to dla mnie drobiazg, Tom.

— Ale dla mnie to nie drobnostka, Jim. Nie zniósłbym jałmużny. Nawet gdybym wiedział, że zaraz mam umrzeć.

— To głupstwo, Tom. Dożyjesz osiemdziesięciu lat. Pogrzebiesz nas wszystkich.

Ale Courtney przecząco pokręcił głową.

— Umrę już wkrótce, przyjacielu. Wiem o tym doskonale

i nie boję się śmierci. Ale muszę myśleć o niej, o Alicji. Co się z nią stanie? Co mam z nią zrobić?

Nair zaczerwienił się.

— Czy mam ci dać radę? — spytał.

— Wiem, chcesz jej ofiarować swoją pomoc.

— Będę się o nią troszczył jak o rodzoną siostrę.

— Albo jak o córkę. Co, Jim? Myślę, że różnica wieku między wami jest za wielka jak na rodzeństwo.

Rumieniec na twarzy Naira pociemniał.

— To nie o to chodzi, Nair — ciągnął Courtney — ale o to, że nie mogę pozwolić, by moja córka żyła z jałmużny, z litości. Nie, nie pozwolę na to.

Głos jego był stanowczy i jasny.

Nair zdawał się być zmieszany. Przemierzał pokój tam i z powrotem, napychał fajkę tytoniem, zapalał zapalną, gasił ją, nie zapaliwszy fajki. Wreszcie odłożył ją i zwrócił się do Courtneya.

— Gdzie jest Alicja? — spytał.

— Przed domem. Rozmawia z chłopcami.

— Chcę z nią pomówić. Sam. Czy wpuścisz ją tu na pięć minut?

— O czym chcesz z nią mówić, Jim?

— Nie mogę ci tego powiedzieć. A zresztą powiem, czemu nie? Chcę ją prosić, by została ze mną nie jako siostra ani jako córka, tylko jako moja żona.

Courtney zerwał się z miejsca.

— Co?!

Ale Nair mu przerwał:

— Powiem ci wszystko, co ty chcesz teraz powiedzieć. Jestem od niej o dwadzieścia lat starszy. Jestem wyjętym

spod prawa bandytą. Nie jestem jej wart. Ale pozwól, że odpowiem zaraz na te zarzuty. Tak, jestem starszy o dwadzieścia lat, więc będę jej wierny do końca życia; widziałem już wiele kobiet w moim życiu, ale chcę, by Alicja była jedyną już do końca.

Mam czterdzieści jeden lat, a ona dwadzieścia. To brzmi groźnie. Ale pomyśl, będę miał sześćdziesiąt, gdy ona będzie czterdziestolatką, będę miał siedemdziesiąt, a ona pięćdziesiąt. Wtedy różnica się nieco zatrze. Jest taka wielka jedynie na początku. Wydadź ją za mąż za jej równolatką, a kiedy będą mieli po czterdzieści, on pogoni za młodszą i ją porzuci. Rozejrzyj się po twoich znajomych małżeństwach. Najczęściej tak się właśnie dzieje.

A teraz następny punkt. Jestem przestępcą, przyznaję. Ale mam w majątku ćwierć miliona dolarów, Tom. Mogę ci pokazać te pieniądze, kiedy zechcesz, dziś, jutro. Jakież usługi oddadzą nam te pieniądze, gdy będziemy razem uciekali przez góry! Powiem ci tylko tyle, Tom, że jeżeli jest nadzieja, by Alicja wyszła za mnie za mąż, to zgadzam się na ucieczkę do Australii, Nowej Zelandii, nawet do Południowej Afryki. Mam sposoby wydostania się wraz z moją gotówką bezpiecznie za granicę. W Meksyku czuję się jak u siebie w domu. Mogę się zaokrętować z jakiegokolwiek portu meksykańskiego pod cudzym nazwiskiem. Mogę także pójść dalej na południe do Peru. Może Alicja będzie wolała tamte górskie okolice. Jest na świecie tyle miejsc, Tom, gdzie moglibyśmy mieszkać i żyć bardzo wygodnie za moje pieniądze.

Na twarzy Courtneya malowały się setki uczuć. Najpierw

była to obrażona duma, potem lęk, podziw, wreszcie ironia.

— Czemu to wcześniej nie spożytkowałeś w ten sposób twojego majątku? — spytał spokojnie.

— Dla dwu przyczyn — odparł Nair. — Przede wszystkim nie mogłem rozstawać się z tobą i Alicją. Po wtóre nie byłem w stanie porzucić mego życia pełnego niebezpieczeństw. Zbyt się z nim zrosłem.

— A teraz chcesz je porzucić, Jim, by ożenić się z moją małą?

Pytanie Courtneya brzmiało ostro.

— Porzuciłbym dla niej królestwo, Tom.

Courtney pokręcił głową.

— Zaskoczyłeś mnie, Jim — powiedział. — Jestem twoim przyjacielem, ale mimo wszystko jesteś...

— Przestępcą.

— Tak, jesteś — powiedział poważnie Courtney. — Nie kradniesz sakiewek, ale rabujesz ludziom życie.

— W dawnych czasach, Tom, gdy ludzie chodzili z bronią, pozbawienie kogoś życia w równej walce uważało się za honor, a nie hańbę.

— Ale te czasy minęły. Teraz już nie żyjemy w średniowieczu. A zresztą, Jim, jakąż tu może być równa walka między tobą a zwykłym człowiekiem? Jest wobec ciebie od razu zgubiony, jest wobec ciebie dzieckiem.

— Chcesz koniecznie spojrzeć na te sprawy tak, by mnie potępić — powiedział Nair ze smutkiem.

— Chcę tak na nie patrzeć, byś ty nie zdołał mnie zaślepić. Kiedy przybyłeś tu, byłeś tylko awanturnikiem,

pełnym niepokoju. Teraz jest gorzej, jesteś burzycielem porządku. Wiesz o tym tak dobrze jak ja. Chcesz poślubić Alicję? Ależ na miłość boską, czyś pomyślał o niej? Dziewczyna patrzy na ciebie jak na drugiego ojca. Będzie przerażona.

Jeszcze nie przebrzmiał pełen rozpaczy głos ojca, kiedy przez zamknięte drzwi wpadł srebrny uśmiech dziewczyny i napełnił cały pokój rozkoszną muzyką.

Nair westchnął i powtórzył swoje:

— Pozwól mi rozmówić się sam na sam z Alicją. Potem zakomunikuję ci odpowiedź.

— Nie mogę cię samego z nią zostawić. Jesteś zbyt przekonywający.

— Tylko na pięć minut, Tom. Tego mi nie możesz odmówić. Na Boga, Tom, czy sądzisz, że jestem czarodziejem i mogę ją zakląć?

Na te słowa Tom Courtney powoli podniósł się z miejsca i wyszedł przed dom. Zastał córkę przymierzającą się do skoku na grzbiet nieujarzmionego mustanga. Wskoczyła na siodło jak woltyżerka cyrkowa.

Między nią a koniem wywiązała się dzika walka. Przez trzydzieści sekund dziki mustang wyrzucał kopyta w powietrze, tańczył jak szalony i usiłował zrzucić z grzbietu dziewczynę. Ale po upływie pół minuty Alicja siedziała już pewnie na koniu, prawą ręką trzymając już lejce. Włosy miała rozwiane, policzki zarumienione. Nagle mustang puścił się szalonym galopem przed siebie. Zebrani na polanie ludzie Naira śmiechem i krzykami zachęcali dziewczynę do wytrwania, ale los się na nią uwziął. Mimo

wysiłek, nie mogła się utrzymać na siodle i zakręciwszy w powietrzu łuk swym ciałem, spadła z konia. Byłaby się z pewnością rozbiła, gdyby koło konia nie wyrósł Nick Hunter, który schwycił ją lecącą w ramiona i wraz z nią przewrócił się na ziemię, osłabiając siłę upadku.

Zebrani bynajmniej nie żalowali ślicznej dziewczyny i bynajmniej się o nią nie troszczyli. Ze śmiechem i kpinami oświadczyli jej tylko, że przegrała zakład.

Alicja nie miała im tego za złe. Purpurowa z wysiłku, z rozwianym włosom, śmiała się wraz z nimi. Wyjęła z kieszeni garść pięćdziesięciocentówek i rozdawała je tym, z którymi się pozakładała. Tod ucałował monetę otrzymaną od dziewczyny, wsunął ją do kieszonki i oświadczył, że nigdy się z nią nie rozstanie, będzie mu przynosiła szczęście.

— A mnie się należy podwójna zapłata: przegrałaś ze mną zakład i pomogłem ci przy spadaniu z konia, Al — powiedział Nick Hunter.

— Oczywiście — zgodziła się Alicja.

Wręczyła mu najpierw monetę pięćdziesięciocentową, a następnie podniosła z ziemi garść piasku i cisnęła mu w twarz.

Rozległ się ryk zadowolenia. Nick bowiem był tym, którego lubili, ale którego się bali. Przyjemnie było patrzeć, jak wyciera sobie oczy z piasku, jak otrzepuje piach z włosów i z koszuli. Gdy tego dokonał, rzucił się ku Alicji. Pomknęła przed siebie ze zwinnością sarny. Ściągał ją

Nick Hunter. Po drodze ułamał gałąź z drzewa i biegnąc za dziewczyną, powtarzał, że nauczy ją raz na zawsze rozumu. Żadna dziewczyna w sukni nie umknęłaby Nickowi, ale Alicja miała na sobie wysokie, lekkie buty i skórzane spodnie. Chłopięce ubranie leżało na niej znakomicie.

Unikała zręcznie wyciągających się ku niej ramion Nicka. Kryła się za drzewami, kręciła w koło, myliła jego ślady. Wreszcie gdy zwinnie wdrapała się na drzewo, dał za wygraną. Ciężko dysząc, oparł się o pień drzewa i powtarzał, że Bóg stworzył kobiety, by pokarać mężczyzn za ich grzechy. Obserwujący to jego towarzysze, śmiali się serdecznie.

Nagle poprzez te głosy przebił się okrzyk Courtney:

— Alicjo, chodź tutaj!

Ojciec nie mógł jej widzieć, gdyż siedziała na drzewie wśród gałęzi, ale na jego głos spuściła się nieco niżej i zawisała na rękach. Potem zeskoczyła szybko i podbiegła do ojca.

— Wejź do domu. Nair chce z tobą mówić — rozkazał.

— Czyś się z nim posprzeczał, ojczy? — spytała, widząc, zmianę w wyrazie twarzy Toma.

— Nie ma mowy o żadnej sprzeczce — mruknął Tom Courtney. — Powiadam tylko, że Jim Nair chce z tobą mówić. Spiesz się, a potem tu wracaj.

Spojrzała jeszcze raz na niego niespokojnie, niepewna, czy jednak rozstał się w zgodzie z Nairem, ale po chwili jej twarz przybrała pogodny wyraz.

ROZDZIAŁ XXIII

Próba Traina

Zastała Naira stojącego na środku pokoju z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Alicja nigdy dotychczas nie zwróciła uwagi na jego piękne, wysokie czoło i przenikliwe spojrzenie ciemnych oczu.

Na jej widok zrobił krok ku niej i usiłował nadać twarzy łagodniejszy wyraz, ale brwi miał wciąż boleśnie ściągnięte i spojrzenie ponure.

— Ojciec mówił, że chcesz ze mną porozmawiać — rzekła, a potem szybko dłonią poprawiła rozwichrzzone włosy.

— Chciałem pomówić z tobą o sprawach, które ojciec przed tobą ukrywa — odparł. — Przede wszystkim muszę ci powiedzieć, że twój ojciec jest ciężko chory.

— Skąd to wiesz?

— Wystarczy spojrzeć na niego.

— Tak. Był bardzo blady. Czy mówił ci, co mu jest? Mnie nie chce nic powiedzieć, Jim.

— Nie chce ci powiedzieć, bo to jest zbyt poważna sprawa.

— Jim, przecież nie...

— Właśnie tak jak od dawna przypuszczaliśmy. Serce. Ale trzymaj się, Al. Bądź dzielna.

Opanowała się i rzekła:

— Czy to zagraża...

— Tak, nowy atak może przyjść w każdej chwili — powiedział Nair. — I dlatego chciałem z tobą pomówić, Alicjo. Musisz zabrać ojca z gór, oderwać go od tego niespokojnego życia, przenieść w łagodny klimat. Musi resztę swoich dni przeżyć w spokoju.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się.

— Myślisz, że mamy schowany jakiś kapitał, Jim? Nie mamy ani centa. Te spodnie, które mam na sobie, cero- wałam tyle razy, że nie mają ni jednego miejsca całego.

— Właśnie, Al, właśnie o tym chciałem z tobą pomówić. Chcę się zaopiekować Tomem.

— Jim, kochany, drogi Jim, ale on się nigdy na to nie zgodzi.

— Musiałby się zgodzić, gdybyśmy byli, gdyby ...krótko mówiąc, gdybym był twoim mężem, Alicjo.

Powiedziawszy te słowa, zawstydzził się i zmieszał ogromnie, gdyż dziewczyna patrzyła na niego pełna zdumienia.

— Zrozum, Al — powiedział szybko — nie chcę cię do niczego zmuszać, nie chcę ciebie kupować. Jeżeli powiesz „nie” i tak zajmę się Tomem. Gdyby tylko mi pozwolił...

— Czy mówiłeś o twoim zamiarze ojcu? — spytała, patrząc uparcie w podłogę, jak gdyby nie mogąc udźwignąć ciężaru swej głowy.

— Mówiłem.

— A on się na to zgodził?

— Nie. Powiedział, że nie będzie ciebie zmuszał do poślubienia człowieka, który mógłby być twoim ojcem.

Powtarzał te okrutne dla niego słowa z jakimś samoudręczającym się zadowoleniem. Ale rezultat był odwrotny niż tego oczekiwał. Alicja przybliżyła się do niego i nieśmiałym, macierzyńskim gestem dotknęła jego ramienia.

— Kochany, stary Jim — powiedziała czule.

— Widzisz Alicjo — mówił szybko — przed pięciu laty wszystko wyglądało inaczej. Byłaś jeszcze dzieckiem; związek nasz był wtedy całkiem niemożliwy, ale teraz jesteś starsza i mówiłem właśnie twemu ojcu, że będziesz miała czterdzieści lat, gdy ja skończę sześćdziesiąt. Sześćdziesięcioletni mąż czterdziestoletniej żony to wcale nie razi, prawda?

Mówił ze śmiertelną powagą. Pięści miał zaciśnięte, brwi zsunięte, a czoło pokryte kroplami potu. Alicja przyglądała się temu raczej ze smutkiem niż ze zgrozą... Odpowiedziała mu z westchnieniem.

— Bardzo mi przykro, Jim. Chyba tak musi się stać. Ojciec jest chory i trzeba się nim zaopiekować. Ja sama nie dam rady. Mogę tylko ci zapłacić moją osobą.

Spojrzała ze smutkiem na Naira. A on, który przed chwilą marzył o tym, żeby jej powiedzieć o swej miłości, teraz patrząc na jej bezradną, śliczną twarzyczkę czuł, że nie może wymówić ani słowa.

Miał nadzieję, że zdoła jej wszystko wytłumaczyć, ale zrozumiał, że w tej chwili Alicja zgadza się na jego propozycję wyłącznie dla dobra jej ojca. Pojął, że dziewczyna zaczyna nim pogardzać, ale było mu to obojętne: pragnął jej teraz goręcej niż władzy czy pieniędzy.

Słyszał, jak mówiła do niego:

— Jeżeli mnie chcesz, Jim, wyjdę za ciebie za mąż.

Nie ma innego wyjścia. A teraz wracamy do namiotu. Do zobaczenia.

Zwróciła się ku drzwiom. Chciał wyjść za nią, ale nie był w stanie poruszyć się nawet z miejsca. Słyszał, jak zamknęły się za nią drzwi, słyszał potem zmieszany gwar rozmów na polanie przed domem, doleciał go głos Chucka Logana. Po chwili sam Logan zjawił się w pokoju.

— Naczelniku — powiedział — usiłowałem rozegrać jak najlepiej partię i zostałem pobity. Chcieliśmy podejść Traina, ale on jest jak kot, który spada na cztery łapy. Potem chciałem go ściągnąć tutaj, do Culver Draw. Ale po drodze wpadłem do rwącej rzeki i byłbym zginął, gdyby nie ratunek Traina. Potem nie byłem w stanie go dłużej oszukiwać. On zresztą sam już coś podejrzewał. W rozmowie okazało się, że jego celem jest wstąpienie do naszej bandy. Po to przybył do Morristonu, by się z naczelnikiem rozmówić. Obiecałem, że mu to załatwię.

— Przyznałeś się, że jesteś jednym z moich ludzi? — ryknął Nair.

— Nie mówiłem mu nic. Wiedział wszystko sam.

— To szatan!

— Gorszy od szatana. To lis, naczelniku. Trzeba go wziąć do nas. Nigdy nie będziesz tego żałował, naczelniku. Możemy go najpierw wypróbować, przejdzie zwycięsko przez wszystkie próby. Ręczę za to.

Przygnębienie zniknęło z twarzy Naira.

— Co on potrafi, Chuck?

— Wszystko.

— Od szulerki do grabieży?

— Tak jest. Nie widziałem go przy kartach, ale jeżeli gdzieś może się przydać chłopak z bronią, to nie znajdzie się lepszy niż Train. Jest zimny jak stal, twardy jak skała, a giętki jak kot. Nie sypia nigdy. Taki jest Train.

Herszt zapalił fajkę, a oczy zasunęły mu się mgłą zamyslenia. Zapomniał na chwilę nawet o Alicji i o złudnym zwycięstwie, jakie odniósł nad dziewczyną.

Powiedział nagle:

— Znasz Creighton?

— Oczywiście. Pracowałem u starego Henshaw o pięć kilometrów od Creighton i bywałem tam w każdy sobotni wieczór przez szereg lat.

— Gdzie jest Train?

— W górach.

— Jedź do Traina, powiedz mu, że go wypróbujemy. Jedźcie razem do Creighton. Ja tam będę przed wami. Rozumiesz?

— Gdzie się spotkamy?

— Kiedy ostatnio byłeś w tym mieście?

— Pięć lat temu.

— Nikt cię chyba tam nie pozna. Więc zajedźcie prosto do hotelu.

— I czekać tam na pana?

— Tak.

— Nic nie robić?

— Wynajmiecie pokój od frontu, z widokiem na bank naprzeciwko.

— Ach, więc o to chodzi? O stary bank w Creighton. Mają tam masę forsy.

— Nie powiedziałem jeszcze, o co chodzi. Musicie mieć spory zapas nabojów.

— Rozumiem. Już mam dawno wszystko przygotowane. W każdej chwili mam dość nabojów, naczelniku.

— Wiem o tym. Gdybym miał jeszcze takich pięciu jak ty, Chuck, bylibyśmy wszyscy bogaci, i to bez żadnego ryzyka. Jedź już. Czy potrzebujesz pieniędzy?

— Ani centa. Mam dość na miesiąc.

— A co do Traina...

— Ręczę za niego.

— Jeszcze nigdy z góry nie ręczyłeś za nikogo, Chuck. Nawet za Nicka Huntera, choć to twój najlepszy przyjaciel.

— Nie miałem nigdy okazji poznać nikogo tak, jak poznałem Traina.

— Dzielnny chłopak?

— Jest tylko jeden człowiek na świecie, który może się z nim równać.

— Kto taki?

— Pan, naczelniku.

— Czy zechce wziąć udział w wielkiej grze o wielkie pieniądze?

— Zagra nawet o milion, nie mrugnawszy powieką.

— Jesteś pewny, Chuck?

— Pewniejszy niż siebie samego. Chce wstąpić do bandy, a jest z tych, którzy dopinają swego. Ma szczęście.

Blady uśmiech, którego Chuck nie rozumiał, ukazał się na ustach Naira. Potem herszt pokiwał głową.

— Jak zobaczysz Traina, powiedz mu, że śledzę każdy jego ruch. Weź nowego konia, Chuck. Weź najlepiej tego

z białą strzałką na przedniej nodze. To zwierzę z żelaza. Jeździłem na nim w zeszłym roku do Big Bendu, doskonały koń.

Chuck Logan pospieszył, by wykonać rozkaz i po drodze natknął się na Rainiera. Tamten odskoczył przerażony i przepuścił Chucka. Potem wszedł do Naira.

— Sprawa z Trainem skończona — powiedział herszt.
— Możesz się już o to nie troszczyć. Mam go w rękę.

ROZDZIAŁ XXIV

Bandyta przy robocie

— W jaki sposób spotkamy się z Nairem? — spytał Train.

Leżał na łóżku w pokoju hotelowym w Creighton, oparty niedbale o poduszki, z nogami przełożonymi przez poręcz.

— Nikt nie wie, jak Nair działa — powiedział Chuck Logan. — Znam takich, którzy strawili życie na rozwiązywaniu tajemnic Naira i...

Tu przerwał, bo usłyszał szelest papieru. Odwróciwszy głowę, ujrzał kopertę wsuwaną w szczelinę drzwi. Zerwał się z miejsca i otworzył je, ale na korytarzu nie było już nikogo. Chuck Logan, zamykając z powrotem drzwi, mówił:

— Widocznie tajemniczy posłaniec ukrył się w którymś z sąsiednich pokoi. Ale to do pana list, Train. Jest adres na kopercie.

Train po raz pierwszy uniósł nieco głowę znad poduszki,

ale ten wysiłek był widocznie zbyt wielki, bo ziewnął rozgłośnie.

— Przeczytaj na głos — powiedział. — Oczy mnie boją, gdy muszę przyglądać się literom.

Logan roześmiał się, rozdarł kopertę i czytał:

„Drogi Train. Logan powiedział panu zapewne o celu podróży do Creighton. Ale nie powiedział wszystkiego. Chodzi o napad na bank. Są różne sposoby zdobycia gotówki, ale jeden jest najprostszy. Człowiekiem, którego bank obdarza zaufaniem jest Piotr More, pomocnik kasjera. More przyjął ostatnio ode mnie kilkaset dolarów dla spłacenia swych długów. Będzie więc z pewnością mówił z panem, skoro pan się zjawi w moim imieniu. More jest dotychczas uczciwym człowiekiem, ale brat jego był bandytą i sądzę, że w nim też jest coś z przestępcy. Zresztą spróbujemy. Dołączam do tego listu dziesięć banknotów pięćdziesięciodolarowych. Trzeba go skusić tymi pieniędzmi. Powinien za to wypisać panu szyfr skarbca, zawierającego gotówkę banku. Jeżeli uda się panu to zrobić, przyjdę do pańskiego pokoju hotelowego.

More dziś wieczorem będzie w domu. Jeżeli powie-
dzie się rozmowa z Morem, niech pan podniesie zasłonę
w oknie i postawi lampę na parapecie.

N.”

Okrzyk zdumienia wydarł się z ust Logana, gdy przeczytawszy list do końca, wręczył go Trainowi wraz ze zwitkiem banknotów.

— Tego się nie spodziewałem, Train — powiedział. —
Tłumaczyłem naczelnikowi, że ci może zaufać, ale tak

wyłożyć ci od razu karty na stół... Ho, ho! No co, zabierasz się do roboty?

Train powoli poruszył się na łóżku, obejrzał list i pieniądze, potem spojrział w okno, za którym gasły ostatnie złote blaski zachodu.

— Zaczynamy — powiedział i szybko opuścił pokój.

Przed hotelem zatrzymał się, by przepuścić olbrzymią trzodę, idącą środkiem ulicy. Woły i krowy pędzone przez handlarzy ryczały żałośnie. Train patrzył na kręcone rogi, błyszczące w zachodzącym słońcu, na wielkie cielska. Kiedy trzoda już przeszła, stał jeszcze chwilę, czekając, aż opadną tumany kurzu.

W tej chwili od strony, w której zniknęło bydło, nadjechał jeździec na koniu. Od stóp do głów pokryty białym kurzem. Za nim jechało jeszcze trzech, także na koniach, minęli hotel, nie zwróciwszy uwagi na stojącego na chodniku Traina.

Ten poznał natychmiast w pierwszym jeźdźcu Greshama i spostrzegł, jak źle detektyw trzyma się w siodle. Mimo wszystko na widok Greshama, udającego kowboja, serce Traina przeszły lęk. Mimo woli dotknął ukrytej pod marynarką paczki, zawierającej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Musi jak najszybciej oddać te pieniądze Nairowi, inaczej naraża się nieustannie na niebezpieczeństwo ich utraty.

Ale czemuż to Gresham wciąż jeszcze jest na jego tropie i skąd miał pieniądze na zaangażowanie tych trzech pomocników? Trainowi wystarczyło jedno spojrzenie, by poznać, że te chłopaki, mimo młodego wieku, to były doświadczone, stare wygi. Sposób trzymania się w siodle,

ruchy, wyraz twarzy, wszystko wskazywało na specjalistów, którzy dobrze każą sobie płacić za każdy dzień roboty.

Gresham nie był zamożny. Skąd miał na to pieniądze?

Te myśli zaprzętnęły Traina, gdy skręcał w boczną ulicę, a tumany kurzu zakryły mu już Greshama i jego towarzyszków.

Ale od dawna wyznawał zasadę, że nie należy się martwić dziś o to, co może być jutro. Wzruszył więc ramionami i zabrał się do szukania domu More'a.

Odszukał bez trudu, idąc za wskazówkami podanymi w liście. Zanim wszedł do wskazanego domu, obejrzał sobie uważnie dziedziniec przed domem. Uważał zawsze, że otoczenie domu mówi więcej o jego mieszkańcach, co twarz człowieka o nim samym: zdradza ich charakter. Traina zdziwił widok podwórza. Było ono najstaranniej utrzymane ze wszystkich okolicznych. Ozdobione dwoma zielonymi trawnikami, miało ścieżki starannie wyłożone czerwonymi cegielkami. W głębi klomby z najróżniejszymi kwiatami. Najwidoczniej dwa razy dziennie podlewano ten mały ogródek, a raz dziennie gracowano wąskie alejki, biegnące wśród kwiatów. Na środku szemrała niewielka fontanna, zrobiona z sikawki, rozpryskując krople wody na trawę.

Jeżeli pan tego domu troszczy się o ten ogródek, musi być chodzącą dokładnością i musi mieć wiele z usposobienia kobiecego.

Drzwi domu były otwarte. Train zapukał do tych uchylonych drzwi i wówczas ukazał się w progu niewysoki

człowieczek w okularach. Wyszedł z kuchni, w obłoku smacznego zapachu.

Był bez marynarki, w czyściutkiej koszuli, przepasany białym fartuchem.

— Dzień dobry — powiedział, a obrzuciwszy Traina uważnym spojrzeniem, spytał: — Kto przysłał pana do mnie, przyjacielu?

Głos miał ostry i donośny jak głos człowieka, którego nerwy wystawione są ustawicznie na próbę.

— Przechodziłem tędy — powiedział Train — i poczułem przyjemną woń stawy, jestem głodny; sądzę, że mnie pan poczęstuje, towarzyszu.

— Poczęstuje? Poczęstuje? — spytał tamten gniewnie. — W tym mieście potrzebują rąk do pracy. Nikt uczciwy nie bywa tu głodny.

— Nie szukam tu pracy. Jestem tylko w przelocie.

— To niech pan jak najprędzej sobie przelatuje! — odparł Piotr More. — Nie potrzebujemy pana w Creighton. Nie mamy zapotrzebowania w mieście na darmozjadów.

— Surowy jesteś, towarzyszu — powiedział Train. — Ale do następnego miasta jest daleko i wiele jest gór po drodze, a ja jestem już głodny.

— Proszę mi nie mówić o głodzie — krzyknął More. — Tacy ludzie jak pan zawsze będą głodni. Trzeba się nauczyć oszczędzać pieniądze, umieszczać w banku. Ja ciężko pracowałem na to, co mam teraz. Zrób pan to samo.

Odwrócił się.

— Chwileczkę, chwileczkę...

— Nie mam dla pana żadnych chwileczek. Mój czas jest drogi.

I zatrzasnął drzwi Trainowi przed nosem.

— Tchórz, sobek — ocenił go Train ze złością.

Obszedł dom wokół. Dom z tyłu przedstawiał się całkiem inaczej niż od frontu. Podwórko było okropnie zaniedbane, pełne śmieci, puszek od konserw, pustych skrzynek. Wszystko to zasłaniał wysoki, zbity z desek parkan.

Train uśmiechnął się ironicznie na ten widok. Potem zapukał do kuchennych drzwi.

Otworzył mu ten sam człowiek. Poprawił na nosie okulary i poznawszy go, krzyknął:

— Znowu się tu kręcisz!... Ty włóczęgo!...

But Traina wsunął się między drzwi, które More chciał mu znów zatrzasnąć przed nosem.

— Spokojnie, towarzyszu — powiedział powoli. — Przyszedłem na pogawędkę do ciebie.

Piotr More wyczuł w głosie jego groźbę, niespokojnie rozejrzał się wokół. Widząc, że jest bezbronny, powiedział już całkiem innym tonem:

— Widzisz, przyjacielu, żona moja wyjechała, sam gotuję obiad i dlatego nie mam dla ciebie nic do jedzenia.

— Rozmowa jest dla mnie równie cenna jak poczęstunek — powiedział Train.

— Rozmowa? Co to znaczy?

— Przysłał mnie tu pański przyjaciel.

— Mój przyjaciel?

Oczy More'a zabłysły oburzeniem na samą myśl, że taki osobnik może się powoływać na wspólne znajomości.

— Jaki przyjaciel? — warknął.

— Jim Nair.

Urzędnik zachwiał się jak pod wpływem ciosu. Machinalnie obejrzał się za siebie, jak gdyby dolatujący od komina zapach smażonej słoniny był głosem, który go głośno ostrzega o niebezpieczeństwie. Wreszcie wyjąkał:

— Nair. Przysłał pana do mnie?

Train spojrział wymownie na otwarte drzwi. More zrozumiał.

— Niech pan wejdzie prędko. — powiedział. — I na miłość boską, niech pan mówi jak najciszej. Nair! Mogłem się tego spodziewać. Już mi mówiono... Więc czego chce ode mnie Nair?

ROZDZIAŁ XXV

Przekupstwo

Train nie spieszył się z wyjaśnieniami. Powiedział, że woli pogadać w którymś z frontowych pokojów, z dala od zapachów kuchennych, i More wprowadził go skwapliwie do bawialni. Tu posadził go pod fotografią jakiegoś jego mościa o dużych wąsach i krzaczastych brwiach. Wyraz jego twarzy był tak pełen godności, jak gdyby siedział za stołem sędziowskim lub pozował do jakiejś politycznej ilustracji. More sam nie mógł usiedzieć na miejscu i przemierzał pokój dużymi krokami, poprawiając serwetkę na stole czy książkę na półce.

— Więc o co chodzi? — spytał raz jeszcze.

— O nic — odparł Train. — Poza tym, że Nair sądzi, iż pan jest w kłopotcie i chce panu pomóc.

— On? Więc mówił panu o wszystkim?

— Tak, o wszystkim.

— Tak, był dla mnie bardzo hojny, to prawda — jękał More. — Ale ja nie posyłałem ojca do niego. Byłaby to ostatnia myśl, jaka przyszłaby mi do głowy. Pieniądze, które przekazał, przydały się, to prawda. Ale jeżeli chce, zwrócę mu całą sumę. Zwrócę, gdy tylko będę mógł.

— Nie przysłał mnie tu po pieniądze — powiedział Train.

Pomocnik kasjera odetchnął z widoczną ulgą.

— Więc czego chce ode mnie?

— Myśli, że może jest pan znowu w kłopotcie i pyta, czy nie przydałaby się panu gotówka.

— Ach tak?! — wykrzyknął More z promiennym wyrazem twarzy. — Wiedziałem, że Nair zechce naprawić krzywdę, jaką zrobił naszej rodzinie, porywając mego biednego brata Toma. Tak, to prawda, należy nam się od niego jakieś zadośćuczynienie. Skoro chce mi pomóc, czemu nie? Czasy są ciężkie, bardzo ciężkie.

— Mam gotówkę w kieszeni — powiedział Train.

Włożył rękę do kieszeni, wyjął całą paczkę banknotów, którą położył na stole.

— Doskonale — powiedział urzędnik. — Niech mi pan da te pieniądze i może pan wracać do Naira, i powiedzieć mu, że jestem mu bardzo wdzięczny.

— Powiem mu — odparł Train. — Ale jest jeszcze jedna sprawa. Mój szef tak jak i pan uważa, że tu w Creighton

jest masa roboty i że na pieniądze trzeba sobie zapracować.

— Roboty?! — krzyknął mały człowieczek ze złością,

— Pracuję ciężko. Może najciężej ze wszystkich tu na zachodzie. Pracuję całe dnie. Nie mam święta ani niedzieli.

— To nie ma sensu pracować dla tych, co marnie płacą — powiedział Train. — Taka praca to żadna praca. Dlatego też ja na przykład nie mogę sobie znaleźć odpowiedniego zajęcia.

Roześmiał się szeroko, ale More nawet nie uśmiechnął się.

— Weźmy na przykład ten pański bank — ciągnął Train. — Czy nie znalazłaby się tam robota, która przyniosłaby panu znacznie więcej od tego, co dziś panu płacą? Cóż pan tam robi w tym banku?

— Wypłacam ludziom pieniądze. I to wcale niezłe sumki. Wiele tysięcy dziennie.

I spojrział z dumą na Traina.

— Przypuśćmy, że część tych sum wpłacałby pan do własnej kieszeni. Czy to by się panu nie opłaciło lepiej?

Urzędnik zerwał się z miejsca gwałtownie.

— Rozumiem. Mogłem się tego domyślać. Ale może pan iść do Naira i powiedzieć, że nie było jeszcze człowieka, który by nakłonił mnie do kradzieży... Umrę jako uczciwy człowiek.

— Towarzyszu — powiedział Train — mówisz pięknie jak z książki. Ale pozostaw te przemówienia na czas agtacji przedwyborczej, o ile wiem do wyborów w tym mieście jeszcze daleko.

To mówiąc, zwinął banknoty, schował je do kieszeni i ruszył ku drzwiom.

— Niech pan zaczeka — szepnął Piotr More.

Train obejrzał się. More upadł ciężko na krzesło. Był błądy i cały drżał.

— Czego., czego... chce Nair? — spytał.

— Chce ci pomóc zrobić majątek, mój synu. To wszystko.

— W jaki sposób?

— Ile gotówki jest w tej chwili w skarbcu bankowym?

— Około miliona. Pół miliona na pewno.

— Aha — powiedział Train.

— Czy Nair przypuszcza, że włożę ręce w kieszenie mych chlebobawców, którzy mają do mnie zaufanie?

— Dość tego gadania — powiedział Train. — Słuchaj, co ja mówię.

Wyjął banknoty z kieszeni i położył je znowu na stole.

— Tu masz pięćset dolarów. Ile tygodni musisz na to pracować w banku? A Nair da ci te pieniądze za kilka cyfr napisanych przez ciebie na kawałku papieru. I zapłaci jeszcze znacznie więcej. Jeżeli interes się uda, będziesz miał w nim udział. Nair zajmie się tobą...

— Czy myślisz, że nie rozumiem, za co idzie się do więzienia?

— Dlaczego?

— Takie sprawy zawsze w końcu wychodzą na jaw.

— Doprawdy? Iluż znam bogaczy, których majątki wyrosły w ten sposób.

— Ci ludzie kończą zawsze w więzieniu.

— Czyż Nair siedzi w więzieniu?

More umilkł na chwilę. Nie spuszczał oczu z banknotów na stole. Dotknął ich palcami. Było doprawdy dziesięć banknotów pięćdziesięciodolarowych. Musiałby pracować ciężko około dwudziestu tygodni, by je zarobić. Około pięciu miesięcy pracy. A teraz to wszystko może dostać od razu.

— Co mam zrobić?

— Wypisać szyfr kasy bankowej.

— Nie, nie, nie!

— Czyż ja grozę panu? Czyż zmuszam pana do Czegokolwiek? Jeżeli nie potrzebuje pan gotówki, sprawa upada. Jeżeli jednak pan się zgodzi, otrzyma pan zaraz tych pięć setek, a potem dziesięć procent od łupu. W najgorszym wypadku pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Umieści je pan na sześć procent i ma pan bez pracy trzy, tysiące dolarów rocznie. Przy okazji chciałem jeszcze spytać, ile to pan wziął już od Naira?

To ostatnie pytanie było ciężkim ciosem dla More'a. Długą chwilę milczał. Train, korzystając z tego milczenia, znowu zgarnął banknoty ze stołu i powiedział:

— Dobrze, zabieram to i nie mówmy więcej o tej sprawie. Bardzo mi przykro, że nie rozumie pan własnego interesu.

Ale dłoń More'a wysunęła się nagle chciwie i schwyciła pieniądze.

— Nie — powiedział szybko. — Myślę, że... będę mógł to zrobić.

— Doskonale.

— A jeżeli spadnie na mnie podejrzenie?

— Czy jest pan jedynym, który zna szyfr kasy?

— Nie, nie! — zawołał nagle More z radością. — Jest teraz nowy urzędnik, którego sprowadzili z Nowego Jorku, żeby mnie kontrolował. Ja jestem starym, wypróbowanym urzędnikiem, a on jest nowy. A gdyby tak na niego rzucić podejrzenie?

Zacierał ręce z radością na samą tę myśl.

— Przylapią tego Smithsona — mówił. — Tak, to da się urządzić. Chwileczkę, niech pan zaczeka, przyniosę kawałek papieru.

Wyjął papier z szuflady i zaczął na nim gorączkowo pisać.

Nagle podniósł głowę i spytał:

— Jaką mam gwarancję, że Nair podzieli się ze mną łupem? Że wypłaci mi dziesięć procent? I czemu tylko dziesięć procent? Przecież beze mnie nic nie może zrobić.

— Nie może? Nie znasz go, More. Jeżeli ty się nie zgodzisz, zgodzi się Smithson.

— Tak, to prawda. To łotr. Spostrzegłem od razu, że źle mu patrzy z oczu. Dobrze, wezmę te pieniądze, choćby po to, by nie dać ich Smithsonowi.

Pisał jeszcze chwilę, potem wręczył papier Trainowi.

— Oto jest szyfr — powiedział. — A teraz jeszcze jedno, ile osób widziało pana wchodzącego do mego domu?

— Tyle samo, ile zobaczy mnie wychodzącego — odparł Train, idąc już przez ogród w stronę furtki wiodącej na ulicę.

Woda zbyt długo tryskała z położonej w ogródku sikawki i ceglana ścieżka była mokra. Train przeskoczył ją jednym susem. Gdy był już za furtką, zobaczył, jak More

wybiega z domu i daje mu znaki, żeby wrócił. Train udawał, że nic nie widzi.

Tego dnia jeden człowiek został ostatecznie sprowadzony z drogi uczciwości. Train w swym awanturniczym życiu widział ulegających pokusie ludzi o wiele sympatyczniejszych niż ten arogancki pyszałek, a jednak serce ścisnął mu jakiś dotkliwy chłód na myśl, jak przysłużył się bliźniemu. Mały kasjer był już zgubiony.

Wchodząc na schody hotelowe, pomyślał nie wiadomo czemu, co też stało się ze słoniną, która smażyła się w kuchni More'a. Zapewne spaliła się na węgiel.

W pokoju hotelowym zastał Chucka Logana, bladego i niespokojnego.

— Nie udało się — zawyrokował, widząc zmartwiony wyraz twarzy Traina.

Zamiast odpowiedzi, Train podniósł roletę i postawił na oknie zapaloną lampę.

— Łowiłem ryby w rynsztoku — powiedział, wstrząsając się z niesmakiem. — To brudna robota, Logan.

— Uważasz się za zbyt dobrego na taką robotę? — zawołał Logan. — Sądzisz, że sto tysięcy to za mały dla ciebie zarobek?

Train nie odpowiadał. Był sam zaniepokojony swymi myślami. Czemu nagle przyszło mu do głowy, że nie ma na świecie takich pieniędzy, które opłaciłyby przykrość wyrzutów sumienia?

Nagle spytał:

— Chuck, czy, sądzisz, że można się przyzwyczać zarówno do uczciwego, jak i występnego życia?

Chuck spojrzął na niego zdumiony.

- Co ty pleciesz, Steve? — spytał.
— Nic — odparł Train. — Zostaw mnie w spokoju.

ROZDZIAŁ XXVI

Bez przygotowania

— Czy Nair nas wywoła, czy też sam tu przyjdzie? — spytał Train po chwili.

— Nikt nigdy nie wie, jak Nair postąpi. Może spaść nagle z sufitu, czy wyłonić się spod podłogi. Jeżeli sobie wyobrazisz, że on w jakiś określony sposób postąpi, to jest pewne, iż stanie się całkiem inaczej.

I w istocie przyście Naira było niespodzianką. Train usłyszał w pewnej chwili ciężkie kroki na korytarzu i basowy głos nucący piosenkę, potem stukanie do drzwi.

— To znowu ten przeklęty Griffith — powiedział Chuck i wstał, by otworzyć.

Za drzwiami stał Nair.

Train poczuł baczne spojrzenie czarnych oczu, spoczywające na jego twarzy. Nigdy przedtem nie spotkał człowieka, który zrobiłby na nim takie wrażenie: po prostu czuł się jak zahipnotyzowany. Po raz pierwszy w życiu musiał przyznać, że jakiś człowiek ma nad nim wielką przewagę. Ludzie prowadzący awanturnicze życie przyzwyczajeni są do oceniania na pierwszy rzut oka sił przeciwnika, tutaj sąd wypadł druzgocąco dla Traina.

Poza tym paraliżowała go myśl, że oto za chwilę, będzie mógł wręczyć Nairowi pięćdziesiąt tysięcy dolarów,

otrzyma od niego pokwitowanie i będzie je mógł zawieźć Comstockowi. Że skończy się wreszcie ta cała niebezpieczna i przykra misja, jakiej się podjął.

Tymczasem Jim Nair zbliżał się do niego powoli, potem przemówił swym niskim, przejmującym głosem:

— Pan nazywa się Train. Rad jestem pana poznać i rad jestem, że pan jest z nami. Był czas, kiedy zdawało mi się, że będę musiał pana ukarać.

Jego uśmiech był raczej ponury niż wesoły, gdy mówił te słowa.

— Ale Logan opowiedział mi, że pan mnie szuka w dobrych zamiarach, a ja ufam Loganowi.

Chłodna mocna dłoń uściśnęła rękę Traina, który jednocześnie pomyślał: „A ja nie ufam Nairovi”. Głośno zaś powiedział:

— More połknął gotówkę i dał mi szyfr kasy. Oto on.

Nair wziął złożoną kartkę, ale na razie nie zaglądał do niej.

— Czy łatwo poszło? — spytał.

— Nic tam nie było do roboty.

Nair roześmiał się:

— Ma to we krwi — powiedział. — Brat był bandytą. Piotr More jest także urodzonym łotrem. Wiedziałem o tym zawsze, a także i o tym, że to zbyt wielki tchórz, by ryzykować z własnej inicjatywy.

— Obiecałem mu dziesięć procent — powiedział Train.

— Doprawdy? — spytał ironicznie Nair. — Dostał już swoją zapłatę.

— Pan nie chce się z nim dzielić?

— Z takim głupcem jak More? Oczywiście, że nie. Ten człowiek jest dla mnie teraz bez wartości. Wycisnąłem już tę cytrynę. Już nigdy nie znajdzie pracy dla siebie.

I wciąż śmiejąc się, rozwinął papier.

— Będzie wył jak pies, gdy się dowie, że ryzykował tyle za darmo — powiedział Chuck Logan.

Ale Train był wzburzony. Dał słowo tamtemu człowiekowi i uważał, że dziesięć procent istotnie mu się należy. A poza tym w zachowaniu Naira było coś takiego, co go intrygowało.

James Nair Cartwright był w dawnych czasach człowiekiem tak uczciwym, że nie chciał przyjąć od przyjaciela, który go zrujnował, pomocy pieniężnej. Potrafił tym zyskać zaufanie tego człowieka, uczciwego i szczerego jak złoto. Czy mógł człowiek tak się zmienić? Ten Jim Nair, który stał przed nim, był mieszaniną okrucieństwa, bezwzględności i oszustwa. Czy to rzeczywiście jeden i ten sam człowiek? Train pomyślał, że nie odda mu owych pięćdziesięciu tysięcy, dopóki nie przekona się niezbitcie, kim on jest.

Nair tymczasem czytał półgłosem szyfr, który objaśniał, jakie znaki na kasie należy nacisnąć prawą, jakie lewą ręką i w jaki sposób otwierają się metalowe drzwi skarbcza.

Złożył papier i wsunął do kieszeni.

— Naboje gotowe, Chuck?

Logan pokazał w milczeniu ładownicę, której zawartość starczyłaby do wysadzenia hotelu w powietrze.

— Widziałeś Griffitha? — spytał Nair.

— Spostrzegł mnie przy wjeździe do miasta i zaczął mi

opowiadać o jakiejś wielkiej aferze. Zdaje się, że obrabiał kogoś z tutejszego banku.

— Ten człowiek pracuje dla mnie zbyt powoli. Nie weźmiemy go dziś w nocy z sobą.

Nair odchrząknął i spojrzał uroczyście na obu ludzi.

— Chłopcy — przemówił — zrobię dziś w nocy robotę, do której zazwyczaj przygotowuję się przez cały tydzień. Ale dziś w nocy spróbujemy szczęścia. Powiniennem mieć do tego sześciu ludzi, ale będzie nas, razem ze mną, tylko trzech. W ten sposób przypadnie każdemu z nas więcej w podziale. Podział będzie następujący: po dziesięć procent dla was obu, trzydzieści procent dla mnie, reszta dla bandy. Pracujemy dla nich, kiedy ich przy nas nie ma, tak jak oni dla nas, kiedy nie towarzyszymy im. Czy to sprawiedliwe?

Trainowi nie wydał się ten podział sprawiedliwy, ale zobaczył, że Logan kiwa z zadowoleniem głową, więc i on się zgodził.

Następnie opuścili pojedynczo pokój i spotkali się po jakimś czasie przed bankiem.

Wytrych w doświadczonej dłoni Chucka otworzył tylne drzwi i wszyscy trzej wsunęli się do środka, korzystając z chwili, gdy przechadzający się na chodniku dozorca skręcił za węgiel domu.

Nair szepnął:

— Ten dozorca to wielki błąd z naszej strony. Gdyby robota była przygotowana, wywabilibyśmy go przedtem gdzie indziej, ale teraz już nie czas o tym myśleć. Czy spostrzeżliście, chłopcy, że kiedy frontowe drzwi banku

są mocno zabezpieczone, to tylne przypominają drzwi kuchenne zwykłego domu? Tyle że w kuchni znajdują się jajka i sałatka, a tu znajdziemy danie z grubej forsy. Chodźmy. Sprawdzimy, czy Piotr More dał nam prawdziwy szyfr.

Po chwili dotarli do olbrzymiego, staroświeckiego skarbcza w głębi banku. Logan prowadził, świecąc elektryczną latarką.

Nair objaśnił im, że ten bank zawsze ma wiele gotówki, bo tu umieszczają swe oszczędności handlarze bydłem i kopacze złota z całej okolicy. Od dawna już miał oko na ten banczek, skromny z pozoru, a bogatszy od niejednego wspaniałego banku w stolicy.

Przy kasie Nair świecił latarką, Train odczytywał numery, a Logan kręcił guzikami. Wszystko szło doskonale, wreszcie rozległ się charakterystyczny trzask i otworzyły się powoli ciężkie, metalowe drzwi, za nimi znajdowały się jeszcze podwójne drzwi z cienkiej stali, ale i dla tych było rozwiązanie w karcetce More'a. Po chwili trzech ludzi ujrzeni przed sobą metalowe szuflady, napełnione całym bogactwem banku.

W tejże chwili do frontowych drzwi ktoś mocno zastukał.

Nair zgasił latarkę. Stali w ciemnościach wielkiej sali.

— Co robić, naczelniku? — szepnął Logan.

— Przekłeta taka nieprzygotowana robota — mruknął Nair. — To pewnie dozorca albo jakiś urzędnik, który zapomniał klucza i myśli, że zostanie kogoś w banku.

Słaby głos wołał coś za drzwiami.

— Przekłety gość — mruknął Nair. — Chodźmy do

drzwi. W najgorszym wypadku wpuścimy go. Nie zajdzie daleko.

Train spojrział na wysoką postać bandyty i zadrżał. Przeleciało mu przez myśl, że to jest ucieleśnienie szatana. Po kraju krążyły wieści o jego hojnej wspaniałomyślności dla ubogich i cierpiących, ale Trainowi przyszło teraz do głowy, że nawet te uczynki Naira muszą być wynikiem chłodnego wyrachowania.

Nawet bandyta ma swoich przyjaciół i ci przyjaciele właśnie służą Nairovi do urabiania o nim pozytywnych opinii. Być może dał kiedyś pieniądze zrabowane od bogatych ubogim, ale uczynił to tylko po to, by zyskać sobie sprzymierzeńców.

Wysunęli się ku frontowym drzwiom banku. Nair szeptem dał im polecenia, a sam stanął przed drzwiami. Otworzył je gwałtownie.

— Co to za kawały, Jenkins? Jak długo mam czekać na dworze? Czy zacząłeś już sprawdzać księgi? Czy też...

Nagle uderzyły go grobowe ciemności i absolutny brak odpowiedzi. Zatrzymał się, ale już za późno było, żeby się cofnąć. Długie ramię Naira wyciągnęło się błyskawicznie. Urzędnik upadł na podłogę, nie wydawszy nawet dźwięku.

— Nie żyje — szepnął ze zgrozą Train.

— Być może — powiedział chłodno Nair — ale nie mamy pewności. Trzeba na wszelki wypadek związać tego psa. Chuck, zaknebluj mu gębę. Chodź ze mną, Train.

Wrócili do kasy. Nair powiedział po drodze:

— Czekają nas jeszcze nowe przykrości. Ten idiota

mówił o jakimś Jenkinsie, który ma tu dziś w nocy przeglądać księgi i zapewne ma klucz od banku. Jenkins nadejdzie lada chwila. Musimy przedtem zakończyć robotę. Kończ i wychodź przez tylne drzwi. Byleby nie zabrali nam naszych koni.

Zostawili trzy konie w bocznej ulicy przed sklepem z żelastwem. Nair uważał, że nie powinien nikt ich pilnować.

Tymczasem szybkimi palcami wyjmował z szuflad kasy banknoty i napełniał nimi wielką, płócienną torbę, którą zapiął na skórzany pasek. Chuck wrócił i oznajmił, że urzędnik jest unieszkodliwiony.

— Robota skończona. Uciekajmy — powiedział Nair.

— Musimy dosiąść koni zanim Jenkins odkryje, co się tu stało.

Wybiegli szybko ku drzwiom, ale nie zdążyli ich dopaść, gdy usłyszeli odgłos otwieranych frontowych drzwi. Przeciąg poruszył papiery na stołach. Z całą pewnością Jenkins wszedł do gmachu bankowego.

Trzej bandyci przytulili się do ściany. Słyszeli, jak Jenkins wydał okrzyk grozy: widocznie zapaliwszy światło, zobaczył leżącego na ziemi skrepowanego kolegę.

— Prędko — szepnął Nair i wszyscy trzej przyczołgawszy się do tylnych drzwi, wysunęli się na ulicę.

Tymczasem Jenkins wypadł przez frontowe drzwi na dwór i krzyczał: Morderstwo! Na ratunek! Mordercy!

— Powinniśmy byli zatrzymać się i strzelić mu w łeb. Podniesie na nogi całe miasto — powiedział Nair.

Istotnie otwierały się na ulicy okna i drzwi i wyglądały przerażone twarze. Gdy trzej ludzie skręcili w boczna

ulicę, z jakiejś bramy wypadło sześciu uzbrojonych policjantów na koniach, jechali w stronę banku.

— Co się stało? — spytał Nair spokojnie jakiegoś przechodnia.

— Może to wariat krzyczy — odparł tamten i pełen ciekawości pomknął za policją.

Trzej ludzie spojrzeli na siebie z przerażeniem. Z daleka widzieli, że przed sklepem nie ma już trzech wierzchowców.

ROZDZIAŁ XXVII

Nair i Train

— Wpadliśmy w pułapkę — powiedział Nair ze spokojem. — Ale teraz, chłopcy, jak najszybciej za mną!

Przez wąską uliczkę wydostali się pędem na otwarte pole. W tejże chwili niedaleko za nimi rozległ się tętent kopyt końskich i zmieszane głosy. Nie ulegało wątpliwości, że ich ścigano.

— Tędy! — wołał jakiś męski głos. — Tędy uciekli. Prędko, musimy ich mieć.

Serce Traina zadrżało. Poznał nosowe dźwięki głosu Greshama. Przeszła go myśl, że teraz już koniec, bo Gresham prześladowuje go jak fatum. Gdyby teraz został schwytany, byłaby to ironia losu, bo pierwszy raz w życiu miał zamiar spełnić prawdziwie uczciwy czyn, oddając Nairovi powierzone pieniądze. Włamanie do banku nie obciążało jego sumienia, tłumaczył sobie, że musiał być u boku Naira, by się przekonać, czy jest on człowiekiem,

którego szuka. Wszystko inne, poza wręczeniem sumy jaką miał w kieszeni, wydawało mu się nieważne. Zdawał sobie sprawę; że w razie schwytania go, pięćdziesiąt tysięcy pójdzie na ogólny rachunek banku i nic już ich nie uratuje. Zacisnął zęby w bezsilnej wściekłości.

Tymczasem Nair zatrzymał się w biegu i odrzucił ciężką torbę, pełną banknotów.

— Czekajcie, chłopcy — powiedział. — Nauczmy tych głupców. Nie damy im do nas dostępu i skryjemy się w lesie.

Tamci dwaj wydobyli na rozkaz broń, ale kiedy odwrócili się ku swym prześladowcom, ujrzeli dziesięciu ludzi na koniach, uzbrojonych od stóp do głów. Na czele tych ludzi Train zobaczył Greshama, który siedział na Whimsy.

Nabijając broń, Train przysięgł sobie, że pierwszy padnie od jego strzału Gresham. Musiał go zgładzić, nie było dla niego innego ratunku. Podniósł broń i nagle poczuł coś okropnego. Nie mógł strzelać. Działo się z nim coś dziwnego. Trzymając palec na cynglu, zobaczył oczyma wyobraźni zimne ciało Greshama.

Wreszcie opanował się na tyle, że mógł wystrzelić, ale dłoń mu zadrżała i kula przeszła wysoko nad głowami ścigających.

Jego towarzysze nie mieli takich skrupułów, walczyli zacięcie o życie i skarby. Dwa okrzyki bólu rozbrzmiały w gromadzie prześladowców i dwaj ludzie stoczyli się z siodeł. Te dwa strzały narobiły takiego popłochu wśród ścigających, że nie ryzykując dalej życia, rozdzielili się na dwie gromadki i zawrócili ku miastu. Zrozumieli, że mają

do czynienia z doświadczonymi strzelcami, skoro w ciemnościach nocy, jedynie przy blasku księżyca, trafiali tak celnie.

Trzej ludzie nie mieli ani chwili czasu do stracenia. Lada chwila pogoń mogła wrócić w zwiększonej liczbie ludzi. Nair ciągnął za sobą ciężki worek z gotówką. Kiedy dopadli lasu, pogoń wróciła.

— Na ziemię! — zakomenderował Nair.

Mroki nocne pochłonęły ich tak, że pościg w liczbie pięćdziesięciu ludzi na koniach, nie spostrzegł ich i pognął dalej.

Nair dał sygnał. Wstali. Mimo że las pełen był prześladowców, Trainowi zaświtała jakaś słaba nadzieja, iż uda im się umknąć.

Przedzierając się przez gęste krzewy, dostali się w głąb lasu. W pół godziny przebyli dwa kilometry drogi. Nieustannie słyszeli wokół siebie głosy pogoni. Rozlegały się pojedyncze wystrzały i nawoływania.

Nair cicho wydawał rozkazy. Jednocześnie komunikował im, że jeżeli będą szli w tym kierunku, natrafią wkrótce na towarzyszy z końmi. Cały czas Nair dźwigał ciężki wór z łupem. Ale mniej więcej po upływie dwu godzin, Chuck Logan zatrzymał się i zaproponował, by podzielić zawartość wora na trzy części. Przede wszystkim dlatego, by ulżyć Nairowi; poza tym gdyby ich schwytano, by cała gotówka nie dostała się w ręce ścigających. Tłumaczył, że jeżeli złapano by jednego z nich, a dwaj pozostali mieliby jeszcze część pieniędzy, kto wie, czy nie udałoby się za te pieniądze wykupić jeńca z rąk policjantów.

— To byłoby niemożliwe — powiedział Train.

— Co to ma znaczyć? — spytał Nair.

— To, co mówię. Widziałem na czele policji detektywa Greshama. Gresham ściga mnie od dłuższego czasu po górach. On to musiał poznać moją Whimsy i zabrać ją. Gdyby nie Gresham, nigdy nie bylibyśmy teraz ścigani.

— Ach więc to ciebie ścigają? — spytał Nair. — To ty ściągnąłeś nam na głowy tę biedę.

— Chce pan zwalić teraz wszystko na mnie? — spytał Train ironicznie.

— Train — powiedział nagle Nair — zdaje mi się, że wiem już wszystko. Przystąpiłeś do mnie po to, by wydać mnie w ręce policji. Taki był twój podstęp, co?

— Naczelniku — przerwał Chuck Logan, wciąż broniąc nowego przyjaciela — jest pan niesprawiedliwy dla Traina. Być może ściągnął na nas pogoń, ale nie jego w tym wina. Rzykował tak samo jak my dzisiejszej nocy.

Ale Nair dłonią nakazał Chuckowi milczenie. Był wściekły:

— Należysz do tych niepoprawnych ludzi, którzy nigdy się pewnych rzeczy nie nauczą. Jesteś już taki stary, a jeszcze nie wiesz, że ci, którzy udają najuczciwszych, bywają najgorszymi łotrami.

Nie ulegało teraz wątpliwości, że Nair jest wrogo nastawiony do Traina i że sprawa ta jeszcze się nie skończyła. Train rozumiał, że musi się między nimi wywiązać walka. Nie wiedział tylko jednego: czy Nair będzie sam z nim walczył, czy też Chuck Logan będzie musiał stanąć po stronie naczelnika.

W głębi duszy nie miał wielkiej nadziei na pokonanie

Naira. Ten człowiek nosił na twarzy znamiona niezwyciężonego. Wydawał się być wśród ludzi tym, czym właśnie lew wśród zwierząt; lękał się go instynktownie.

— Nie może mi pan nic zarzucić, Nair — powiedział spokojnie, myśląc o nieuniknionej walce. — Nie ma pan najmniejszego dowodu mojej zdrady.

— Nie mam? — Nair roześmiał się ze złością. — Słuchaj mnie, Train i słuchaj ty, Logan, jak brzmi opowiadanie o twoim uczciwym przyjacielu, w którego wierzysz tak bardzo. Kilka dni temu w Morrystonie Train spotkał starego znajomego nazwiskiem Rainier. Widziałeś tego Rainiera w obozie, Logan.

— O tak i poprzysiągłem zemstę temu tchórzowi za podstępne zrabowanie mi konia.

— Mniejsza o to. W każdym razie to stary przyjaciel Traina. Prawda?

— Był kiedyś moim przyjacielem. Ale w Morrystonie wcale go nie widziałem.

I nagle, gdy to powiedział, wydarł mu się okrzyk. Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że twarz, która mignęła mu w progu pokoju karcianego, była właśnie twarzą Rainiera.

— Więc jednak sobie przypomniałeś? — spytał ironicznie Nair. — Spotkałeś Rainiera i ten opowiedział ci dziwną historię o tym, jak pewien starszy jegomość z południa powierzył mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów i polecił odszukać na północy Naira i te pieniądze mu wręczyć. Suma ta należała się bowiem Nairovi od dawna.

— Pieniądze należą się Jamesowi Cartwrightowi, nie Jimowi Nairovi — przerwał Train.

- Co?! — krzyknął Nair.
— Powtarzam, że to pieniądze Cartwrighta.
— Cóż za szatan z ciebie? — ryknął Nair. — Czy grzebałeś w mojej przeszłości?

Jego furia była tak wielka i szczerą, że Train pomyślał: to musi jednak być naprawdę Cartwright. Wściekłość jego można było wytłumaczyć tylko tym, że prowadząc życie występne sądził, iż o jego wcześniejszym życiu, o istnieniu uczciwego Cartwrighta nikt nie może wiedzieć.

— To jeszcze nie wszystko, Logan — ciągnął dalej — gdy Train dowiedział się o misji przyjaciela, obrabował go podstępnie. Rainier nie jest człowiekiem walki, nie mógł go zwyciężyć, ale mimo to odważył się podjąć długą podróż do mnie, by zawiadomić mnie o wszystkim. Napchawszy własne kieszenie moimi pięćdziesięcioma tysiącami dolarów — ciągnął dalej Nair — Train pomyślał, że uda mu się, może z moją pomocą, zdobyć więcej gotówki i ułożył cały szatański plan zdrady. Nie zadowolili się tym, że ukradł mi tę sumę, chciał na mnie zarobić jeszcze znacznie więcej. Postanowił, uważaj dobrze Logan, postanowił przystać pozornie do mojej bandy i wydać mnie w ręce policji. Zwierzył się z tego planu detektywowi. Możesz być pewien, Logan, że ten Gresham działa w porozumieniu z Trainem. Postanowili się podzielić nagrodą.

Train z tych słów zrozumiał, na czym polegał ohydny podstęp Rainiera, zrozumiał, jaką siecią intryg i kłamstw tamten go przez zemstę oplatał.

— To wszystko brzmi bardzo nieładnie — powiedział Chuck, patrząc na Traina tak bacznie, jak gdyby chciał mu wydrzeć z serca całą prawdę. — Ale myślę, że jest tu

jakieś wytłumaczenie. Steve, broń się.

— Żadna moja obrona nie dogodzi Nairowi — powiedział Train powoli. — On chce walczyć. Zbyt dużo jest pieniędzy w tym worku, by chciał się dzielić z człowiekiem, którego mało zna. Jeżeli uda mu się pozbyć mojej osoby, jego część się znacznie powiększy. Jeżeli potem pozbędzie się i ciebie, Chuck, będzie miał jeszcze więcej forsy. Pozbędzie się w ten sposób także świadków i nikt w bandzie mu nie dowiedzie, ile zagrabił w banku. Może z łatwością zakopać część łupu i ukryć przed towarzyszami. A wytłumaczenie? Znajdzie się: powie, żeśmy się między sobą pobili, Chuck, i obaj zginęliśmy.

Okrzyk dzikiej wściekłości wydarł się z ust Naira. Przez chwilę patrzył na Traina, drżąc na całym ciele. Potem dłoń jego sięgnęła do pasa. Train cofnął się takim ruchem, jakim kot cofa się przed silnym brytanem. Ale zanim dotknął palcami swej broni, czuł, że jest zgubiony. Mimo to usiłował wyciągnąć kolta zza pasa. Słyszał, jak broń jego wypaliła, a w sekundę później ogłuszył go huk wystrzału Naira. Czerwone światło zabłysło przed oczyma Traina. Poczul straszliwy ból w głowie i padł na twarz.

ROZDZIAŁ XXVIII

W pogoni za depozytem

Budził się powoli z ciężkiego snu. Miał uczucie jak gdyby przebył długą, męczącą drogę. Wreszcie zaświtało mu w mrokach światło. Odetchnął. Poczul, że jeszcze żyje.

Zobaczył, że leży w tej pozycji, w której upadł, twarzą do ziemi wśród pachnących gałęzi sosen. Głowa jego była jedną bolejącą raną, a prócz bólu fizycznego dręczyła go upokarzająca myśl, że ktoś okazał się silniejszym.

Usiłował podnieść się na kolana. Drżał na całym ciele z wyczerpania. Wreszcie udało mu się usiąść i oprzeć plecami o pień sosny. Upłynęła długa chwila zanim zorientował się, że jest ranny. Palcami wymacał ranę na głowie. Zaczynała się w prawej części czoła, tuż pod włosami. Tędy musiała wejść kula, na szczęście ominęła skroń i przebiwszy kość, wydostała się tyłem głowy.

Czemu Nair go nie dobił? Musiał sądzić, że on nie żyje. Tego typu rana i całkowita nieruchomość ciała mogły go w tym mniemaniu utrzymać. Następnym jego ruchem było zbadanie, czy ma przy sobie paczkę z pięćdziesięcioma tysiącami, powierzoną mu przez Comstocka. Paczka zniknęła.

Nie wierzył jeszcze, obszukał wszystkie kieszenie, potem rozejrzał się wkoło, sądząc, że padając mógł ją zgubić na mchu. Nie, nie było jej nigdzie i Train wyrzucał sobie, że trzeba być idiotą, by przypuszczać, iż taki bandyta jak Nair nie obszukuje swych zamordowanych ofiar.

Ta myśl napęłniła go takim wzburzeniem, że nabrał nowych sił.

Zdołał podnieść się, choć chwiał się na nogach. Więc po to narażał się na tyle niebezpieczeństw, by uczciwie spełnić polecenie Comstocka, aby ten, do którego dążył, obrabował go i zranił. Co powie Comstock, gdy mu opowie to zdarzenie? I czy uwierzy w tę mało prawdopodobną historię?

Potrząsnął głową z jękiem i w tej chwili poczuł, że po policzku spływa mu strumień krwi. Rozumiał, że musi natychmiast zabandażować ranę, inaczej naraża się na duży upływ krwi. Urwał więc brzeg swej koszuli i zawiązał sobie głowę. Kosztowało go to wiele wysiłku. Był słaby, a wiatr rozwiewał co chwila kawałek materiału.

Spojrzał na zegarek. Od czasu strzelaniny upłynęło zaledwie trzydzieści minut, od czasu włamania się do banku niewiele ponad godzinę. Zdziwił się, miał uczucie, że przeleżał nieprzytomny pół nocy. Powziął teraz wprost szaleńcze postanowienie. Mimo rany i osłabienia chciał pójść za Nairem i Chuckiem tym samym, co oni szlakiem.

Pamiętał, że mijali wielkie, na pół spalone przez piorun drzewo. Widział je teraz z daleka w blasku księżyca. Ustawwszy się w połowie drogi pomiędzy tym drzewem a miejscem, na które upadł, Train patrzył przed siebie prosto i zdecydował, że to powinna być jego droga.

Ruszył przed siebie. Ten forsowny marsz dziwnie go uspokajał, nie czuł nawet bólu w zranionej głowie. Szedł, nie zastanawiając się nad tym, czy uda mu się spotkać Naira, czy nie czeka go druga walka, czy wreszcie zdoła odebrać mu paczkę z pieniędzmi. A jeżeli Nair mimo wszystko był Cartwrightem? Jeżeli dziwny los złożył sam pieniądze w ręce prawowitego właściciela? To po cóż w takim razie go goni? Czemu chce mu ten depozyt odebrać? W głębi duszy musiał przyznać, że bynajmniej nie życzy już sobie walki z Nairem, ale z drugiej strony czuł, że dopóki nie przekona się, kim naprawdę jest Nair i nie wypełni polecenia Comstocka, nie będzie miał ani chwili spokoju.

W pewnej chwili ujrzał przed sobą niewielki wiejski dom, przed którym pasło się około dwunastu koni. Nie ulegało wątpliwości, że ludzie ścigający przestępców z Creighton, zatrzymali się tu dla odpoczynku. Train uśmiechnął się i ostrożnie ominął niebezpieczny dom.

W trzy kwadranse później droga sprowadziła go z góry w dolinę i znalazł się przed małym domkiem, który na pierwszy rzut oka robił wrażenie niezamieszkanego. Była to raczej ruina niż prawdziwy dom. Okna miały zerwane okiennice, a drzwi frontowe mimo chłodu nocnego nie domykały się całkiem. Zakradłszy się bliżej domu, wsunął się na werandę i zajrzał do okna, z którego padał blady blask.

Wewnątrz dom był jeszcze bardziej zaniedbany niż na zewnątrz. Ze ścian odpadał kawałami tynk, podłoga miała wyrwane deski, a za całe umeblowanie służył kulawy stół o trzech nogach i kilka połamanych krzesel. Na kominku palił się jednak ogień, a przy jego migotliwym blasku siedziało czterech ludzi. Jednym z nich był Chuck Logan, drugim sam Nair, a prócz nich Tom Courtney i jego córka Alicja. Dziewczyna podawała trzem mężczyznom kawę. U stóp Naira leżał dobrze znany Trainowi płócienny worek.

Nair nie był wcale ranny. Widocznie kula Traina nawet go nie drasnęła, mimo że Train strzelając był pewien, że nie chybi.

Widocznie Nair musiał mu w czasie strzału wytrącić broń z ręki. Nie było innego wytłumaczenia.

Zaglądając przez okno do wnętrza pokoju, Train czuł każdym nerwem, że oto przyszła jego wielka chwila.

Courtney z córką opuścili na chwilę pokój, a Nair, pozostawszy sam z Loganem, zaczął szybko do niego mówić.

— Czy przemyślałeś już teraz całą sprawę?

— Tak, przemyślałem — odparł Chuck uroczyście.

— I co? Jakie jest twoje zdanie?

— Train postąpił wobec nas z całą uczciwością. Naraził swe życie na równi z nami i powinien tu być teraz razem. Zamiast tego, zostawił go pan rannego na pastwę policji.

Nair zmarszczył brwi.

— Czy słyszałeś, co mówiłem do Traina?

— Tak, ale dowiedział się pan tego wszystkiego od kogo? Od Rainiera, od tchórze i głupca. Czemuż to Rainier nie walczył otwarcie z Trainem, tylko pobiegł do pana na skargę?

— Mówiłem ci już, że to nie jest człowiek walki.

— Tak, tylko tchórz. Słyszałem już.

— Nienawidzisz go, bo cię podszedł. Dlatego tak mówisz, Chuck.

Chuck wzruszył ramionami i patrzył spokojnie w ogień. Ale Train obserwując tę scenę, zobaczył, jak na twarzy Naira pojawiła się okrutna nienawiść. Zniknęła zanim Chuck znów na niego spojrział.

— Więc cóż? — zaczął Nair. — Opowiesz chłopcom, co sądzisz o tej sprawie?

— Nie wiem — odparł Chuck. — Dotychczas nigdy nie grał pan tak jak dzisiejszej nocy.

— Czyż nie walczyłem z Trainem w równej walce?

— Wyciągnął pan broń bez ostrzeżenia. Wystrzelił pan

pierwszy. Nawet gdybym chciał wówczas temu chłopcu pomóc, nie byłbym w stanie.

Nair warknął ze złością.

Ale Chuck mówił dalej:

— Niech pan opowie Wielkiemu Tomowi i Alicji o tym, co się stało. Niech oni osądzą.

Nair krzyknął ze złością:

— Nie mieszaj ich do tych spraw. Jeżeli piśniesz jedno słowo Alicji...

— Ach — powiedział Chuck — a teraz rzucasz się na mnie?

— Bo gadasz jak głupiec, Chuck.

W tej chwili zjawił się Courtney z córką. Rozmowa we dwoje skończyła się.

ROZDZIAŁ XXIX

Niewidzialny świadek

Dwa momenty tej rozmowy uradowały Traina. Jeden, to ten, że świadek bitwy widział, iż zwyciężono go podstępem, a nie siłą. Drugi, to fakt, iż Logan był po jego stronie. Nie uląkł się Naira, nie przeszedł na stronę silniejszego. Miał odwagę prosto w oczy mówić mu prawdę, bronić przyjaciela.

Courtney powrócił, niosąc spory sznur, który złożył w kącie pokoju. Alicja wniosła chleb i szynkę. Jej zręczne palce szybko smażyły szynkę przy ogniu kominkowym. Smakowita woń drażniła nozdrza Traina. Poczuł, jak bardzo jest głodny.

— Zrobicie lepiej, gdy weźmiecie tego karego ogiera i siwą kobyłę — powiedział Courtney do Naira. — Te konie są w najlepszej formie. Nie jeździłem na nich od tygodnia. Są wypoczęte i najedzone. Jeżeli tamci z Creighton nie zaprzestali jeszcze pościgu, to niebywale namęczą się, zanim pokonają te konie.

— Doprawdy? — zdziwił się Chuck. — A ja wiem, że nasi prześladowcy mają pyszne konie. Zwłaszcza jest tam jeden znakomity. To klacz, która...

Pełen nienawiści, groźny wzrok Naira nie pozwolił mu dokończyć, umilkł w połowie zdania.

— Jaka to klacz? — spytała Alicja, odwracając się od ognia.

— Nie wiem. Wiem tylko, że znakomita.

— Ale przedtem mówił pan tak, jak gdyby ją znał. Byłam przekonana, że pan nam coś o niej opowie. A ja znam tylko jedną klacz, niezrównaną w górach. To Whimsy. — Zamyśliła, się przy tych słowach i dodała szybko. — Musisz ją znać, Chuck. Przecież podróżowałeś z nim razem.

— Z nim? — powtórzył Chuck zmieszany.

— Czy widziałaś tę klacz? — spytał Nair ostro.

— Widziałam ją dobrze, wtedy gdy rozmawiał ze mną po postrzeleniu biednego Jerry'ego.

Na dźwięk swego imienia wilk leżący w kącie poruszył się i nastawił uszu W kierunku swej pani.

— Bydle! — krzyknął Nair. — Wart był tego, żeby mu wpakować kulkę.

— Ale nie zrozumiałaś, co mówiłam — powiedziała Alicja. — Jerry gonił jelenia i wyglądał z daleka całkiem

jak dziki wilk. Train postrzelił go przez pomyłkę. Czyż nie opowiadałam o tym?

— Nie — odparł Nàir rad, że rozmowa przybrała taki obrót. — Nie mówiłaś mi o czym z tobą rozmawiał i co robił.

— Jest bardzo odważny — powiedziała Alicja z zachwytem. — Wyobraźcie sobie, że po tym wszystkim nie bał się podejść do Jerry'ego. Dotknął dłonią jego nosa, a pies, o dziwo, nic mu nie zrobił. Przeciwnie, pokręcił ogonem. Mnie krew zastygła ze strachu, kiedy na to patrzyłam. Miałam uczucie jak gdybym przyglądała się spotkaniu dwu dzikich wilków. Train był większym wilkiem, Jerry mniejszym.

— Więc Train ci się nie podoba? — spytał gorzko Nair.

— Tego nie mówiłam. Przeciwnie, podobał mi się jego stosunek do psa. Kto w całych naszych górach miałby odwagę podejść do Jerry'ego i to wtedy, gdy przedtem go zranił?

Odwróciła się z uśmiechem do Naira:

— Odważyłbyś się, Jim?

— Położyć palec na jego nosie?

— Tak, ryzykując, że za chwilę nie będziesz miał ręki.

Bandyta zadrżał.

— Widzisz, bałbyś się — powiedziała dziewczyna.

— A Train nie bał się ani trochę.

Naira rozwścieczyły te porównania, jak człowieka, który musi zejść z piedestału, by wpuścić tam kogoś innego, a Train stojąc pod oknem i pijąc chciwie każde

słowo dziewczyny, uśmiechnął się na widok rozzłoszczonej twarzy herszta.

— Musi znać jakieś sposoby — powiedział Nair wreszcie. — Myślę, że nikt by się na to, bez tej wiedzy, nie odważył. A jeżeli o mnie chodzi, to my się z Jerryem znamy. Prawda, piesku?

Ostatnie słowa skierowane były do psa siedzącego wciąż w kącie, ale Jerry mierzył bandytę mało życzliwym spojrzeniem błyszczących oczu.

— Nie podchodź do niego, Jim — przemówił Courtney. Cały czas pogrążony w swych myślach, teraz nagle obudził się na widok wstającego Naira. — Nawet ja nie daję sobie rady z tym psem. Słucha tylko Alicji. Nikt inny na całym świecie nie poradziłby sobie z tą bestią.

— Chyba Steve Train — powiedziała dziewczyna.

Te słowa smagnęły Naira jak biczem. Podszedł bliżej do psa.

— Zobaczymy — powiedział.

— Jim! — krzyknął Courtney. — Nie bądź szaleńcem. Mówię ci, że nie poradzisz sobie z tym psem.

— Ależ on się mnie boi — powiedział Nair z przechwałką. — Patrzcie na niego. Skoro umiem sobie poradzić z bronią ludzką, dam radę psim zębom. Spokojnie, Jerry.

To mówiąc, podchodził coraz bliżej do psa, z ręką wyciągniętą w jego kierunku.

— Jim — powiedział Courtney. — Będę musiał zabić psa, kiedy na ciebie skoczy. Po co to robisz?

I wyciągnął rewolwer, by go mieć w pogotowiu. Ale Alicja powstrzymała ojca.

— Czekaj — szepnęła. — Chcę widzieć...

Najwidoczniej ponosiła ją ciekawość, jak wypadnie spotkanie bestii z olbrzymem. Trainowi, który patrzył na tę scenę, jej okrucieństwo wydało się wstrętne. Spojrzał na nią innymi oczyma.

Nair podszedł blisko i już niemal dotykał dłonią nosa wilka. Wilczur zjeżył sierść, oczy zapłonęły mu na zielono, wargę podniosła się i obnażyła straszne zęby. Z gardzieli jego wydarł się straszny ryk wściekłości.

Train spojrział w tej chwili na Alicję. Przyglądała się blada jak płótno, ale spokojna, z takim zainteresowaniem, jak gdyby czytała zajmującą książkę. Nair cofnął się o krok, mrużąc coś pod nosem. Jerry położył się na miejsce. Nair był blady, a twarz miał pokrytą kroplami potu.

— Diabeł siedzi w tej bestii — powiedział gniewnie. — Ale niewiele potrzebowałbym czasu, by go oswoić.

— Co byś z nim robił? — spytała.

— Co? Smagałbym go — powiedział z dumą.

Nie odpowiedziała mu wprost, ale szepnęła cicho:

— Do mnie, piesku.

Zwierzę od razu wstało i podeszło do swej pani, kładąc się u jej stóp. Pies był tak olbrzymi, że leżąc opierał głowę o jej kolana i patrzył w jej oczy z miłością niewolnika.

— Kiedyś jeszcze zrobi ci krzywdę — ostrzegł Nair.

Ale ona potrząsnęła głową przecząco:

— My się rozumiemy z Jerryem — powiedziała.

Wczepiła palce w jego gęstą sierść, a ogon psa rytmicznie uderzał o podłogę.

Tymczasem szynka była gotowa. Zjedli ją z chlebem,

popili jeszcze raz kawą. Nair wstał, ale był jakiś zmieszany.

— Chciałbym sam na sam pomówić z twoim ojcem — powiedział do Alicji. — Czy zechciałabyś wyjść z Chuckiem?

Wyszli, a pies zaraz za nimi. Gdy Jerry mijał okno, Train spostrzegł, że rana na pysku już mu się zagoiła.

ROZDZIAŁ XXX

Siła uczciwości

Gdy dwaj starzy ludzie zostali sami, Courtney powiedział:

— I cóż się stało znowu, Jim? Nie chcę wiele wiedzieć, bo z pewnością znowu jakaś gruba grabież: włamanie, zbrodnia. Zmieniłeś się, Jim.

Pod wpływem głosu starego przyjaciela, Nair speszył się.

— Trzeba jakoś żyć — mruknął ponuro.

Courtney wzruszył ramionami w milczeniu.

— Co ci powiedziała Alicja? — spytał Nair.

— O tobie?

— Oczywiście.

— Oświadczyła mi, mimo moich perswazji, że dała ci słowo i musi go dotrzymać.

— Mimo twoich perswazji — powtórzył Nair gorzko.

— A czego się spodziewałeś? Przecież powiedziałem ci szczerze, co myślę o tym związku. Powinieneś być to zrozumieć.

— A ty powinieneś zrozumieć, że to również i dla twojego szczęścia.

— Mojego szczęścia? — zdziwił się Courtney łagodnie.

— Ależ ja zawsze wierzyłem w twoją przyjaźń i życzliwość.

Nair zaczerwienił się.

— To nie takie proste, Jim — powiedział Courtney. — Muszę wyznać, że nieraz budziły się we mnie wątpliwości.

— Jakie?

— Zachowujesz się ostatnio tak, jak gdyby ci nie zależało na niczym. Możesz łatwo stracić wszystko.

— Czego możesz ty mnie pozbawić?

— Przyjaźni uczciwego człowieka, Jim.

— Nie jesteś moim przyjacielem, Tom. Mówię szczerze.

— Jedynym, mówię ci to poważnie.

— Chyba żartujesz. Mam przecież pomocników, moich ludzi.

— To łotry czekające na łupy, tchórze, którzy się ciebie boją, słabi, co podziwiają twoją siłę.

— Tom, nie zniosłbym takich słów od nikogo na świecie.

Tom ściągnął brwi:

— Cóż ja takiego mówię? Tylko to, co myślę. Wiem, że większość twego życia jest splamiona, czy nie mogę zatem wątpić w twoją szczerą wobec mnie. Wiesz, że u mnie zawsze, mimo to, znajdziesz życzliwość, choć niepopartą pieniędzmi.

— Surowo do mnie przemawiasz — powiedział Nair.

— Jestem twoim przyjacielem i w dodatku szczerym.

— Tom, czy chcesz powiedzieć, że niesłusznie zrobiłem, wchodząc na drogę przestępstwa? Czy uważasz, że nie miałem do tego powodu?

— A czy uważasz, że to dostateczny powód: niepowodzenie w interesach i emigracja na zachód?

Train omal nie jęknął. Te słowa dowiodły, że Nair i Cartwright to jeden i ten sam człowiek. A więc pieniądze mu się należą.

— Niepowodzenie w interesach, to za mało powiedziane — ciągnął Nair. — Byłem pobity na głowę, podeptany przez społeczeństwo. Postanowiłem siłą brać to, czego mnie pozbawiono.

— I zacząłeś brać sobie za każdego straconego dolara dziesięć, Jim. Czy nie sądzisz, że to lichwa?

— Chcesz koniecznie spojrzeć na mnie z najgorszej strony, Tom.

— Nie, bynajmniej. Przyznaję, że jesteś dla mnie dobrym przyjacielem. Trochę zraziłeś mnie, prosząc Alicję, by była twoją żoną, ale trudno...

— Bóg wie, że nigdy przedtem o tym nie myślałem, Tom. Ale mówmy wreszcie o niej.

— To, co ci o niej powiem, nie sprawi ci przyjemności — powiedział Tom.

— Co takiego? Mów... — szepnął Nair. — Co ci powiedziała?

— Nie kocha ciebie, Jim.

Nair chwilę milczał. Potem powiedział powoli:

— Bywa tak, że kobieta zaczyna potem kochać. Wi-działem już to.

— I ja słyszałem, że tak bywa, ale nigdy nie widziałem tego z bliska. Ona mimo to, chce dotrzymać danego ci słowa.

— Czy wyznała ci, że mnie nie kocha, Tom?

— Nie, ona się nie zwierza. Ja sam zrozumiałem. Potarzała tylko, że musi za ciebie wyjść, bo dała słowo.

— Aha! — krzyknął z ulgą Nair. — Więc nie mówiła ci, że mnie nie kocha? To tylko twoje domysły?

— Czy kobieta musi to mówić? To się czuje. Czy na przykład dziś witała cię z takim wyrazem twarzy jak zakochana dziewczyna?

— Cóż miała zrobić? Rzucić mi się na szyję w obecności Logana? Nie, na to jest zbyt dumna...

— Najdumniejsza dziewczyna na świecie nie potrafi ukryć swych uczuć — powiedział Tom. — Na miłość boską, Jim, czy doprawdy nie wiesz, jak się zachowuje kobieta w obecności mężczyzny, którego kocha? — Głos Toma był pełen bólu.

— Nigdy się tym nie zajmowałem — odparł ponuro Nair. — Nie miałem czasu na dziewczęta.

— Nair, twarde z ciebie mężczyzna. Ale obserwowałem cię dziś, gdy się tu zjawiłeś: oczy ci błyszczały, twarz bladła, ledwie mogłeś mówić. I to wszystko na widok Alicji.

Nair zaczerwienił się.

— Mam za sobą daleką drogę. Miałem ciężką noc.

— Przykrości nigdy tak się nie odbijają na mężczyźnie. To miłość, Nair. Przyznaj się. I jeżeli miłość tak zmienia takich jak ty, to jak wyglądałaby Alicja na widok ukochanego? Jej serce malowałoby się na twarzy tak, jak gdyby

była cała ze szkła. Nie, nie Jim. Mądry z ciebie człowiek, ale na kobietach nie znasz się. Wybacz mi, że ci to mówię. I po co ryzykowałeś z psem? Chciałeś jej zaimponować?

— Sprowokowała mnie do tego.

— Czym? Powiedziała tylko, że Train się go nie lękał.

— Nie pozwolę, by inny mężczyzna zwyciężył mnie w jej oczach. Możesz to jej powiedzieć.

— Powiedz jej to sam.

Nair jęknął:

— Zamorduję to wstrętne psisko.

— I tym samym raz na zawsze zrazisz ją do siebie — powiedział Courtney spokojnie.

— Na miłość boską, Tom, czy wszystko ma zależeć od psa?

— Zbyteczne były te dzisiejsze próby z psem.

— Train robił to samo — odparł Nair.

— Train to chyba nie lada chłopak.

— Train... — zaczął Nair, ale urwał w porę.

— Co Train? — podchwycił Tom. — Chciałbym się czegoś o nim dowiedzieć. Alicja opowiada o nim całe wieczory. Jak wygląda, jak mówi, jak się ubiera, jak jeździ konno i jak strzelał z rewolwerów w mojej obronie w mieście.

— Szkoda, że mnie tam nie było — powiedział Nair przez zęby.

— I ja żałuję — kontynuował Tom. — Widziałbyś jeden z nielicznych aktów szaleńczej wprost odwagi. Kiedy opuściłem zaraz potem miasto, chwycił mnie mój atak sercowy. Jedyłą moją myślą było nie zdradzić się przed

Trainem z moją słabością. Wstydzilem się go, Jim. Pozwoliłem mu więc odjechać bez słowa podziękowania z mojej strony. Zniósł to jak prawdziwy mężczyzna, Jim. Nie powiedział nic, tylko spojrzął mi w oczy... Każdy inny na jego miejscu przeklinałby mnie jako niewdzięcznika.

— Musiał mieć jakieś powody ku temu — odparł Nair bez zachwyty, a Train stojący pod oknem coraz więcej rozumiał z tej całej historii, w którą się wplątał.

— Ale zostawmy już rozmowę o Trainie — mówił dalej Jim do Toma. — Mówmy lepiej o tym, kiedy będzie ślub i dokąd wyjedziemy po ślubie.

— Tak, na ten temat mam także wiele do powiedzenia. Chcę ci powiedzieć...

W głosie jego było tyle surowości, że Nair szybko mu przerwał:

— Muszę jeszcze powiedzieć, Tom, że do tych kilkuset tysięcy, o których była mowa poprzednio, dodałem dziesięć tysięcy wcale pokaźną sumkę.

Podniósł płócienny worek i wysypał jego zawartość na stół.

— Powinno tu być około ćwierć miliona. Licz, Tom, a przekonasz się sam.

— Wierzę ci na słowo. Ktoś dal ci tyle pieniędzy?

— Oczywiście — odparł Nair z uśmiechem. — W każdym razie mam jeszcze prócz tego pięćdziesiąt tysięcy dolarów w oddzielnej paczce i innego pochodzenia. Jeżeli to wszystko umieścimy na sześć procent, możemy spokojnie żyć, bez żadnych trosk.

— Właśnie o tym chciałem z tobą mówić, Jim — ciągnął

Tom. — Uprzedzam cię, że nie wydam ani centa z twoich pieniędzy, nie będę używał ani twego konia, ani siodła, nie będę mieszkał w domu, w którym ty mieszkasz. Myślałem wiele nad tym po naszej rozmowie. Widzisz i ja zmieniłem nazwisko i przybyłem na zachód z podobnymi jak ty zamiarami. Ale nie mogłem wybrać drogi przestępstwa. Było coś silniejszego ode mnie: moc uczciwości. Siła, z którą się człowiek rodzi. I ta siła zabrania mi korzystać z twojej pomocy, Jim. Dla ciebie to jest trzysta tysięcy, dla mnie to kupa brudu, więcej niż brudu. To pieniądze skradzione innym ludziom, przyjacielu, i ja ich nie chcę nawet dotykać.

ROZDZIAŁ XXXI

Za oknem

Zmierzając do jednego celu, Courtney, sam nie wiedząc o tym, trafił do drugiego. Każde słowo, każda sylaba, którą wymówił, szły wprost do serca Traina. Było tak, jak gdyby Tom wiedział, jakie myśli i jakie wątpliwości przeszywały serce Traina w ciągu ostatnich dni i jak gdyby na te właśnie wątpliwości mu odpowiadał.

Pod wpływem tych słów Train zobaczył przed sobą twarze setek ludzi, z którymi zetknął się w czasie swych awanturnicznych wędrówek. Wszyscy ci ludzie byli od niego słabsi, a jednak teraz wspomnienie ich ciążyło mu ogromnie. Ci ludzie byli uczciwi i na tym polegała ich siła. Ta siła kazała Comstockowi oddać zapomniane pieniądze. Ta siła pędziła Greshama w pogoni za nim. Jakże

wielki Nair wydawał mu się teraz mały wobec Toma Courtneya!

Tymczasem Nair szukał w głowie argumentów, które przekonałyby Toma, ale jedynym argumentem były dla niego pieniądze, a na ten głos Tom był głuchy.

— Kim jest ten człowiek? — myślał Train. — I czemu zmienił nazwisko?

Na to pytanie nie było już odpowiedzi i mimo że z całym wysiłkiem łowił każde słowo padające za oknem, nie dowiedział się nic nowego.

Ale od tej chwili wiedział jedno: że jego dawna osoba umarła, by więcej nie powstać. Zniknął gdzieś na zawsze szalony awanturnik, szuler ogrywający ludzi w karty, śmiałek grożący w górach celnym strzałem z rewolweru, łazik szukający po świecie pieniędzy i wątpliwej sławy. Narodził się nowy Steve Train, nieznany jeszcze nikomu, pełen obiecujących, wspaniałych nadziei.

I nagle opadły z niego wszelkie wątpliwości. Nie lękał się już spotkania z Nairem. Czuł, że za nim stoi potężna siła sprawiedliwości i prawa. Przez głowę przeleciały mu znowu, jak cienie, wspomnienia setek jego złych postępów i pomyślał, że Bóg musi mu dać siłę na to, by rozpocząć inne życie, dla dobrej, słusznej sprawy.

Train czuł się w tej chwili silny jak człowiek nawrócony z drogi zła. Był przepelniony nową nadzieją.

— Widzę teraz — powiedział w pokoju Jim Nair — że nienawidziłeś mnie, tylko ukrywałeś swoje prawdziwe uczucia.

— O nie! To nieprawda! Nieprawda! — powiedział Tom szybko. — Nie uznawałem twojego sposobu życia

nigdy, ale uważałem, że nie mam prawa robić ci wymówek. To była twoja i wyłącznie twoja sprawa. Możesz sobie i dalej żyć tak, mówię ci tylko, że ja z tym twoim życiem nie mogę mieć nic wspólnego.

— Przypuszczam — powiedział Nair ponuro — że i Alicji zabroniłeś mieć coś z tym wspólnego?

— Nie mówiłem z nią o tym. Alicja jest już dorosła. Powinna sama decydować o swoim życiu.

— Jaka jest jej opinia?

— O twoim sposobie życia?

— Tak.

— Nie sądzę, żeby się wiele nad tym zastanawiała. Mówiła mi kiedyś, że opowiedziała jej, jak to w młodości pozbawiono cię twego majątku i że ty sam postanowiłeś odebrać ten majątek społeczeństwu. Alicja zna cię od lat i jest w głębi duszy przekonana, że więcej w tobie dobra niż zła. Ale powiedz mi, w jaki sposób zmusiłeś ją do obietnicy małżeństwa z tobą?

— Nie... nie chcę o tym mówić — odparł krótko Nair.
— Courtney, zraniłeś mnie boleśniej niż ktokolwiek dotychczas. Powiedz mi, czy myślisz, że chciałem cię oszukać? Jeżeli tak, to gotów jestem natychmiast uczciwie podzielić mój cały majątek na trzy równe części i dać ci gotówką trzecią część do ręki. Czy wtedy mi uwierzysz?

— Jesteś zbyt hojny dla mnie, Jim. Nie chcę ani centa od ciebie. A zresztą powiedz, czy masz prawo do tych pieniędzy, które leżą w tej chwili przed tobą? Czy możesz się nimi dzielić?

— Jak to?

— Mam na myśli twoją bandę. Przecież obowiązuje cię podział łupów.

— Nigdy więcej nie zobaczę mojej bandy.

— Zerwałeś z nimi?

— Czy sądziłeś — powiedział Nair z fałszywym oburzeniem — że mógłbym być jednocześnie mężem Alicji i stać na czele bandy łotrów? Tom, nie doceniasz mnie.

— Zadałem ci tylko pytanie. Nie sądziłem ciebie przecież. Ale prócz całej bandy jest jeszcze ktoś, kto ma udział w tym zysku. Zapomniałeś o Loganie.

— Co Logan?

— Pomógł ci, zdaje się, zdobyć pieniądze dziś w nocy.

— Może. Może trochę.

— Czy pozwoli ci oddalić się bez otrzymania części łupu?

— Czy on mi pozwoli? Dam sobie radę z Loganem i dziesięcioma takimi jak on. Ma dość pieniędzy. Jeżeli będzie miał więcej, będzie je wyrzucał garściami. Obejdzie się bez tej części łupu.

Tom Courtney patrzył spokojnie w twarz gościa, ale Train widział wyraźnie, jak na twarzy jego maluje się pogarda, a nawet wstręt.

— Zaczynam dopiero teraz naprawdę cię poznawać, Jim.

— Czy chciałbyś, bym obrabował Alicję na rozkaz zwykłego rzezimieszka? — spytał Nair z tym samym oburzeniem.

Ale Courtney tylko dłonią nakazał mu milczenie. Po-tem zapalił fajkę i zasiadł przed kominkiem, pogrążony w myślach.

— Powiedz mi jedno— rzekł Nair łagodnie — co byś powiedział, gdyby Alicja odjechała ze mną?

— Ja? Nic. Trochę samotności nie zaszkodzi.

— A twoje serce, stary?

— Im szybciej, tym lepiej. Jestem gotów na śmierć. Ale sądzę, że nie masz potrzeby spieszyć się ze ślubem.

— Pomówię z nią o tym. Pomówię natychmiast. — Wprowadź ją tutaj. Ja wyjdę na dwór.

— Nie, zostań na miejscu, Tom. Przyprawdzą ją tutaj, ale ty zostań!

Wrzucił pieniądze rozłożone na stole do płóciennej torby. Zarzucił sobie tę torbę na ramię i wybiegł z pokoju, pokiwawszy dłonią Courtneyowi. Tom uniósł się na krzesło, jak gdyby chcąc przywołać go z powrotem, ale nie miał siły. Na twarzy jego malował się ból. Patrzył na płonące w kominku szczapy, przepełniony lękiem o los ukochanej córki.

Train sam potem nie wiedział, co pchnęło go do tego czynu, ale jednym susem przesadził okno i znalazł się w pokoju.

Ściągnął na swą głowę straszliwe niebezpieczeństwo. Nair powinien był za chwilę wrócić, a ujrzawszy go, nie pożałuje kulki. Mimo to jakaś nieodparta siła pchała go do rozmowy z Tomem.

Stał chwilę pod oknem,. Stary człowiek odwrócił głowę. Nie wypuszczając fajki z ust, powiedział tylko:

— Cóż tam?

Train milczał. Wtedy tamten powtórzył:

— Czego pan chce?

— Pomówić — na to Train.

Na dźwięk tego głosu Courtney odwrócił się na krześle i ze zdumieniem, przyglądał się dziwnemu przybyszowi. Ogarnął wzrokiem strój w lachmanach, bandaż na głowie, czerwoną smugę zaschniętej krwi na policzku.

— Czy mnie pan poznaje? — spytał gość.

— Nie — odparł Courtney.

— Jestem Train.

— Czy jesteś w biedzie, Train?

— Tak.

— Ścigają cię?

Na to pytanie Train uśmiechnął się wyrozumiale.

— Jestem otoczony ze wszystkich stron. Z jednej ścigają mnie ludzie z Creighton, z drugiej czyha na mnie Nair.

— Nair?

— Tak.

— Czego on chce od ciebie?

— To jego sprawka — powiedział Train wskazując na zranioną głowę.

— Nair cię postrzelił?

— Tak.

— Kiedy?

— Gdy w trójkę dokonaliśmy włamania do banku w Creighton.

— I po drodze pokłóciliście się?

— Nie. Nair na mnie napadł.

— A po coś tu przyszedł? Po swoją część łupu czy po kulkę w łeb? I czemu mówisz o tym ze mną?

— Gdy znalazłem się pod tym oknem, byłem w trzech

czwartych mojej istoty lotrem, a tylko w jednej czwartej uczciwym człowiekiem. Wysłuchałem pańskich słów i teraz została we mnie zaledwie jedna trzecia lotra.

Uśmiechnął się we właściwy sobie sposób.

— Czy wiesz, że Nair lada chwila wróci tu do pokoju?

— Spodziewam się tego.

— Czy zamierzasz z nim walczyć?

— Jeżeli będzie trzeba.

— Czy jedna walka nie starczy tej nocy?

— Nie, panie Courtney.

W oczach starego człowieka zobaczył błysk, który wydał mu się błyskiem sympatii.

— Czego oczekujesz ode mnie, Train?

— Że nie pozwoli pan na ten ślub.

Tom ściągnął gniewnie brwi:

— Posłuchaj mnie, mój przyjacielu — odparł. — Kiedy byłem młody, kochałem pewną dziewczynę. Rodzice jej nie chcieli pozwolić na małżeństwo ze mną. Przysiągłem sobie wówczas, że jeżeli będę miał córkę, nie będę stał jej na przeszkodzie do żadnego małżeństwa. Muszę dotrzymać przyrzeczenia danego sobie.

— Ależ istnieje różnica między stawianiem przeszkód, a poinformowaniem jej, jak sprawa wygląda. Niech usłyszy tylko jedno opowiadania o zachowaniu się Naira dzisiejszej nocy, o jego zamiarze oszukania Logana. Czy sądzi pan, że to jej nie zrazi?

— Czy znasz ją, Train?

— Tak.

— Ile razy z nią rozmawiałeś?

— Raz.

Stary człowiek poprawił się na krześle i spytał, patrząc w oczy Trainowi:

— Co to wszystko znaczy?

— Nic. Widziałem ją raz, ale poznałem doskonale.

— Co o niej sądzisz?

— Jest czysta jak Dziewicze Skały, panie Courtney, szczerza jak stal, a naiwna jak nowo narodzone dziecko.

Na tę krótką i ścisłą odpowiedź Courtney uśmiechnęła się i twarz mu dziwnie odmłodziła.

— Dziwny z ciebie chłopak, Train — powiedział spokojnie. — Przyszedłeś tu nie tylko po to, by rozprawić się z Nairem, ale także, żeby ratować tę głupiutką dziewczynę. Tak?

— Tylko ja potrafię tego dokonać.

— Czy chcesz z nią sam mówić?

— Przedtem muszę pomówić z Nairem.

— I doprawdy chcesz się z nim spotkać?

— Kiedy go spotkam — powiedział Train spokojnie — zabiję go i w ten sposób sprawa będzie załatwiona.

Twarz Courtneya nabrała powagi:

— Dobrze — odparł spokojnie. — Równa walka jest zawsze uczciwa. Ale jeszcze powiedz mi, po co wstąpiłeś do bandy Naira?

— To zbyt długa historia.

— To ją skróć.

— Postaram się. Był raz pewien uczciwy człowiek, który wplątał swego przyjaciela w złe interesy. Ten przyjaciel poszedł na złą drogę, nie przyjął pomocy od tamtego, i udał się na zachód, zostawiając przyjacielowi owe,

bezwartościowe wtedy, papiery. Tymczasem akcje po latach poszły w górę i okazało się, że ów zbiegły na zachód człowiek zarobił na nich, sam nie wiedząc o tym, pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Rozumie pan?

— Rozumiem. Pański uczciwy człowiek schował zapewne sobie do kieszeni pieniądze przyjaciela.

— Nic pan nie rozumie. Uczciwy człowiek nie wiedział, gdzie się podziewa dawny wspólnik, ale podejrzewał, że pewien słynny bandyta, grasujący w górach, to ten jego dawny przyjaciel. Wobec tego zaczął szukać kogoś, kto by zawiózł bandycie te pieniądze. Rozumie pan teraz?

— Tak. To bardzo dziwna historia.

— Ten stary, który mi zawierzył, był taki dobry, taki łatwowski, że nie byłem w stanie go oszukać. Sam się temu dziwiłem, ale naprawdę nie mogłem.

Potrząsnął głową jak gdyby jeszcze teraz nie mógł się nadziwić i po chwili dodał:

— Bandytą w tej historyjce jest Nair.

Tom wydał okrzyk zdumienia.

— Wydaje się to panu dziwne? Mnie także się tak wydawało. Ale ten staruszek był tak pewien, że Nair jest jego zaginionym przyjacielem, że ruszyłem śladem Naira.

Trafiłem wreszcie do bandy Naira; już chciałem wręczyć te pieniądze, ale kiedy go zobaczyłem, ogarnęły mnie wątpliwości, czy to ten sam człowiek, o którego chodzi memu staruszkowi. Postanowiłem pozostać przy nim i obserwować go, zanim wręcę mu gotówkę. Nadarzyła się właśnie ta afera z bankiem; musiałem wziąć w niej udział, by nie stracić z oczu Naira. Nastąpiły wypadki

dzisiejszej nocy. Miałem coraz poważniejsze wątpliwości, co do tożsamości Naira, ale nie byłem jeszcze pewien. Tymczasem nastąpiło coś nowego. Pewien oszust, który w swoim czasie wprowadził mnie do owego uczciwego staruszka i który liczył na to, że go wspólnie obrabujemy z owych pięćdziesięciu tysięcy i podzielimy się łupem, uważał się teraz za oszukanego i postanowił się zemścić. Udał się do Naira i opowiedział mu zmyśloną historię o tym, jakoby to jemu powierzono te pieniądze, a ja je miałem zrabować. Dziś w nocy Nair napadł mnie, postrzelił i zabrał mi, gdy leżałem nieprzytomny, ów depozyt. Przybyłem tu, by mu go odebrać.

— Mój Boże — powiedział Tom zdumiony. — To najdziwniejsza historia, jaką zdarzyło mi się słyszeć. Cóż to były za akcje?

— Źródeł nafcianych.

Courtney poprawił fajkę w zębach, oczy mu się rozszerzyły, gdy pytał:

— Czy ów uczciwy człowiek nazywa się Comstock?

Teraz Train się zdziwił.

— Tak, Comstock.

— A człowiek, który był niegdyś jego przyjacielem nazywał się James Cartwright?

— Tak — powtarzał zdumiony Train. — Czy pan umie czytać w myślach ludzkich? Co pan wie o tym człowieku?

— Więcej niż ktokolwiek na świecie.

— Niech pan mi powie.

— Ma pan przed sobą w tej chwili Cartwrighta.

— To pan?! — krzyknął Train.

Patrzyli na siebie długą chwilę w milczeniu. Potem Tom Courtney spytał:

— Czy Nair wiedział, dla kogo były przeznaczone te pieniądze?

— Oczywiście. Rainier mu powiedział.

— Wiec zabrał pieniądze należące do mnie. To była owa paczka, którą mi pokazał, mówiąc, że te pieniądze są z innego źródła i że jest ich pięćdziesiąt tysięcy.

— Jest dość bezczelny. Słyszałem, jak to mówił — powiedział Train. — Ale co dalej? Co teraz zrobimy?

— Następnym krokiem będzie spokojna rozmowa z panem Nairem — powiedział Tom, a twarz jego stężała jak żelazo.

— Czy może pan mi jeszcze powiedzieć, jak nastąpiło to pomieszenie nazwisk?

— Bardzo łatwo. Mojemu ojcu uratował życie człowiek; który nazywał się James Nair. Na pamiątkę tego faktu dał mi ojciec te imiona: James Nair, które nosiłem wraz z nazwiskiem Cartwright. Nair jest zaś synem tamtego zbawcy mego ojca. Stąd ten zbieg okoliczności.

— Tak, to jasne. Ale w jaki sposób przypadek sprowadził Naira w te same, co pana okolice?

— Nair wpadł w tarapaty. W tym czasie byłem z nim w kontaktach, mieliśmy wspólne interesy, więc potem wywędrowaliśmy razem.

— Jak Nair się teraz zachowa?

— Nie wiem. Zapewne wymyśli jakieś kłamstwo. W każdym razie Alicja musi być świadkiem tego spotkania.

Train uśmiechnął się.

— Wskoczę z powrotem za okno. Będę w pogotowiu. Kiedy trzeba będzie strzelać, zjawię się natychmiast.

— Jaki to zbrodniarz z tego Naira i jak potrafi być jednocześnie obłudny — zdążył jeszcze powiedzieć James Cartwright, gdy za drzwiami rozległy się kroki.

— To on — syknął Cartwright.

Train jednym susem znalazł się za oknem. Tymczasem w drzwiach ukazał się Logan.

— Więc panie Courtney — powiedział wchodząc — niech pan da mi zaraz tę gotówkę, bo jadę w drogę.

— Jaką gotówkę? — spytał zdumiony Cartwright.

— No tę, którą Nair zostawił panu dla mnie i dla bandy. Naszą część łupu.

— Zostawił u mnie?

— Tak. Proszę ze mną nie żartować. Gdzie jest gotówka? Muszę ją natychmiast mieć. Nie dam oszukać siebie i towarzyszy.

— Mówisz jak obłąkany. Ja nie mam żadnych pieniędzy.

Dłoń Logana schwyciła za rewolwer u pasa.

— Courtney — powiedział groźnie. — Byłem panu zawsze życzliwy. Uważałem pana za człowieka szczerego. Ale jeżeli pan chce oszukać mnie i chłopców, to może być pan pewien, że nie wyjdzie pan stąd żywy.

— Logan, może mnie pan obszukać i nie znajdzie pan ani centa. Nair żartował sobie z pana. Niech pan go zawoła, a sam panu powie.

— Zawołać go? W jakim sposób, kiedy odjechał już dawno na pańskim kasztanie.

— Co takiego? — krzyknął Train wskakując przez mokno do pokoju.

Logan obejrzał się i wydał okrzyk przerażenia.

— Ja jestem niewinny tej śmierci! — krzyknął.

— Odejdź duchu.

— Nie jestem duchem, Logan — odparł Train. — Opamiętaj się, Chuck. Co opowiadasz, że Nair uciekł?

— Tak. Powiedział, że zostawił u Courtneya gotówkę dla mnie i dla bandy i że odjeżdża z dziewczyną. Że umówił się z Tomem daleko w górach.

ROZDZIAŁ XXXII

Wycie wilka

Słowa te uderzyły jak grom w obu mężczyzn. Cartwright zaniemówił z rozpacz, patrząc wprost na Traina.

— Czy dziewczyna nic nie mówiła? — spytał Train Logana.

— Mówiła — posiedział Chuck. — Wzięła mnie na bok i powiedziała, że odchodzi z Nairem, bo Nair jej powiedział, że ojciec sobie tego życzy. Że nie ma sił żegnać się z ojcem, bo nie mogłaby już usłuchać jego rozkazu. Ale gdy się spotka z ojcem nazajutrz rano...

Przerwał mu zachrypiły okrzyk wściekłości Cartwrighta.

— Słuchaj — powiedział Train do Chucka — on nas wszystkich oszukał. Nie zostawił żadnych pieniędzy, ani dla ciebie, ani dla bandy. Odszedł na zawsze i jeżeli tej nocy my trzej go nie dogonimy, nie zobaczymy go więcej.

Zrozumiałeś? Okłamał dziewczynę i zabrał z sobą, by ją poślubić...

Train drżał z oburzenia. Zwrócił się do Cartwrighta i spytał:

— Czy uda nam się dogonić go tej nocy? Myślę, że mamy jedną szansę na milion, ale lepiej próbować tej szansy niż siedzieć tu spokojnie.

Wybiegli jak szaleni z domu i rzucili się ku koniom Cartwrighta. Ale dwa najlepsze i najbardziej wypoczęte konie ruszyły już w drogę z bandytą i dziewczyną. Pozostało też tylko jedno siodło, Train i Logan dosiedli koni na oklep.

— Train, prowadź nas! — zawołał Cartwright.

— Czy zna pan drogę do najbliższego pastora? — spytał Train.

Cartwright jęknął:

— Czy sądzisz, Train...?

— Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości. Nakłamał dziewczynie, że pan kazał jak najszybciej im się pobrać, bo zaraz potem musicie we troje uciekać z łupem do innego stanu. Dziewczyna uwierzyła, więc na pewno pojechali Wziąć ślub

— Jedźcie za mną. Znam drogę do najbliższego pastora! — zawołał.

Pędzili najpierw wśród lasu, wypadali na otwarte polany, przemierzali pastwiska. Po przejechaniu ośmiu mniej więcej kilometrów, zwolnili galop. Przybyli bowiem do małego miasteczka, błyskającego światelkami w oknach. Zatrzymali konie przed małym domkiem, przitulonym do kościoła. Cartwright zeskoczył z konia, ale

Train był już przed nim i pociągnął za dzwonek u drzwi.

Otworzyła jakąś kobieta.

— Pastora! — wrzasnął Train.

— Och! — przestraszyła się kobieta. — Kim jesteście?

Train odsunął ją gwałtownie i wpadł do mieszkania.

W małej bawialni siedział siwowłosy pastor i czytał książkę. Spojrzał zdumiony na Traina.

— Przyjacielu — zawołał Train — czy dałeś przed chwilą ślub pewnej parze?

— Tak — odparł przerażony pastor. — Co w tym złego?

— Słuchaj mnie. Czy to był mężczyzna w średnim wieku i dwudziestoletnia dziewczyna?

— Kim jesteś, że mam ci odpowiadać?

— Wysoki mężczyzna o czarnych oczach i śliczna dziewczyna?

— Tak, bardzo piękna para — powiedział pastor.

— Ty głupcze! — krzyknął Train. — To był Jim Nair! Jim Nair.

Słowa jego zrobiły większe wrażenie niż gdyby groził pastorowi rewolwerem. Przeważony duchowny padł na kolana, mamrocząc jakiś pacierz.

Train wypadł na dwór, by zawiadomić towarzyszy o tym, co się stało.

— Stało się! — krzyczał wsiadając na konia. — Ale Bóg da, a dogonimy ich przed rankiem!

— Musimy mieć lepsze konie. Może dostaniemy tu w mieście.

— Nie mamy ani chwili czasu — dodał Train. — Jedźmy, na miłość boską!

Nie uległo wątpliwości, że Nair po ślubie musiał pędzić co sił na południe, nad brzeg Rio Grande. Przedostawszy się przez rzekę, będzie uratowany, a dziewczyna zgubiona na zawsze.

— Może Alicja spostrzeże się, że coś jest nie w porządku, kiedy będą tak szybko jechali na południe — pocieszał się ojciec. — A jeżeli zrodzi się w niej podejrzenie, zechce wrócić. Nair nie będzie mógł jej zmusić do uległości.

— Może nie użyje przemocy — pocieszał się Train — ale za to wynajdzie setki kłamstw. Skoro oszukał takich doświadczonych ludzi, czyż nie nabierze młodej, naiwnej dziewczyny?

Cartwright milczał. Pędzili przed siebie jak szaleni. Ale w pewnej chwili koń Cartwrighta zaczął zostawać w tyle. Widocznie ciążył mu olbrzymi jeździec. Logan chciał jechać nieco wolniej, ale Train nie pozwolił:

— Każda sekunda spóźnienia może decydować tu o wszystkim — powiedział. Jedźmy jak najszybciej, pan pozostanie w tyle za nami.

— Dzielne chłopaki — powiedział Cartwright. — Jedźcie, jedźcie. Wynagrodzę was hojnie. Jeżeli zdobędziecie te pieniądze, podzielcie się we dwóch. Mnie już nic nie trzeba prócz mojej córki.

Głos jego rozwiął się na wietrze. Wyprzedzili go teraz tak, że nie mogli go już słyszeć. Byli teraz we dwóch zamiast we trzech, ale szczęście im sprzyjało. W tej okolicy jedna tylko ścieżka biegła wśród gór przełęczami.

Nie ulegało wątpliwości, że tym szlakiem jechał przed godziną Nair. — Za plecami usłyszeli przeciągłe wilcze wycie. Logan poznał je natychmiast.

— To Jerry, widocznie jest na tropie zbiegów. Jesteśmy na właściwej drodze, Steve.

Train nie odpowiadał. Cała jego uwaga była skupiona na szalonej jeździe.

Logan spytał go podczas drogi, jakimi pieniędzmi mają się podzielić, więc Train, przerywając co chwila opowiadanie, wyznał mu wszystko.

Wreszcie Logan powiedział:

— Dla dwu rzeczy pragnę jeszcze żyć na tym świecie, Train. Muszę zabić Rainiera i pomóc zabić Naira. Sam sobie z nim nie poradzę, ale mogę pomagać.

Train nie odpowiadał. Pędząc jak wichher przed siebie, był teraz zatopiony w dziwnej modlitwie. Od dawna stracił wiarę, ale teraz zaczął myśleć o tym, że tylu wielkich i mądrych tego świata wierzy, więc czemuż on miałby wątpić. Dotychczas raczej wierzył w konia, strzelbę czy siłę dłoni.

ROZDZIAŁ XXXIII

Nowa próba

Głos wilka rozlegał się ponuro wśród nocy. Train myślał, że ten głos może być dla niego znakiem, wiodącym go do celu.

Na tę myśl ogarnął go dziwny spokój i pewność siebie. Zdawało się, że nawet koń odczuł tę zmianę nastroju,

gdyż mimo znużenia ruszył szybciej i wyprzedził konia Logana.

— Czekaj na mnie — prosił Logan. — Zwolnij trochę, Steve. Nie dasz sobie sam rady. Musisz mieć pomoc. Nair jest straszny. Steve, czy mnie słyszysz?

Nie odpowiadał. Całym wysiłkiem zachęcał konia do szybszego biegu. Logan został już daleko za nim w tyle. Głos jego słabł coraz bardziej, aż umilkł. Train został w wielkiej ciszy. Sam. Sam musi teraz dokonać tego dzieła.

Ale niedługo trwała ta szalona jazda. W pewnej chwili Train poczuł, że koń pod nim słabnie. Na próżno zachęcał go jak mógł. Biedne zwierzę odpowiadało cichym rżeniem i szło coraz wolniej. Traina ogarnęło przerażenie. Nie dotrze do swego celu, nie spełni zadania.

Nagle usłyszał daleko za sobą monotony huk wód jakiegoś wodospadu, a jednocześnie odgłos kopyt końskich. Tętent wzmagał się z każdą chwilą. Rósł coraz potężniej. Nie ulegało wątpliwości, że zbliżają się jacyś ludzie na koniach.

Wkrótce potem usłyszał wołanie:

— Train!... Hop, hop! Train! Czekaj jeszcze, nie odpowiadając. Głos zbliżył się:

— Hooop, Train!

Poznał głos Greshama. Niezmordowanego Greshama. Wiernego sługi prawa. I Train, który jeszcze tego ranka uciekałby przed Greshamem, teraz złożył dziękczynnie dłonie na dźwięk jego głosu.

Cóż z tego, jeżeli nawet Gresham wtrąci go do więzienia

na resztę jego dni? Sam chętnie nałoży sobie kajdany, byleby przedtem widzieć dziewczynę wyzwoloną z przemocy tamtego bandyty.

Odpowiedział okrzykiem. Tętent kopyt końskich zbliżył się i po chwili z Trainem zrównała się Whimsy, niosąc na grzbiecie Greshama.

— Poddaję się, Gresham! — krzyknął Train, wznosząc z daleka dłoń nad głową. — Poddaję się! Zwołaj twoich ludzi, zakuj mnie w kajdany, rób ze mną co chcesz, ale teraz pędź jak najszybciej przed siebie. Musisz schwytać dwoje jeźdźców: mężczyznę na dużym kasztanie i dziewczynę na małym siwku. Ten mężczyzna to Nair!

— Milcz! — krzyknął detektyw. — Nie będziesz mi rozkazywać, Train.

— Gresham, jeżeli dasz jej umknąć z tym szatanem...

Gresham zatrzymał Whimsy. Wyglądała tak świeżo i dzielnie po długiej jeździe, jak gdyby dopiero co wyszła ze stajni, oczy jej błyszczały w blasku gwiazd. Tańczyła radośnie na miejscu, poznawszy natychmiast swego pana.

— Złaż z konia — rozkazał Gresham Trainowi.

Serce zadrżało w Trainie. Przez chwilę myślał o obronie. Ale było już za późno. Gdyby nawet zastrzelił Greshama, zwałiby się na niego cała banda jego ludzi wraz z pościgiem z Creighton, który się do detektywa przyłączył. Zginąłby wówczas niechybnie i nikt nie uratowałby już dziewczyny.

Zeskoczył posłusznie z konia i stanął przed Greshamem. Wiedział teraz tylko jedno, że wszystko przepadło.

Gresham również zeskoczył z Whimsy i nagle rozkazał:

— A teraz bierz tego konia! Szybko!

— Jakiego konia?

— Whimsy, ty głupcze!

Cóż dla niego znaczyły teraz te obraźliwe słowa? Wiedział tylko jedno: wolno mu dosiąść ukochanej, kłaczy. Wskoczył lekko na siodło, poczuł pod sobą muskularne, piękne ciało Whimsy.

— A teraz pędź do diabła! — ryknął Gresham. — Jedź galopem i zdobądź Naira dla siebie, dla mnie, dla całego świata!

Steve Train nie pojął w pierwszej chwili ani słowa. Odwrócił się w siodle i spytał:

— Co to znaczy?

— Spotkałem Cartwrighta, opowiedział mi wszystko. Wierzę, że jesteś uczciwy, chłopcze. Wierzę ci! Jedź, nie trać chwili!

Ostatnie słowa zginęły już w tętnie kopyt odtruwającej z miejsca Whimsy.

Gresham pozostał na miejscu. Szeroki uśmiech igrał na jego twarzy. Miał uczucie jak gdyby z łuku wypuścił zatrutą strzałę do upatrzonego celu.

Tymczasem nadjechali ludzie Greshama i policja z Creighton. Gresham dostał świeżego konia. Nie mógł się równać z Whimsy, ale niósł także doskonale. Detektyw martwił się, że zanim dojadą na miejsce, walka między szybkim Trainem i Nairem będzie już z pewnością rozegrana.

Train tymczasem pędził jak strzała, ogarnięty jedną tylko gorączkową myślą, nastawiony na jeden tylko cel. Nie miał nawet czasu zastanawiać się nad postępowaniem

Greshama. Pomyślał tylko, że dla tak ambitnego detektywa, jakim jest Gresham, musiało być wielkim poświęceniem zrezygnowanie ze schwytania słynnego bandyty.

A zaraz potem obudziła się w nim cicha nadzieja, że może jednak Gresham nie zechce go potem uwięzić, że daruje mu jego dawne winy i kto wie, czy nie oddadzą mu na zawsze Whimsy. To byłaby dla niego najpiękniejsza nagroda.

Z Whimsy rozpocznie nowe życie, życie od początku. Myśląc o tym, czuł, że ma już Naira w swym ręku.

ROZDZIAŁ XXXIV

Trzecia kula

Ujrzał ich o świcie.

Jechali przed nim ścieżką górską, kierując się ku szczytowi, który odcinał się ciemną plamą na jaśniejącym niebie.

Train chciałby w tej chwili mieć skrzydła, by w jednej sekundzie znaleźć się przy Nairze, ale zamiast przynaglać Whimsy, musiał ją w tej chwili z całej siły powstrzymać. Nie mógł zaryzykować, by Nair z daleka usłyszał tętent kopyt końskich. Musiał spaść na niego nagle jak burza.

Klacz zdawała się rozumieć intencje swego pana. Stała teraz powoli i cichutko, odwracając ku Trainowi swą zgrabną główkę i patrząc na niego błyszczącymi oczyma. Zachęcał ją cichym głosem, wiedział bowiem z doświadczenia, że głos więcej znaczy dla konia niż lejce.

Niebo było różowe. Powietrze balsamicznie pachnące. Lekki wietrzyk chłodził znużone ciało jeźdźca. Nowe życie wstępowało w niego z każdym nowym oddechem.

Widział ich teraz wyraźnie przed sobą, jak jechali koń przy koniu.

Z daleka rozległo się wycie wilka. Nair obejrzał się za siebie. Train poczuł w tej chwili przejmujący ból w zranionej głowie. W tejsze chwili Nair popędził konia. Jechali pełnym galopem, dziewczyna pierwsza, mężczyzna za nią. Najwidoczniej koń Alicji był mniej zmęczony drogą, dźwigał przecież mniejszy ciężar niż koń Naira.

Nair obejrzał się raz jeszcze i zobaczył, że jest ścigany. Dogonił dziewczynę, a potem zatrzymał się, gdy ona kłusowała dalej. Nair najwyraźniej szykował się do walki z tym, który go ścigał, a Alicji kazał uciekać przed siebie. Wyciągnął sztucer z kieszeni przy siodle. A Train skręcił w mały, otwierający się z boku ścieżki, wąwozik. Kopyta Whimsy zanurzyły się w wysokiej, gęstej trawie. Nie słychać było tętentu. Trainowi sprzyjało najwidoczniej szczęście: zobaczył bowiem, że ów wąwóz skróconą drogą wyprowadza go znowu na ścieżkę tuż za plecami Naira. Wynurzył się więc niespodziewanie tuż za nim.

— Nair! — krzyknął Train.

Kątem oka widział, że dziewczyna jadąc na przedzie, na dźwięk jego głosu wstrzymała konia. Wyjął szybko rewolwer, zatrzymał gwałtownie Whimsy i zobaczył, jak Nair obrócony ku niemu, wznosi sztucer na wysokość oka. I w tym momencie wystrzelił.

W lewym ramieniu poczuł przeszywający ból i ciężko zwałił się z siodła na ziemię.

Usłyszał jeszcze okrzyk triumfu. Nair, wyprostowany w siodle, strzelał raz po raz, upojony swym zwycięstwem. Steve natomiast poczuł nowy, straszny ból, tym razem w kolanie. Trzecia kula trafiła go w twarz i omal nie oślepiła. Ale mimo to, leżąc we krwi na ziemi, wysunął dłoń z rewolwerem i wypalił.

Ostatni widok, jaki ujrzał zanim zupełnie ciemności nie ogarnęły jego głowy, to był widok Naira spadającego ciężko z siodła.

Przed oczyma migąło mu jakieś czerwone światło. Nie czuł już prawie nic.

— Powietrza, duszę się... — wyszeptał.

— Odejdźcie, puście mnie! — zawołał kobiecy głos i Train poznał jeszcze po tym głosie Alicję.

Wyciągnął ku niej dłoń, ale nagle ogarnęła go czarna noc nieświadomości. Zanurzył się w niej jak w niebycie.

Gdy się ocknął, poczuł, że leży w łóżku. Przeszyły go straszliwe bóle. Jęknął. Pochyliła się nad nim twarz Cartwrighta. Olbrzym mówił coś do niego, a głos ten wydawał się Trainowi huczącym gromem.

— Odzyskał przytomność — mówił Cartwright, a drugi głos, który wydał się Trainowi niebiańskim, odparł:

— Chwała Bogu.

Zobaczył jeszcze jak dziewczyna biegnie ku niemu. Spozrzegł, jak bardzo jest blada i na nowo ogarnął go czarny mrok.

Przeżywał straszne koszmary. Był na oceanie w tonącej łodzi. Twarz zalewały mu słone fale. Nie mógł mówić, nie mógł nawet otworzyć oczu, ale mimo to raz usłyszał nad sobą rozmawiające głosy.

— Będzie żył, doktorze? On musi żyć.

— Nie może żyć — padła odpowiedź. — Stracił tyle krwi, że mogłoby to zabić dwoje ludzi. Mimo że jest z natury silny, takiej utraty krwi nie przezwycięży.

I oto znowu z krainy śmierci powrócił do życia. Usłyszał bas Cartwrighta i drugi głos, po którym rozpoznał Comstocka. Otworzył oczy i ujrzał staruszka obok siebie.

— Chłopcze — powiedział Comstock. — Czy mnie poznajesz? Poznajesz mnie, Train?

— Tak — szepnął Train, a na ustach pojawił mu się cień dawnego uśmiechu.

Jeszcze wiele razy balansował na krawędzi życia i śmierci.

Odzykiwał na krótko przytomność i znowu leżał pogrążony w całkowitej nieświadomości.

Kiedyś usłyszał nad sobą głos, który spytał:

— Train, czy masz jakieś życzenie przed śmiercią? Czy masz jakieś polecenia?

Odpowiedział wówczas konającym głosem:

— Whimsy musi jadać owies, nie dawajcie jej jęczmienia.

Pewnego dnia ocknął się, ujrzał przy swym łóżku troje ludzi. Comstock stał przy nim złamany i przybity. Na twarzy Cartwrighta malowało się straszliwe przygnębienie, a tuż przy nim stała blada i drżąca jego ukochana Alicja, raczej cień dawnej Alicji. Oczy jej napełniły się łzami, kiedy na nią spojrzął, a kiedy wyszeptał jej imię, uśmiechnęła się. Dla takiej niebiańskiej chwili warto mu było nawet umrzeć.

Ale nie umarł. Oczy jego otworzyły się raz jeszcze i tym razem wyciągnął dłoń i długo ze zdziwieniem oglądał blade, ściśnięte palce wystające spod bandażu.

— To, co się zdarzyło z tym człowiekiem, przechodzi ludzkie pojęcie — powiedział tego dnia lekarz. — Ten człowiek już właściwie nie żył i został wskrzeszony. Czterech lekarzy wydało opinię, że nie ma szans na przeżycie.

Pozostawiono go w spokoju. A jeszcze wiele pytań cisnęło się na usta, ale nie miał kto na nie odpowiadać. Jednego dnia zjawił się w jego pokoju mały człowieczek o wyblakłych oczach, Gresham. Usiadł na poręczy łóżka i uśmiechając się do Traina, powiedział:

— Szatan z ciebie! Nikt nie zdoła cię zgładzić. Masz w sobie wiele życia... I przyjaźnie pokiwał dłonią.

Nazajutrz Train przyjął również tylko jednego gościa. Był to siwiejący jegomość, który nie za dobrze czuł się w nowiutkim, niedzielnym ubraniu i w kołnierzyku z krawatem. To Logan. Palił cygaro, obwieszczając, że został szeryfem i że ma specjalną misję tropienia w górach niebezpiecznych bandytów.

Ale trzeciego dnia postanowił sobie, że musi ją wreszcie zobaczyć, nawet gdyby mu przyszło zwlec się z łóżka i wdrapać do niej po ścianie.

Weszła dziewczyna, przestraszona, o wielkich oczach, tak blada i słabiutka jak gdyby to ona przechodziła ciężką chorobę. Usiadła na krześle przy łóżku i patrzyła z lękiem na lekarza.

Lekarz wyszedł z pokoju. Spojrzała na pielęgniarkę. I pielęgniarka wyszła. Wtedy dziewczyna powiedziała:

— Panie Train, cieszę się, że panu coraz lepiej.

— Droga dziewczyno, droga Al — powiedział Steve Train. — To ty przywróciłaś mnie do życia. Czy chcesz się mną dalej zajmować?

Twarz jej pokrył rumieniec. Odwróciła głowę i powiedziała:

— Lekarz powiada, że nie wolno panu...

— Czego nie wolno? — przerwał jej.

— Nic, nic... — odpowiedziała nieśmiało.

— Mniejsza o lekarzy — szepnął Train — Powiedz mi tylko, Al, czy...

Więc pochyliła się do jego ucha i odpowiedziała na pytanie.